

Oceniamy drużynę
Donalda Trumpa

Kulisy śledztwa
w sprawie Piniora

Kwaśnicki: Polska
w ukraińskiej pułapce



PAJACE I FANATYCY

Opozycja między groteską a radykalizmem



NOWY PORTAL
dorzczy.pl



NA KARTĘ

**GWARANCJA
SUPERPROSTEJ
OFERTY!**

GWARANCJA

25 ZŁ MIESIĘCZNIE ZA:

 Nielimitowane rozmowy
do wszystkich sieci

 Nielimitowane SMS-y
do wszystkich sieci

 10 GB Internetu

 Rok ważności konta

LIFE IS FOR SHARING.

Aby aktywować ofertę, wyślij bezpłatnego SMS-a START na numer 469. Oferta aktywowana raz po uzupełnieniu konta za minimum 25 zł odnawia się automatycznie co 30 dni. Rozmowy i SMS-y dotyczą wszystkich sieci krajowych. Szczegóły w Regulaminach Ofert Promocyjnych na www.t-mobile.pl





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kłeska na własne życzenie

Jak można to było tak głupio rozegrać? – pytam, patrząc na wygibasy i męki śmiertelne posłów opozycji w Sejmie. Całe ich zachowanie przypomina mi opowieści o słynnych, co z tego, że zmyślonych, za to przecież do wyobraźni trafiających, szarżach ułanów na czołgi niemieckie w czasie kampanii wrześniowej. Bez ładu i składu, bez refleksji nad proporcjonalnością środków do celów, bez namysłu nad możliwymi celami, bez strategii wyjścia, bez pomysłu na przyszłość – opozycja kolejny raz pokazała, że do uprawiania skutecznej polityki się nie nadaje.

W porównaniu z Jarosławem Kaczyńskim zarówno Ryszard Petru, jak i Grzegorz Schetyna wypadają jak małe dzieci. O ile jeszcze wpadki i słabości tego pierwszego wielkim zaskoczeniem nie są – w końcu szybka kariera niejednemu może do głowy uderzyć – o tyle fatalna passa drugiego lidera musi zdumiewać. I to ma być ten Grzegorz „Zniszczę Cię” Schetyna? To ma być ów sprytny i przebiegły gracz?

Wytrawny strateg? Śmiechu warte. Albo utracił całkiem instynkt samozachowawczy, albo jest tak bardzo słaby, że dla zachowania pozorów władzy godzi się firmować głupotę. A przecież wszystko mogło się być inaczej potoczyć.

Wystarczyło, żeby zamiast dać się ponieść emocjom i wsłuchiwać w głos najbardziej radykalnej grupy propagandystów, chwilę pomyśleć. Dążąc z uporem godnym lepszej sprawy do zmiany regulaminu prac dziennikarzy w Sejmie, PiS dał opozycji doskonały pretekst do awantury. Podobnie niezręczne było zachowanie marszałka Marka Kuchcińskiego, który bez wystarczającego powodu wykluczył z obrad posła Michała Szczerbę. Wystarczyło, żeby w chwili, gdy marszałek Stanisław Karczewski spotkał się z przedstawicielami mediów, a prezydent w wywiadzie dla TVP obiecał, że zmian regulaminu pracy dziennikarzy na razie nie będzie, opozycja ogłosiła swój wielki sukces i wyszła z Sejmu.

Zamiast tego chwilowa okupacja przekształciła się w trwałą, a PiS przeszedł do ofensywy, udowadniając, że jest ugrupowaniem obliczalnym, spokojnym.

Ta porażka protestujących wcale nie musi oznaczać spadku napięcia. Wśród najbardziej fanatycznych przeciwników obecnej władzy kolejne przegrane bitwy wzmogą, można sądzić, frustrację i – co za tym idzie – wściekłość. To zaś może przerodzić się w tęsknotę za bardziej bezpośrednią formą oporu. Czekam tylko na to, żeby posłowie opozycji ogłosili głodówkę albo zaczęli zachęcać, jak to już raz się zdarzyło, do nieposłuszeństwa wojsko i policję. O innych formach protestu, jeszcze bardziej szalonych, wolę na razie nie myśleć, choć wykluczyć ich przecież nie można – skoro, jak chcą niektórzy mędracy, kaczymz to odmiana faszyzmu, a faszyzm to odmiana nazizmu, ten zaś jest złem absolutnym, to różne rzeczy mogą się słabszym umysłem roić.

Politycy opozycji przegrywają w oczach opinii publicznej, bo stali się zakładnikami radykałów: żeby zachować pozycję, muszą wciąż się sprawdzać, nieustannie wykazywać zaangażowaniem i bezwzględnością w walce. Nie mogą się cofnąć ani o krok, bo każdy ruch w tył traktowany jest jak zdrada, poniechanie ideałów, sprzedanie się. Tyle że to logika rewolucji lub wojny, a nie zwykłej walki parlamentarnej. W tej drugiej zawiera się kompromisy i unika frontalnych starć, szukając poparcia umiarkowanych wyborców. Najbardziej zdumiewa, że znacznie lepiej rozumie to dziś PiS niż przywódca Nowoczesnej i PO.

Historia kołem się toczy. Przez osiem niemal lat to Platforma doskonale umiała kontrolować emocje swych oponentów. Teraz nauczył się tego PiS i robi to z prawdziwym mistrzostwem. ©

RYSUNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

DOJMĄCY DEFICYT POWAGI

Revolucja fochów

21 WOJCIECH WYBRANOWSKI

UPADEK „OJCA MATEUSZA”

22 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

CZAS RADYKAŁÓW

26 PIOTR GOCIEK

ZWYCIĘSTWO PROWOKACJI



KRAJ

28 KAMILA BARANOWSKA

SEJMOWE SCENARIUSZE

PiS i opozycja przygotowują się na różne warianty tego, co 11 stycznia może się wydarzyć w Sejmie

30 ŁUKASZ WARZECHA

CO NAM ZROBI UE

32 MACIEJ PIECZYŃSKI

PRAWO NIE JEST DO ZABIJANIA

35 WOJCIECH WYBRANOWSKI

JAK CBA TROPIŁO PINIORA

38 WITOLD REPETOWICZ

TURECKIE KŁAMSTWO

40 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

JAK ZOSTAŁEM POSTĘPOWYM OJCEM

KULTURA

42 TOMASZ LENCZEWSKI

NARODOWE MUZEUM CZARTORYSKICH

Skarb Państwa kupił prywatne zbiory

46 ROZMOWA Z DOROTĄ KARAŚ

ZBIGNIEW CYBULSKI ZAWSZE

MIAŁ KOMPLETY

48 ANDRZEJ HORUBAŁA

CÓRKA

50 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM KOEHLEREM

NOWY SPÓR O CONRADA

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 ROZMOWA Z JONNYM DANIESEM

W OJCU RYDZYKU

NIE MA ANTYSEMITYZMU

Prezes fundacji From The Depths o relacjach polsko-żydowskich, Trumpie i obozach śmierci

62 KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI

WITAJCIE W ZAŚWIATACH

66 TOMASZ KWAŚNICKI

UKRAIŃSKA PUŁAPKA

HISTORIA

68 PIOTR SEMKA

BYŁ BAL

Napoleon III i krótkotrwały blask II Cesarstwa

ŚWIAT

72 JACEK PRZYBYLSKI

TRUMP, REKINY I „WŚCIEKŁY PIES”

Gabinet kreuzusów i generałów

75 SZEWACH WEISS

FANTAZJA O ROKU 2017

76 GABRIEL MICHALIK

JAK CAROWI IWANOWI

POMNIK WYSTAWIONO

EKONOMIA

80 EDYTA HOŁDYŃSKA

PORAŻKA LUKSUSU

Marks & Spencer wycofuje się z Polski. Zamknie 11 sklepów i zwolni ponad 300 osób. Marka przegrała starcie z dyskontami i e-sklepami

82 STEFAN SĘKOWSKI

DOŚĆ ZŁOŚCI NA NIERÓWNOŚCI

84 ŁUKASZ ZBORALSKI

ZROBIENI W OC

SPORT

88 ŁUKASZ MAJCHRZYK

MAŁYSZ

TO NIE BYŁ

PRZYPADEK

Świetny początek sezonu polskich skoczków



STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK

POCIĄGĄCY SMAK SKANDALU

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu jeden noworoczny list z refleksjami po lekturze naszego pierwszego numeru.

Rozmowa z Aleksandrem Duginem oraz „Władcy uszu”

Mili moi, zastanawiam się, czy wywiad z Duginem ma jakiś związek z informacją o demonstracjach probanderowskich na Ukrainie, czy może redakcja chce nam, czytelnikom, coś podprogowo podsunąć [...]. Banderę Ukraińcy cenią i na to nie ma rady, tak jak nie ma rady na miłość Rosjan do Putina, Niemców i Francuzów do Rosji, lemingów do Petru, moherów do Naczelnika itp., itd. To tylko jeden z niepoliczonych dowodów na to, że nie może być mowy o jednej wykładni dziejów Europy.

Sam z najgłębszym przekonaniem uważam, że należy wspierać wszelkie działania zmierzające do wzmocnienia państwowości ukraińskiej, choć oczywiście trudno to czynić wbrew samym Ukraińcom.

Nie zmieniają tego rzezie sprzed 70 lat, a za film Sma-

rzowskiego winniśmy artyście i jego współpracownikom głęboką wdzięczność, gdyż w epoce niemyślenia oraz nieczytania uczynili więcej niż tuziny sympozjów naukowych, debat telewizyjnych oraz książek i jako Polacy mamy obowiązek o tych ofiarach i ich niewysłownych cierpieniach pamiętać.

Są to dwa odrębne zagadnienia – za każdym razem możemy Ukraincom przypominać, co sądzimy o tym lub owym, ale niczego nie usiłujemy im narzucać, tak jak nie chcemy, by nas europeizowano z perspektywy Berlina czy Paryża. [...]

Uwag kilka do Pana Redaktora Brzozowicza. Nie mam wrażenia, że Niedźwiecki był władcą mych uszu (o innych przez Pana wymienionych nie ma co wspominać). W istocie, w dobrym dla „władzy ludowej” momencie zainaugurował listę przebojów i w szczeniących latach się tego słuchało. [...]

W roku 2017 życzę wszystkim pracownikom „Do Rzeczy” – redakcyjnym i neredakcyjnym, stopkowym i niestopkowym – pomyślności. [...] Niech ten rok będzie lepszy od niezłego minionego.

**Z wyrazami należnego szacunku i odrobiną poufałości
Maciej Hendrysiak**

PS Wspierajcie swym krytycznym talentem dyskretnie ten rząd, bo przy swych niewątpliwych czasami błędach i nieporadnościach jest czymś najlepszym, co nam się w życiu publicznym od lat zdarzyło,

nawet jeśli Naczelnik czy Antek nie zawsze potrafią się w odpowiednim momencie ugryźć w język czy koniecznie muszą postawić na swoim – bez nich tego rządu w ogóle by nie było.

Z żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci



Marii Galińskiej

Zastępcy Dyrektora Departamentu
Audytu Wewnętrznego Narodowego Banku Polskiego

Rodzinie i Bliskim
składamy

wyrazy głębokiego współczucia

Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego
i Zarząd NBP



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.n

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM:

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń,
Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojarczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Stawomir Cendkiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś, Krzysztof
Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hołdyńska, Jarosław
Kalućki, Katarzyna, Krzysztof Kłopotowski, Jacek Komuda, Stawomir Koper,
Piotr Kowalczyk, Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz
Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka
Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan
Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński,

Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Toraniś, Matthew Tyrmand,
Paweł Wawrzyński, Szwach Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczyk,
Marcin Wolski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska,**
Małgorzata Puzry, Damian Cygan, Karol Gac
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia),
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski,**
Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownictwo: **Andrzej Krauze, Cezary Krzyszto, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Andrzej Iwańczuk/Reporter, Łukasz Dejnawicz/Forum,**
Shutterstock; opracowanie graficzne: PEGAZ

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG
Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Robert Pstrokoński, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl, tel. +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż);
Karolina Olchownik (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 110 tys. egzemplarzy

Druk: RR DONNELLEY EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Dlaczego teraz?

Kazimierz Michał Ujazdowski ogłosił swoje odejście z PiS. Nie będę udawał, że zaskoczyła mnie ta informacja. Ujazdowski od wielu miesięcy nie ukrywał swojej dezaprobaty dla polityki „stanu wyjątkowego”, który w jego opinii od ponad roku prowadzi Jarosław Kaczyński. Nie rozumiem jednak, dlaczego odchodzi z własnej woli i dlaczego akurat teraz.

Ujazdowski przez wiele miesięcy uznawał za sensowną swoją obecność w partii podczas znacznie ostrzejszych etapów konfliktu o Trybunał Konstytucyjny. Teraz, po zakończeniu kadencji prezesa Andrzeja Rzeplińskiego, na czele TK staje nowa prezes – Julia Przyłębska. Ośmiu sędziów z nadania PO uznało jej prezesurę. Dlaczego Ujazdowski postanowił nie dać jej kredytu zaufania? Dlaczego nie zdecydował się poczekać i zobaczyć, czy doprowadzi do załagodzenia konfliktu?

W komunikacie eurodeputowanego z Dolnego Śląska o odejściu

znajduje się też deklaracja, że „nie może akceptować polityki trawiącej potencjał Polski w zbędnych konfliktach”. Pada ona akurat w momencie, kiedy w grudniu doszło do konfliktu, w którym stroną wyraźnie ofensywną była opozycja. Począwszy od okupacji sali sejmowej, a skończywszy na słynnej nocy z 16 na 17 grudnia, kiedy to bez żadnego sprzeciwu posłów opozycji działacze KOD przeszli do bardzo agresywnych działań, np. blokady wyjeżdżających z Sejmu posłów PiS czy osaczana prof. Krystyny Pawłowicz.

Tymczasem z komunikatu Ujazdowskiego można odnieść wrażenie, że całą winę za pat sejmowy ponosi PiS. Czy to wyważona i pozbawiona emocji ocena?

Ujazdowski już raz opuścił PiS w 2007 r. Wrócił trzy lata później, po fiasku projektu Polska XXI. PiS po tragedii smoleńskiej był w ostrzejszej opozycji wobec PO niż dziś. Jednak wtedy ostry język prezesa mu nie przeszkadzał.

Kazimierz Ujazdowski działał na nerwy swoim kolegom z PiS

od wielu miesięcy, ale z partii nie był wypychany. Serio trakto- wałem jego deklaracje, że chce być w partii głosem pluralizmu. Że musi zostać, aby świadczyć o potrzebie różnic ideowych we- wnętrzu partii. Teraz ogłasza, że ta formuła się wyczerpała. Dlatego, że się zirytował? Dlatego, że stracił cierpliwość?

Jeśli chce się teraz oddać ka- rierze naukowej, to można mu życzyć wielu ważnych książek. Nie chcę wchodzić w dywagacje, czy powinien oddać mandat – zdobył go po części dzięki sile znaczka PiS, a po części dzięki zaufaniu do swojej osoby, która oddała wiele sił i energii Dolnemu Śląskowi. Nie sposób oddzielić jednego od drugiego.

Jeśli można go przed czymś ostrzec, to przed wpisywaniem się w rolę, którą dla dysydentów z PiS rezerwują TVN czy Polsat. Do wykonywania roli „skru- szonych PiS-owców” w stylu Kazimierza Marcinkiewicza czy Ludwika Dorna nie ma co się palić.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

NAGŁY ATAK ZIMY W ZIMIE

Kilkunastostopniowy mróz, opady śniegu i zamiecie – z dnia na dzień jesien- na po- goda w kraju zmieniła się w prawdziwą zimową. W niektórych regionach Polski w ciągu kilku godzin spadło nawet 20 cm śniegu. Na Pomorzu silne wiatry spowodowały tzw. cofkę i stany rzek zaczęły przekraczać poziomy alarmo- we. W Bieszczadach prędkość wiatru przekraczała 100 km/godz. Na Śląsku awarie sieci energetycznych odcięły od prądu 2,5 tys. gospodarstw domowych. Trudniejsze warunki na drogach zakończyły się wieloma wypadkami, również śmiertelnymi. Według prognoz w tym tygodniu mróz powinien zelżeć. **(luz)** ©



FOT. RYSZARD NODKOWSKI/FOTUM

dorzeczy.pl

W NOWEJ ODSŁONIE!

INFORMACJE | OPINIE | RELACJE | EMOCJE



PUBLICYSTYKA NAJWYŻSZEJ PRÓBY.

TERAZ BLIŻEJ CIEBIE.

WEJDŹ ►



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Łapać złodziei!

Jedną z zasadniczych różnic między państwem normalnym a postkolonialnym jest taka, że to pierwsze ufa swemu obywatelowi, w drugim zaś obywatel jest podejrzanym. Mało podejrzanym – potencjalnym, tylko jeszcze niezłapanym winnym. Nie państwo, jeśli ma jakieś zastrzeżenia, musi ci udowadniać winę, ale ty masz na każdym kroku zbierać dowody

znam warunki, oświadczam, że je spełniam. Jeśli ktoś skłamie, to poniesie odpowiedzialność, która bywa bardzo bolesna, ale nikt z góry kłamstwa nie zakłada.

W PRL, tak jak w każdej kolonii, było odwrotnie. Wiadomo, że ludność okupowana sabotuje, kombinuje i kręci. Obywatel zatem musi – do dziś – udowadniać, że naprawdę spełnia określone warunki, załatwiać i znosić do urzędów różne zaświadczenia. To jest chore i poniżające, dlatego trudno o lepszy znak niż pierwsze jaskółki zmiany. Na przykład to, że od Nowego Roku wystarczy w gabinecie lekarskim oświadczenie, iż jest się ubezpieczonym, zamiast pamiętać zawsze o noszeniu przy sobie książeczki i kompletu kwitów.

W pierwszym noworocznym numerze „Gazeta Wyborcza” postanowiła oburzyć się na te nowe zasady na pierwszej stronie, oznajmiając swym czytelnikom, że

PiS promuje w ten sposób kłamców, ba, do kłamstwa zachęca. Kto skłamie, ten w nagrodę leczy się za darmo! No bo jak to? Wystarczy oświadczyć, że się jest ubezpieczonym? Wszyscy przestaną płacić składki i będą kłamać (tak jak wszyscy obdarowani „500+” mieli je przepić).

Trudno doprawdy znaleźć słowa mieszczące się w słowniku ludzi kulturalnych, by opisać, co i jak bardzo mają narobione w głowach funkcjonariusze aparatu agitacyjno-propagandowego z Czerskiej. Jak widać, na złość PiS gotowi są w jednej chwili przeskoczyć z latami deklarowanych pozycji modernizacyjnych do obrony biurokratycznych relikwów PRL. Wystarczy zadrasnąć, a spod długo pielęgnowanej europejskiej pozłotki wyziera mentalność partyjnej nomenklatury, godna prezesa Ochódzkiego i innych bohaterów Barei. ©

Spod długo pielęgnowanej europejskiej pozłotki wyziera mentalność partyjnej nomenklatury

swej niewinności i tłumaczyć się ze wszystkiego.

Najlepiej widać to w urzędach. W USA, Kanadzie i chyba we wszystkich krajach zachodnich urząd zadowala się twoim oświadczeniem. Chcę tego i tego,



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Parada kłamców i blagierów

Bankierstwo rozpędź i spraw, Panie, by pieniądź w pieniądź nie porastał – modlił się Tuwim w „Kwiatach polskich”. Nie wiem, czy poeta skreślił te słowa przed zaszczepieniem komunizmem czy po nim. Jakkolwiek by było, dziś wydają się aktualne jak nigdy przedtem.

Wraz ze wszystkimi płacącymi podatki we Włoszech muszę wesprzeć bankierów, którzy chciwością, złodziejstwem i nieudolnością doprowadzili system do katastrofy. Statystycznie wypada 500 euro składki od łebka. Rząd postanowił uratować bankierom skórę 20 mld euro, bo musiał. Inaczej co najmniej

6 mln klientów, haniebnie nabitych w butelkę przez bankowych szalbierzy, zostałyby bez grosza i pewnie wyszłoby na ulicę.

Podstawowe pytanie brzmi, czy banki ratowane z naszych podatków same podatki płacą? Otóż nie. Oszukują, jak mogą. Otwierają filie za granicą w rajach podatkowych, gdzie przerzucają zyski, unikając wysokiego opodatkowania w kraju. Stratami musi się martwić naród. Nóż się w kieszeni otwiera, gdy zważyć, że na przykład najstarszy bank świata, wykupiony właśnie przez państwo włoskie za nasze pieniądze, Banca Monte Paschi dei Paschi di Siena w ubiegłym roku

deklarował 45 mln euro zysku swojej filii Preferred Capital I LLC w rajach podatkowych w Delaware. Ile osób pracuje w tej spółce? Żadna. Czyli cud. Pieniądże urodziły się bankierom ze Sieny w Delaware na kamieniu. Słowem, w Italii składamy się teraz na oszustów.

Chciwość systemu nie zna granic. Jeden z włoskich banków swą nieudolnością naraził mego przyjaciela na spore straty. Po części i po awanturze bank straty wyrównał, a nawet wysłał liścik przeproszający. Za liścik kazał sobie jednak zapłacić 1,5 euro.

Bankierstwo rozpędź, Panie. Amen. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTES MALKONTENTA

Nie oddawać mandatu!

Gdy tylko Kazimierz Ujazdowski ogłosił swoje odejście z PiS, natychmiast odezwały się głosy, że powinien złożyć mandat europosła. Przecież – argumentowano – zdobył go „dzięki PiS”. W każdym takim przypadku odpowiedź powinna być taka sama: nie ma żadnego powodu, aby opuszczając partię, poseł rezygnował z mandatu. Ba – absolutnie nie powinien tego robić, jeśli traktuje poważnie swoją rolę i wyborców.

Polski system wyborczy jest fatalny. Daje ogromną władzę liderom partyjnym, układającym listy, a z posłów czyni w większości automaty, wygłaszające kolportowane przez biuro prasowe frazesy i posłusznie naciskające guziki do głosowania.

Zapewne w przeważającej mierze wyborcy głosują na listę

partyjną. Tak jest w systemach proporcjonalnych. Są jednak i tacy, którzy w ramach listy dokonują świadomego wyboru. Oddają głos na osobę, której ufają i w której stałość poglądów wierzą. Gdy taki poseł opuszcza partię, jakaś część jego wyborców uznaje, że zdradził formację, więc powinien złożyć mandat. Jednak część, która głosowała głównie na nazwisko, a nie na partyjny szyld, będzie odmiennego zdania. Więcej nawet: ci wyborcy mogą uznać, że to partia zdradziła swój program, któremu wierny pozostał odchodzący poseł. Z ich punktu widzenia nie ma najmniejszego powodu, aby poseł zrzekał się mandatu. Ponieważ zaś nie jesteśmy w stanie określić, jaka część wyborców danego posła do której z grup się zalicza,

poseł zaś – zgodnie z konstytucją – reprezentuje naród, a nie partię, więc w żadnym razie rezygnować nie powinien.

Niektórzy uznają także, że należałoby wprowadzić do ordynacji wyborczej przepis o obowiązkowym złożeniu mandatu w razie wystąpienia z partii – na wzór brytyjski. Tyle że w Zjednoczonym Królestwie działa system większościowy i tróipartyjny. W polskich warunkach taki przepis oznaczałby ostateczne wzmocnienie tyranii partyjnego lidera i utrwalenie partyjniackiego systemu, który sprawia, że większość ugrupowań na polskiej scenie jest całkowicie martwa intelektualnie, a każdy dysydencki głos jest natychmiast pacyfikowany. Tego chcemy? ©©

REKLAMA

Już od **264 PLN** za dobę – pokój Standard ze śniadaniem

+48 91 40 40 400

HOTELE W NAJPIĘKNIJSZYCH KURORTACH™



Marine Hotel*****
& Ultra Marine



Diune Hotel*****
& Resort



Sand Hotel****



Jantar Hotel***
& SPA



Boulevard
Ustronie Morskie



Baltic Park Moło
Apartments



Cristal Resort
Szklarska Poręba

Rekordowe wzrosty **dorzeczy.pl**

grudzień 2015/grudzień 2016



DoRzeczy.pl rośnie w siłę

Przebudowany i wzmocniony przez nowy zespół portal DoRzeczy.pl notuje coraz więcej wejść. Przybywa czytelników, którzy zostają z nami na dłużej. Końcówka roku była dla portalu rekordowa.

W czasie niespełna ośmiu tygodni po gruntownej przebudowie portal DoRzeczy.pl odwiedziło prawie 750 tys. internautów, generując ponad 3,3 mln odsłon strony w 1,6 mln sesji. Ruch w grudniu ubiegłego roku był nieporównywalnie większy niż w analogicznym okresie 2015 r. (dane na infografice), a w porównaniu z listopadem, czyli pierwszym miesiącem funkcjonowania DoRzeczy.pl w nowej odsłonie, zanotowano wzrost odsłon o 50 proc.

Większy ruch idzie w parze z coraz większym zaangażowaniem odwiedzających. Średni czas odwiedzin na stronie wydłużył się w grudniu (w porównaniu z 2015 r.) ponad trzykrotnie – z dwóch

do siedmiu minut, a współczynnik odrzuceń spadł o ponad połowę. To oznacza, że treści na odnowionym DoRzeczy.pl budzą coraz większe zainteresowanie.

Antoni Trzmiel, szef portalu DoRzeczy.pl, podkreśla, że siłą serwisu jest wyspecjalizowany zespół redakcyjny oraz współpraca z autorami tygodnika „Do Rzeczy”. – Widać, że gdy się dzieje coś ważnego, to Polacy już wiedzą, iż na portalu DoRzeczy.pl mogą szybko znaleźć informacje, które dają rzetelny obraz wydarzeń – komentuje Antoni Trzmiel.

Tygodnik „Do Rzeczy” uruchomił odnowioną wersję portalu na początku listopada ubiegłego roku. Strona zyskała nowoczesny wygląd i funkcjonalności. Na portalu znaleźć można informacje z kraju oraz ze świata, fragmenty artykułów z tygodnika „Do Rzeczy” i felietony publicystów tygodnika. (raw) ©©

PAMIĘTAJĄ
POLSKIEGO BOHATERA

Kierowca, który zginął w zamachu w Berlinie, w pamięci mieszkańców swojego rodzinnego Rożnowa zapisze się przede wszystkim jako dobry człowiek, dla którego najważniejsza była rodzina.

Od pierwszych chwil po tragedii na berlińskim jarmarku do opinii publicznej docierały sprzeczne informacje na temat przebiegu zdarzenia. Gdy tylko się okazało, że ciężarówka taranująca ludzi ma polską rejestrację, pojawiły się podejrzenia, że za zamachem stał Polak. Na jednym z lokalnych portali można było przeczytać, że „ciężarówka spod Gryfina wjechała w tłum”. Feministyczna działaczka ze Szczecina triumfalnie obwieściła na Facebooku, że tym razem to Polak morduje Niemców. Gdy okazało się to nieprawdą, usunęła wpis. Zamachowiec przejął ciężarówkę Łukasza, a samego kierowcę zamordował. Oprócz ran kłutych Polak miał też ranę postrzałową. Niemcy przekazali ciało Łukasza Urbanu stronie polskiej. Ustaleniem konkretnych przyczyn i godziny śmierci kierowcy zajmuje się Zakład Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego.

Łukasz Urban w chwili śmierci miał 37 lat. Pozostawił żonę i nastoletniego syna. W Rożnowie, niewielkiej miejscowości niedaleko Gryfina w Zachodniopomorskiem, skąd pochodził polski kierowca zamordowany w Berlinie, mniej lub bardziej znał go każdy. Wszyscy byli wstrząśnięci jego śmiercią. – To był mój przyjaciel, bawiliśmy się razem w dzieciństwie, zawsze był pomocny i koleżeński – wspomina Adrian Kozikowski. Żona Łukasza, gdy podczas pasterki znajomi i bliscy składali jej świąteczne życzenia, miała powiedzieć, że potrzebuje „siły i wytrwałości”. ©©

Maciej Pieczyński

WYRÓŻNIENIE DLA **KATARZYN Y PINKOSZ**

W 16. edycji konkursu Sukces Roku w Ochronie Zdrowia – Liderzy Medycyny 2016 wyróżniono dziennikarkę „Do Rzeczy” Katarzynę Pinkosz. Nasza redakcyjna koleżanka zdobyła wyróżnienie w kategorii Lider Roku 2016 w Ochronie Zdrowia – Media i PR. Jak czytamy w komunikacie podpisanym przez Janusza Michalaka, przewodniczącego komitetu organizacyjnego konkursu i prezesa zarządu wydawnictwa Termedia, kapituła konkursu złożona z osób zaangażowanych w ochronę zdrowia (m.in. przedstawiciele władzy ustawo-

dawczej, samorządów, instytucji i stowarzyszeń) doceniła Katarzynę Pinkosz za „profesjonalizm oraz przekazywanie poprzez publikowane artykuły wiarygodnej wiedzy medycznej w sposób przystępny i interesujący. Członkowie Kapituły konkursu są przekonani, że wyróżnienie zostało przyznane najbardziej odpowiedniej osobie”. Uroczysta gala, podczas której wręczone zostaną wyróżnienia, odbędzie się 19 stycznia na Zamku Królewskim w Warszawie. Poprzedzi ją konferencja „Priorytety w ochronie zdrowia”. (raw) ©©



POKRÓTCE

Piotr Wierzbicki

Niższa forma
homo sapiens

Autorytety zachęcają do użycia przemocy przeciw PiS, w odpowiedzi na co słychać, że nie wolno tak traktować ludzi. Jakich „ludzi”? Autorytety nauczają wszak od lat, że PiS-owiec to ciemniak, psychol, słowem – śmieć. Wobec podludzi zawsze wolno było więcej. ©©

Pospieszalscy w trasie

Kolędy Pospieszalskich to artystyczny fenomen ostatnich lat. Tradycyjne kolędy i pastorałki, a także kompozycje własne (w tym uroczą „Kolęda dobrych ludzi woli” do słów ks. Jana Twardowskiego), zaaranżowane zostały w niesamowity sposób. Skrzą się muzycznymi, przewrotnymi niekiedy pomysłami, gdzie echa muzyki klasycznej łączą się z dzikimi bębni, jazz z muzyką góralską, a osłuchane i – zdawałoby się – znane motywy zyskują nowe odcienie, gdy wprowadzone zostają w przestrzeń world music. Nic dziwnego, że z roku na rok wraz z rozrastaniem się rodziny Pospieszalskich i dołączaniem coraz to nowych głosów i instrumentów zdobywają kolejnych fanów.

W tym sezonie 15-osobowy skład rodziny

Pospieszalskich po raz kolejny wyruszył w trasę. Wielopokoleniowa artystyczna rodzina, której członkowie na co dzień udzielają się w różnych składach i gatunkach muzycznych, po Lyonie, Lwowie i Samborze będzie kontynuowała trasę po Ukrainie, gościła w kilku miastach Polski, by pod koniec stycznia odwiedzić Wiedeń.

Koncerty Pospieszalskich pełne improwizacji, wirtuozerskich popisów, wciągania publiczności do wspólnej zabawy, zapętlonych transowych niemal fragmentów to czas świąteczny: adoracji Nowonarodzonego, ale też radości ze wspólnotowego przeżycia, celebrowania muzycznych talentów, zanurzenia się w tradycji i inteligentnej zabawy w różnorodne brzmienia. (a) ©©



FOT. TOMASZ KOPERNAS

**PATRONAT
DO
RZECZY**

Oto program tegorocznej trasy:

- 10 stycznia** – Żytomierz (Ukraina), filharmonia, godz. 17.30
- 11 stycznia** – Kijów (Ukraina), kościół św. Aleksandra, godz. 19
- 13 stycznia** – Zamość, katedra, godz. 19
- 14 stycznia** – Płock, katedra, godz. 19
- 15 stycznia** – Warszawa, Palladium, godz. 18
- 18 stycznia** – Rybnik, kościół św. Jadwigi Śląskiej, Maroko-Nowiny, godz. 19
- 20 stycznia** – Kłodzko, kościół Matki Bożej Różańcowej, godz. 19
- 21 stycznia** – Oława, kościół św. Piotra i Pawła, godz. 19
- 22 stycznia** – Pfarre Gartenstadt, 1210 Wien, Galvanigasse 3, godz. 19.30
- 24 stycznia** – Warszawa, kościół oo. Franciszkanów, ul. Zakroczymska, godz. 17.30

Szczegóły: facebook.com/koledypospieszalskich

REKLAMA

sand hotel ★★★★★

Zima nad morzem

W KOŁOBRZEGU

by ZDROJOWA

Już od **319 PLN** za dobę – pokój Standard ze śniadaniem

✉ rezerwacja@zdrojowahotels.pl

HOTELE W NAJPIĘKNIEJSZYCH KURORTACH™



Marine Hotel***
& Ultra Marine**



Diune Hotel***
& Resort**



Sand Hotel****



Jantar Hotel*
& SPA**



**Boulevard
Ustronie Morskie**



**Baltic Park Moło
Apartments**



**Cristal Resort
Szkłarska Poręba**



FOT. PAMEL GRONADA

BUTY, NIE TYLKO CIUCHY

Natalia Siwiec tak jak większość rodzimych celebrytów lubi chwalić się tym, że stać ją na dość luksusowe życie. Nie kryje też, że do jej ulubionych rozrywek należą zakupy. W ten sposób odrağowuje zły humor i smutek.

Niedawno pochwaliła się, że jej największą słabością są buty. Ma już ponad 300 par! Gwiazda skarży się, że zaczyna brakować jej miejsca na ich przechowywanie. – Mam tyle par butów, że nie mieszczą mi się w szafie. Chociaż sukcesywnie rozdaję je najbliższym, to jednak jest ich dużo. To jest tak, że wychodzę na zakupy kupić sobie sukienkę lub coś, co jest mi potrzebne, i wracam z butami, niestety. Teraz np. marzę sobie o takich butach

Yves Saint Laurent z obcasem, który jest właśnie YSL. To takie powiedzmy marzenie – mówi w wywiadzie. Tak sobie słuchamy Natalii i przypomniał nam się jej poprzedni wywiad. – Myślę o mnie: pusta, głupia lalka, która myśli tylko o ciuchach! – skarżyła się wtedy. Teraz już rozumiemy jej gorzkość. Przecież nie myśli tylko o ciuchach, lecz także o butach!

MIEĆ RĘKĘ DO SELFIE

Nie powinniśmy się jednak wyśmiewać z Natalii, bo przytrafiło jej się straszne nieszczęście. Podczas jazdy na nartach zaliczyła upadek i wylądowała w szpitalu. Tam musiała spędzić sylwestra. Złamana ręka i natychmiastowa operacja. – Kochani, dla mnie rok, który się skończył, był wspaniały – napisała na Instagramie. – Niestety, Nowy Rok witam na szpitalnym łóżku, połamana, po operacji, ale też jest fajnie. Życzę Wam duuużo zdrowia. Żebyście się nie poddawali (tak jak ja na stoku i mimo porażki na pewno się nie wycofam z tego, co chcę osiągnąć). Samych dobrych ludzi wkoło i wyjątkowych emocji. Szanujmy się i kochajmy! – zaapelowała. Całe szczęście Natalia uszkodziła sobie tylko jedną rękę, drugą mogła więc zrobić sobie selfie w szpitalnym łóżku. Kamień z serca!

NIE MOGĄ MILCZEĆ

„Nie możemy milczeć” – grzmiały na okładce „Newsweeka” Magdalena Cielecka, Maja Ostaszewska, Maciej Stuhr i Jacek Poniedziałek. Tak jakby do tej pory milczeli. Jednak rozumiemy, że mówienie po raz 9867. o tym, jak PiS niszczy Polskę, to jakaś forma zbiorowej autoterapii.

Przemilczymy stwierdzenie Cieleckiej, że wracając z marszu KOD, poczuła się jak „żydowskie dziecko w tramwaju w czasie okupacji”, bo słów szkoda. Odnotujemy jednak stwierdzenie Macieja Stuhra. „My tu sobie rozmawiamy w swoim gronie, a na Facebooku wyświetlają mi się



FOT. LUKASZ DENAROWICZ/FOTOM

artykuły z »Newsweeka«, »Gazety Wyborczej«, »Polityki« i TVN24. Wynika z nich, że rząd jest tak skompromitowany, że już bardziej być nie może. A potem czytam najnowszy sondaż, a tam poparcie dla prezydenta Dudy wynosi 60 proc., a dla PiS 35 proc. I jakoś nie mogę skleić tych dwóch rzeczywistości” – mówi Stuhr. Całe szczęście ten wywód przerwała mu Maja Ostaszewska. Bo aż strach pomyśleć, do jakich wniosków mógłby dojść!

SKROMNA JAK KOZIDRAK

Beata Kozidrak do skromnych raczej nie należy. Przynajmniej tak wynika z wywiadu, którego udzieliła „Faktowi”. Mówi w nim, że nie widzi dla siebie konkurencji na polskim rynku muzycznym. – Znam swoją wartość i dla mnie nie ma konkurencji. Doceniam innych artystów, ale jest tylko jedna Beata. Każdy ma prawo do sukcesów, więc jeśli się komuś uda, to super. Pierwsza podchodzę i gratuluję. Wylansowałam najwięcej hitów w tym kraju, wszystkie napisałam, więc nie mam czego zazdrościć innym – mówi. – Zdaję sobie sprawę, że są wobec mnie wielkie oczekiwania. Nie mam takiej fortuny jak gwiazdy zagraniczne, które wydają miliony na show, a mimo to nie mam się czego wstydzić – dodaje. Mówi też, że przywykła do porównań z największymi zagranicznymi gwiazdami. – Wolę porównania do Beyonce, bo ona lepiej śpiewa od Madonny – wyznała. Biedna Madonna, jak ona to przeżyje?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ** NA 2017 ROK

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ DOSTĘP DO WERSJI ELEKTRONICZNEJ
+ **TABLET MANTA QUAD POWER MID721, 7”**



239 zł

oszczędzasz 269 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 01d2b3fc2c

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, w postępowych mediach nie milkną głosy oburzenia w sprawie sylwestrowych imprez organizowanych przez TVN i TVP. Jak pewnie już wiecie, w tym kraju rządzonego przez pis większość wołała słuchać Zenka Martyniuka, który śpiewał „przez twe oczy zielone oszalałem” zamiast Agnieszki Chylińskiej śpiewającej „chciałam pokochać cię, ale nie wiem jak”.

Naszym zdaniem wykreowanie nowej linii podziału między estetycznym podkarpaciem, które tańczy do disco polo, a młodymi wykształconymi i z wielkich ośrodków, którzy się za to wstydzą, było bardzo istotne. Pokazuje bowiem, iż nie ma w tym kraju obszaru życia, jaki dobra zmiana jest w stanie zdemastrować.

Tuż przed Winter Holidays wykonaliśmy drobny, niewiele w skali świata znaczący gest, który jednak pomógł jednej niewielkiej osobochoince, którą

uratowaliśmy z winterholidejowej rzezi osobochoinek.

Mianowicie wsiedliśmy na holenderkę, pojechaliśmy na targowisko, gdzie wąsaty janusz sprzedawał choinki spętane w jakieś siatki. Poczuliśmy się, jakbyśmy brali udział w targu osoboniewolników. Niestety, oszczędności z korpo nie pozwoliły nam na uratowanie wszystkich. Wybraliśmy więc jedną, zamontowaliśmy na rowerze i z wysiłkiem pomknęliśmy w stronę Lasu Wolskiego.

Tam wkopaliśmy choinkę w ziemię, tuż po tym, jak rozgryźliśmy konstrukcję szpadla i wybraliśmy, który koniec należy wbijać w glebę. Nie jesteśmy przecież, z naszym wykształceniem predestynowani do ciężkiej fizycznej pracy. Po wszystkim pożegnaliśmy się z osobochoinką i obiecaliśmy, iż wrócimy do niej za rok i będziemy pilnować, iżby pozostała świeckim drzewkiem, a nie wigilijną ozdobą w salonie jakiegoś janusza.

Zracji wolnego czasu śledziliśmy ostatnio występy tenkrajowych skoczków narciarskich, którzy nam robią siarę na austriackiej i niemieckiej ziemi. Otóż zauważyliśmy, iż niektórzy z nich przed skokiem wykonują znak krzyża.

Czy którykolwiek z nich zastanowił się, czy takie ofensywne religijne zachowanie nie uraziłoby zasiadającego na trybunach osobomuzułmanina? Nie po to Europa wkłada wysiłki w propagowanie neutralności światopoglądowej, żeby polski wiatr nietolerancji zawiewał od skoczni.

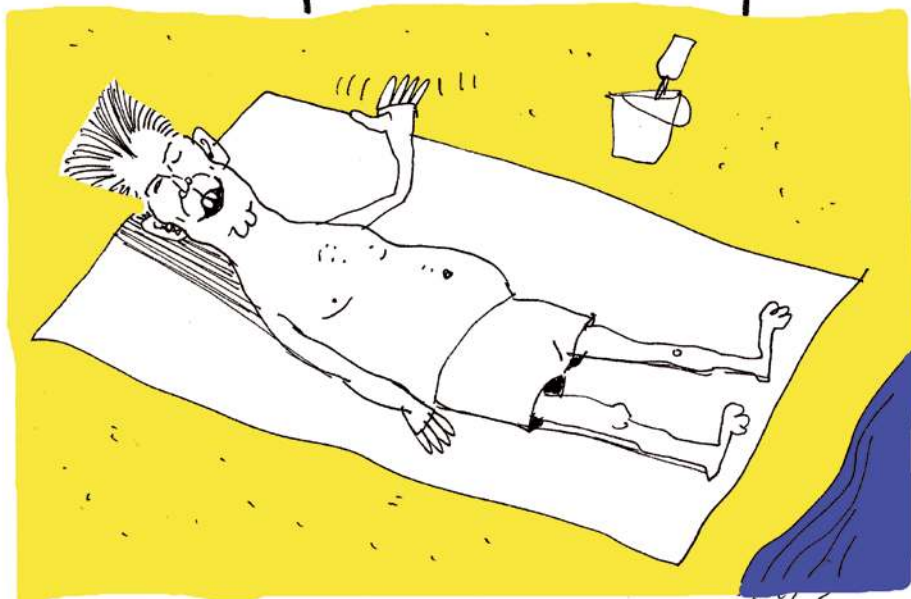
Cóż, po raz kolejny okazuje się, iż obecny ten kraj nie nadaje za współczesną Europą i nie jest w stanie zaadaptować się do obowiązującej narracji kulturowo-społecznej.

Strasznie irytuje nas ten wszechobecny hype na noworoczne postanowienia. Przecież nie musimy nakładać na siebie kolejnych zobowiązań, które miałyby nas tylko niepotrzebnie stresować i wyprowadzać poza strefę komfortu, jeśli nie wypełnilibyśmy postanowień. A że nasza silna wola jest rzadko używana, tym większy mielibyśmy problem.

Dlatego mamy pewne subtelne marzenia, np. odkryć nowe interesujące zastosowania jarmużu, jeszcze intensywniej uczęszczać na crossfit i jeszcze intensywniej chwalić się tym w social mediach, a w sprawach publicznych – walczyć o demokrację i robić selfiki pod Sejmem.

Of kors jeśli tego zrobimy, to nic się nie stanie i nie będziemy mieli z tego powodu żadnych wyrzutów naszych wrażliwych społecznie świeckich sumień. ©

Co tam pakuje w ciążę?



ce zarę krysztopd blogpublica.com



CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ** NA 2017 ROK

**PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



260 zł

oszczędzasz 194 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 01d2b3fc2c

Witajcie w nowym roku i w najlepiej poinformowanej rubryce w Polsce oraz na Maderze! Ogłaszamy konkurs: W którym numerze „Do Rzeczy” panowie G. poinformowali o tym, że posłanka Nowoczesnej Kropki z Poznania, Joanna Schmidt, wzięła rozwód? W tym z 28 listopada zeszłego roku. Współczujemy kolegom z innych redakcji – tyle tygodni ciężkiej roboty, żeby ustalić to, co już zostało ustalone...

Żli ludzie opowiadają, że kwity na Mateusza Kijowskiego, szefa KOD-uchów, ze szczególnym uwzględnieniem faktur na 91 tys. zeta, roznosi po redakcjach Radomir Szumęłda, gdański orzeł KOD. Nie wierzymy w te ohydne plotki. Radomir najlepiej czuje się jako krzywdzony, a nie jako krzywdzący.

Ujęła nas linia obrony ojca Mateusza, który wyznał szczerze, że powinien być ostrożniejszy. W sumie racja. Trzeba było umowy podpisywać na fałszywe nazwisko i w peruce. Wtedy na pewno by się nie wydało. A najsprytniej byłoby je podpisać na Szumęłdę.

Apropos romantycznej wyprawy sylwestrowej Ryśka Petru (on jeszcze nie wziął rozwodu) i Joanny Schmidt – już tydzień po rozwodzie tej ostatniej (odbył się 8 września) źli ludzie przyuważyli na jednej z sejmowych podkomisji, że Joanna wymienia z Ryśkiem SMS-y treści mało parlamentarnej. Że tęskni, że czeka na kolejne spotkanie i takie tam. Jak rozumiemy, nie mogła się po prostu doczekać tej Madery.

Wiecie już, że wypad Ryśka na Maderę zrobił wrażenie tylko na tych, którzy nie czytają naszej rubryki. Nie wiecie jednak, że Rysiek jest dla nas prawdziwym macho. Okazuje się, że portugalski sylwester wstrząsnął nie tylko opinią publiczną, lecz także klubem Nowoczesnej. Rysiek złamał już niejedno serce niewieście. Dało się zaobserwo-

dwaj panowie g

wać pewną posłankę, która cicho chlipie w kąciuku. Jak, notabene, myszka.

Atak w ogóle to Rysiek brał przykład z marszałka Piłsudskiego, który również pojechał na Maderę i również w towarzystwie pięknej kobiety – lekarki Eugenii Lewickiej. Naczelnik miał jednak więcej szyku. Do Polski wracał nie chyłkiem, ale na pokładzie kontrtorpedowca ORP „Wicher”. Podejrzewamy, że jeśli Rysiek zechce naśladować Wieniawę, to do Adrii wjedzie na hulajnodze.

Najweselej było, kiedy Rysiek już wrócił z Portugalii i udał się do siedziby Nowoczesnej Kropki, żeby sobie popracować. Gdy zmierzał do

wyjścia, okazało się, że czatują na niego tłum reporterów i brygada wozów transmisyjnych żądnych sensacyjnych detali z podróży. Ryśka wyprowadzono zatem tylnym wyjściem wprost do samochodu, w którym ułożył się z tyłu na podłodze i niezauważony został wywieziony przez kordon żurnalistów. Każdy kraj ma takiego J.F.K., na jakiego sobie zasłużył.

Na szczęście są jeszcze politycy, którzy kochają reporterów. Na przykład wicepremier Gowin. Na dowód taka historyjka: stoi sobie w Ministerstwie Nauki telewizyjna ekipa z kamerą i ze światłami oraz czeka na rozmówcę.

Po schodach maszeruje Gowin. „Ojej! – martwi się na widok kamery. – Miałem umówione jakieś nagranie? Przepraszam, chyba wyleciało mi z głowy!”. I pakuje się przed kamerę. „Nie, panie premierze, tym razem to nie pan” – mówi jeden z wiceministrów, do którego właśnie przyjechała telewizja. „Aha” – odpowiada smutny Gowin i niepokieszony idzie dalej.

Ciała Polska, to znaczy tefaueny i wyborcze, szuka jakiegoś rozsądnego wytłumaczenia eskapady Ryśka. Podpowiadamy własne: w górach Madery ukryte są jaskinie, w których kryła się portugalska opozycja walcząca z reżimem dyktatora Salazara. Tylko tam polscy opozycjoniści mogą bezpiecznie omawiać partyjną robotę – z dala od siepaczy Kaczora-Dyktatora.

Bardzo nam miło, że jesteśmy trendsetterami, nie tylko jeśli chodzi o Ryśka Petru-Swetru. Tak się bowiem składa, że trzy miesiące temu zaanonsowaliśmy także tzw. rozsadę ujazdowską. Na dowód zacytujemy dosłownie tamtą notkę: „Żli ludzie opowiadają, że następny rozłam w polskiej



FOT. ROBERT CUDNICKI

polityce będzie miał miejsce w PiS. Będzie to odejście z PiS frakcji Ujazdowskiego. Czyli odejście samego Ujazdowskiego”.

Ci sami źli ludzie informowali nas wtedy, że Kazimierz „Budyń” Ujazdowski zamierza zostać ofiarą kaczynizmu, by w glorii męczennika starać się o fotel prezydenta Wrocławia. Jego kumpłowi z Polski XXI Rafałowi Dutkiewiczowi już się nie chce, ale chętnie poprze Budynia jako kandydata ponad podziałami.

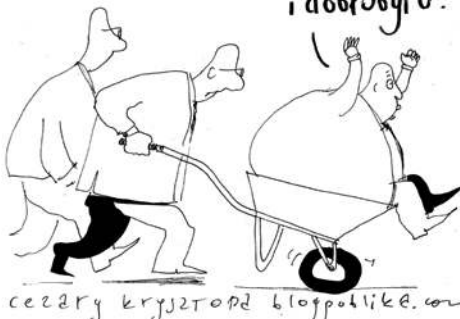
Można zacisnąć zęby i jednak pokochać dobrą zmianę. Uczynili tak ostatnio pracownicy radiowej Trójki, którzy zapalali nagłą miłością do prezesa Polskiego Radia Barbary Stanisławczyk, tej samej, którą poprzednio kontestowali zawzięcie. Przyczyna zmiany nastrojów jest prosta: do konkursu na szefa publicznego radia przystąpił były szef Trójki Jacek Sobala i nie jest bez szans. Przypominamy zatem przysłowie: kochaj szefa swego, możesz mieć lepszego.

Sobala nie jest bez szans, ćwierkają wiewiórki, bo jako prezesa całego radia widziałby go Krzysztof Czabański, szef Rady Mediów Narodowych. Nam też podoba się ten pomysł. W końcu to dzięki Sobali w TVP Warszawa zadebiutowało Studio Yayo, więc może i w radiu pojawiłoby się wreszcie coś śmiesznego.

Apropos śmiesznych rzeczy. Minister Środowiska Jan Szyszko nie przełknął jeszcze przez rząd ustawy o Polskiej Służbie Geologicznej, a już marzy mu się nowe zbrojne ramię. Wiewiórki ćwierkają, że Szyszko chce zlikwidować Inspekcję Ochrony Środowiska i powołać w jej miejsce Agencję Ochrony Środowiska. Funkcjonariusze jednej i drugiej służby mieliby być wyposażeni w kajdanki, broń palną, pałki, gazy i takie tam. Żadna skała im wtedy nie ucieknie, a gdyby drzewa stawiały opór, będzie można je skuć. Upředzaliśmy, że będzie śmiesznie.

Jeszcze o mediach. Dziwna sprawa, tylko do Sejmu trafiła nowa ustawa antylichwiarska, a już akcje Providentu w Londynie spadły o 50 proc. Sprawa jeszcze dziwniejsza – po warszawskich redakcjach zaczęli

Ale ja jestem powołany do władzy i do roboty!



pielgrzymować rozmaici ludzie pytający, czy ktoś nie potrzebuje wsparcia w poszukiwaniu materiałów na Ziobrę. Czysty przypadek.

Przypadki chodzą po ludziach i po prokuraturach. Nasze wiewiórki uprzejmie nam donoszą o tym, że Najwyższa Izba Kontroli ma wejść do prokuratury katowickiej. Szczególnym przedmiotem zainteresowania ma być Wydział Zamiejscowy ds. Przestępczości i Korupcji. Tak, nie mylą się państwo, to ten sam wydział, który postawił Krzyżskowi Kwiatkowskiemu, prezesowi NIK, zarzuty. Jak mawiał klasyk – zaufanie jest dobre, ale kontrola jest lepsza.

Tymczasem u prezydenta Andrzeja Sebastiana. Nasiliły się plotki o rychłej dymisji Gości Sadurskiej, szefowej Kancelarii Prezydenta. Podobno jeszcze nie doszło do niej tylko dlatego,

Niemieckie media szycią groby mi niemi materiat na temat Polski...



że prezydent Andrzej Sebastian nie ma kim jej zastąpić. Nie wierzymy w te plotki. Jak to nie ma kim? Przecież Kraków liczy sobie 760 tys. mieszkańców, z czego większość to pełnoletni, więc można ich zatrudniać w pełnym wymiarze.

Wszystko dlatego, że szefem kancelarii nie chce być podleczoney Maciej „Łopa” Łopiński. Co więcej, jak wiadomo, rzucił niedawno papierami i w ogóle już nie chce mieć z kancelarią Andrzeja Sebastiana nic wspólnego. Źli ludzie rozповідаją, że chciałby sprawdzić się w biznesie i zostać np. prezesem Lotosu.

Dwa słowa o opozycji nieryśkowej. Jak donosi „Superak”, w ostatnim badaniu partyjnych preferencji PeŁo zajęła szaczone pierwsze miejsce – znaczy pierwsze za podium, czyli czwarte. Chcieliśmy napisać, że to po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, ale to byłaby nieprawda. Pamiętamy bowiem te czasy, kiedy PeŁo była czwartą siłą. Tak jakoś zaraz po swoim powstaniu w 2001 r. Już wiemy, co miał na myśli Schetyna, mówiąc, że jego partia musi wrócić do korzeni.

Tymczasem ofensywa wizerunkowa PeŁo trwa. Mucha śpiewa w okupowanym Sejmie, Nitras grzebie w cudzych rzeczach, a Kidawa-Błońska tłumaczy, że Nitrasowi żal się zrobiło książek Kaczora-Dyktatora leżących na podłodze i chciał je podnieść. Na tym tle były senator PeŁo Józef „Legenda” Piniór wypada całkiem normalnie. Nasze wiewiórki twierdzą, że jak każdy porządny członek elity III RP jest bohaterem wielu taśm i na zarzutach płatnej protekcji się nie skończy.

Wkolejce do golenia w prokuraturze są i inni politycy PO. Okazuje się, że w CBA po Wojtuniku pozostał pokaźny zbiór haków na ministrów minionego reżimu. Między innymi potężna dokumentacja dotycząca pewnego osobnika, który brał łapówki od podwładnych obawiających się, że mogą stracić intratne stanowiska w instytucjach podległych owemu ministrowi. A to tylko najłagodniejszy zarzut z zamykanej właśnie listy. Ech, czasem słowo „zamykanie” brzmi tak proroczo. ©



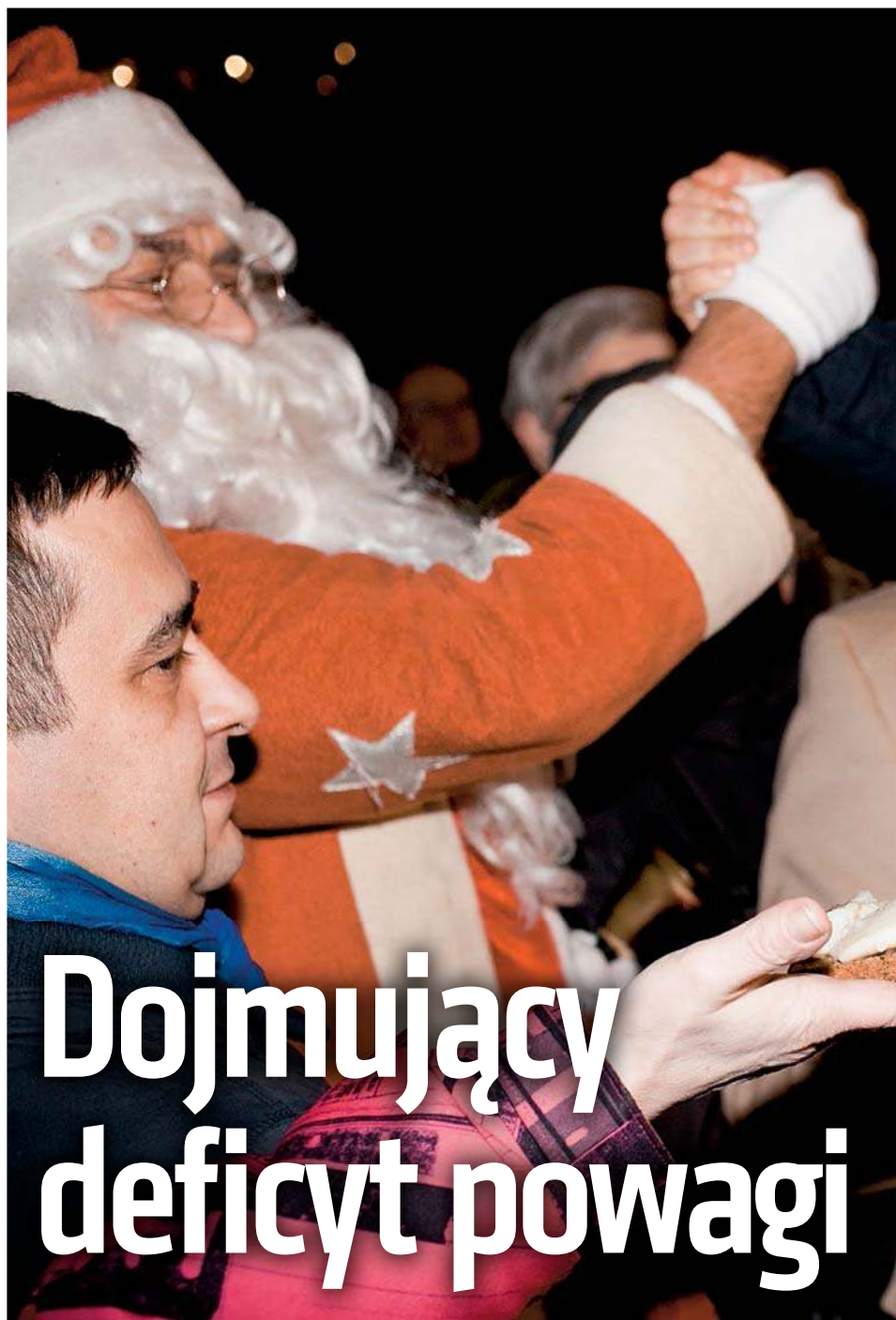
Rafał A. Ziemkiewicz

Dewaluacja słów i pojęć używanych przez przedstawicieli elit opozycji sprawia, że ich działania stają się antyskuteczne

Politycy zawsze i wszędzie mają tendencję do emfazy oraz retorycznej przesady, ale antypisowska linia Nowoczesnej, PO i KOD to coś o wiele więcej niż pocziwa, stara demagogia, do której polityka przyzwyczajają wyborców od pokoleń. Obóz odrzucony w podwójnych wyborach w 2015 r. postawił na propagandę, która świadomie oderwała wielkie pojęcia od ich realnych znaczeń. Doprowadzono do galopującej inflacji słów. Demokracja, wolność, praworządność, reżim, stalinizm, represje, Holokaust – żadne z tych pojęć nie znaczy już niczego. To tylko pociski, które coraz bardziej sfrustrowana opozycja miota w stronę znienawidzonego Kaczyńskiego – tym bardziej groteskowo, że jednocześnie redukując grube kompromitacje swych liderów do rangi „niezręczności”.

Napięcie, budowane pracowicie przez obrońców Rzeczypospolitej okragłostolowej w końcówce ubiegłego roku, było uwieńczeniem tej tendencji. Od początku do końca bazowało ono na bombastycznym nazywaniu spraw stosunkowo drobnych największymi słowami. Spór o zakres obecności dziennikarzy w parlamencie to jedna z wielu kontrowersji, które rozstrzyga się na bieżąco w każdej demokracji, przy czym w całym cywilizowanym świecie dziennikarze mają do budynków parlamentarnych i do samych deputowanych dostęp znacznie bardziej ograniczony niż dotąd w Polsce. Trudno oczywiście nie przyznać, że sposób forsowania zmian przez marszałka Sejmu był nader arogancki, ale robienie z tej sprawy „zamachu na wolność mediów” i „pogwałcenia konstytucyjnego prawa obywateli do informacji” jest zwyczajnie śmieszne i raczej PiS w arogancji utwierdza, niż ją temperuje.

Równie groteskowe było podniesienie proceduralnego incydentu z posłem Szczerbą do rangi ustrojowych imponderabiliów. Zainteresowanych zachęcam do przyjrzenia się, jak bezwzględnie egzekwowana jest dyscyplina w Par-



Dojmujący deficyt powagi

lamencie Europejskim, który dla PO i Nowoczesnej powinien być wzorem. Mówcy przekraczającemu czas po jednym upomnieniu i udzieleniu 10 s na dokończenie po prostu wyłącza się mikrofon, a przewodniczący wedle uznania nakłada surowe kary finansowe za wypowiedzi i zachowania, które uzna za niegodne tego forum (np. Korwin-Mikke zapłacił za słowo „nigger”, mimo że użył go jako cytatu obrazującego po-

stawę, którą potępił). Takie błaznowanie na trybunie, jakiego dopuszczał się poseł Szczerba, nie byłoby tam nawet do pomyślenia.

„PRAWDA”

Idąc dalej, ogłaszanie „kryzysu konstytucyjnego” i „nielegalności” budżetu z tego powodu, że PiS przegłosował go w innej sali (po tym, jak opozycja sama uniemożliwiła zrobienie tego w miejscu



Posel Michał Szczęcha
urósł w oczach opozycji
do rangi bohatera
FOT. PIOTR MAŁECKI/FORUM

zwyczajowym), to coś podobnego, jakby zakwestionować legalność kodeksu karnego dlatego, że urzędnik przepisujący wyrok sądowy przyłożył okrągłą pieczęć tam, gdzie powinna być podłużna. Naturalnie formalności powinny być uszanowane, ale robienie takiego cyrku i wzywanie do ogólnokrajowej rewolucji z powodu domniemyanych uchybień proceduralnych w sytuacji, gdy powszechnie wiadomo, że PiS ma i kworum, i większość, by przegło-

sować wszystko w razie potrzeby po kilka razy w każdej możliwej sali, to kpina ze zdrowego rozsądku Polaków.

Właśnie zdrowy rozsądek wydaje się jednak wrogiem najbardziej uporczywie niszczonego w dyskursie opozycji. Ze śmiertelną powagą i z namaszczeniem oczywiste androny o Kaczyńskim, który „przypomina Stalina”, o „niszczeniu podstawowych wolności” i o tym, że „demokracja została zamordowana” oraz „na naszych

oczach rodzi się faszyzm”, plotą ludzie, którzy z racji pozycji społecznej powinni, zgodnie ze starą zasadą noblesse oblige, szczególnie dbać o racjonalność i merytorykę używanych argumentów. Tymczasem ochoczo odrzucają je na rzecz retorycznego efekciarstwa, przekonani, że jeśli osoba tak ważna „przywali” z obu rąk i nóg, to wstrząśnie opinią publiczną i skłoni ją do zmiany preferencji wyborczych.

Maniera sama w sobie śmieszna, szczególnie odpychająca stała się po serii wyprzedzonych katastrof autorytetów w opozycji. Uciulanie przez prof. Rzeplińskiego 150 tys. zł odprawy za formalnie niewykorzystane urlopy, myszkowanie w rzeczach posłów PiS, eskapada Petru, faktury Kijowskiego – obłudne pomniejszanie tych „incydentów” jako „niefortunnych” czy „niezręcznych” jeszcze bardziej odrzuca w zestawieniu z egzaltowanym językiem używanym wobec obozu przeciwnego.

Słowa stały się dla krążących po antypolskich mediach „autorytetów” – wedle określenia Bronisława Komorowskiego – „pałą prawdy, którą trzeba walić PiS po łbach”. Warto zauważyć, że słowa „prawda” użył były prezydent w tej wypowiedzi bynajmniej nie w jego znaczeniu słownikowym, ale tak jak swego czasu czynili to uczestnicy blokad Samoobrony. „Lepper prawdę mówi!” znaczyło w ich nieco nieporadnej, ale ekspresyjnej mowie: „Wyraża to, co my czujemy i myślimy”. Przejęcie tego języka jest zresztą tylko jednym z elementów szerszego i wartego osobnego opracowania procesu „samoobronizacji” wysadzonych z siodła elit III RP.

Wbrew jednak oczekiwaniom wywijających „pałą prawdy” liderów opinii podnoszenie głosu i sięganie po mocniejsze słowa wcale nie uczyniło ich wystąpień skuteczniejszymi. Raczej przeciwnie – nakręca spiralę wspomnianej na wstępie inflacji i rozszerza ją, czyniąc inflacją nie tylko same słowa, lecz także autorytet tych, którzy ich używają i uporczywie nadużywają. Charakterystycznym przejawem tego zjawiska jest wywiad przeprowadzony za jednym zamachem z czworgiem zaangażowanych politycznie aktorów, który w zamyśle tygodnika „Newsweek” miał być mocnym otwarciem kolejnego sezonu walki z PiS. Magdalena Cielecka, Maja Ostaszewska, Jacek Poniedziałek i Maciej Stuh; którzy w sezonie poprzednim wielokrotnie dzielili się swą niechęcią do PiS i niezgodą na wynik wyborów w wywiadach indywidualnych, powtarzają dokładnie to samo chóralnie i zapewne zarówno oni, jak

■ i redakcja uważają, że w ten sposób wyświechtane frazesy nabierają nowej mocy.

AKTORSKI KWARTET

Ciekawe, czy jest tendencja trwała? Czy po skonsumowaniu wszystkich dostępnych rozpoznawalnych medialnie antypisowców konieczne stało się ich miksowanie i recykling? Jeśli tak, to niebawem zobaczymy bądź przeczytamy wspólny wywiad, w którym Jerzy Stępień, Andrzej Zoll, Marek Chmaj i Marek Safjan jednogłośnie ustalą, że „PiS zniszczył Trybunał Konstytucyjny i obecnie go nie ma” (ciekawe, czyli okazuje się, że państwo może istnieć bez TK? Przez cały ubiegły rok nie mogło), a Agnieszka Holland, Daniel Olbrychski, Ireneusz Krzeziński i Włodzimierz Cimoszewicz wspólnie ogłaszają, że PiS zagraża demokracji. A potem przyjdzie czas na wystąpienie szóstkami, dziesiątkami...

Wspomniany aktorski kwartet z „Newsweeka” przebił się do mediów praktycznie tylko jednym tyłem absurdu, co haniebnym zdaniem Magdaleny Cieleckiej, że wracając z manifestacji ze znacznikiem KOD, „poczuła się jak [...] żydowskie dziecko w tramwaju w czasie okupacji”. W przeciwieństwie do np. ofiar Stalina, nie mówiąc o represjach PRL, nadużywanie dla bieżącej paplaniny martyrologii ofiar Holokaustu budzi jeszcze zauważalny opór; więc aktorka została publicznie pouczona o niestosowności i przede wszystkim absurdalności porównywania swego urojonego męczeństwa do zupełnie realnych i bezwzględnych zbrodni. Proszę mi jednak wierzyć, że cały wywód „antypisowskich” celebrytów naszpikowany jest wypowiedziami równie nonsensownymi, acz nie tak bluźnierczymi. Maciej Stuhr odkrywa nagle „nowe konteksty” (antypisowskie, streszczając go) we wszystkich rolach, które zagrał, nie wiedząc, że już wtedy walczył o wolność. Jacek Poniedziałek oznajmia, że „najważniejsza jest prawda, choćby piekła i bolała”, i dlatego „nie zgadza się na wmawianie Polakom, że Lech Wałęsa to »Bolek«, a i pozostali dostarczają wspaniałych przykładów antypisowskiego obłędu, choćby we wspomnianej wymianie zdań: „Chciałabym po prostu żyć i swobodnie stanowić o sobie, i żeby nikt mi się nie wtrącał w życie uczuciowe, erotyczne, społeczne, zawodowe, żadne”. „A ktoś się wtrąca?” „Nikt jeszcze nie puka do drzwi, ale obawiam się, że tak może wkrótce być”.

Dowodem na istnienie zagrożenia ze strony PiS jest to, że ja się ich boję – w sumie nic nowego, przypominają

się Manuela Gretkowska i jej wyznania z 2007 r., że gdy w nocy widzi za swym samochodem światła innego pojazdu, ogarnia ją strach, że to śledzą ją PiS-owskie służby, i liczne opowieści o traumie przeżywanej przez inne autorytety o godz. 6, czy zapuka do nich ktoś, kto nie jest mleczarzem.

Zarówno jednak oburzające porównanie człowieka ze znacznikiem KOD do żydowskiego dziecka w czasie Holokaustu, jak i równoległe wyznania Krystyny Jandy, która skarżyła się w TVN24, że „przez PiS stała się obiektem nienawiści” i ktoś nawet opluł jej samochód (zwróćmy uwagę – nie przez agresję i histerię, której pełne są od dłuższego czasu jej wypowiedzi, nie przez afirmowanie KOD z takimi jego działaniami jak demonstracyjne płucie na limuzynę prezydenta RP podczas wizyty w Nowym Jorku ani upowszechnianie na swym Facebooku horrendalnych ataków na Polaków identyfikujących się z katolicką i patriotyczną tradycją, tylko

**„Protestem godowym”
nazwał Internet sylwestrową
„lewiznę” przewodniczącego
i wiceprzewodniczącej
Nowoczesnej**

„przez PiS”!), wprowadzając do dyskursu publicznego nową jakość.

Rok temu, u zarania istnienia KOD (zawsze warto przypominać, że ta „obrona demokracji” i retoryczne zdelegalizowanie władzy zwycięzców wyborów jako „reżimu łamiącego konstytucję” odbyły się jeszcze przed zajęciem się przez Sejm ponownym wyborem pięciu sędziów Trybunału Konstytucyjnego), włączający się w jego działania celebryci czynili to w przekonaniu, że staną na czele tłumów i będą przez nie noszeni na rękach, bo przecież, tak jak w pewnym sitcomie, „wszyscy nienawidzą Jarosława”. Teraz nagle orientują się, że się – najdelikatniej mówiąc – wygłupili. Przykład celebrytki, która wspieranie w mocnych słowach czarnego protestu przypłaciła utratą intratnego kontraktu reklamowego z jedną z marek samochodowych, podzielał trzeźwiąco i ci, dla których nienawiść do PiS stała się autentyczną manią, znaleźli się nagle w pustce, boleśnie doświadczając

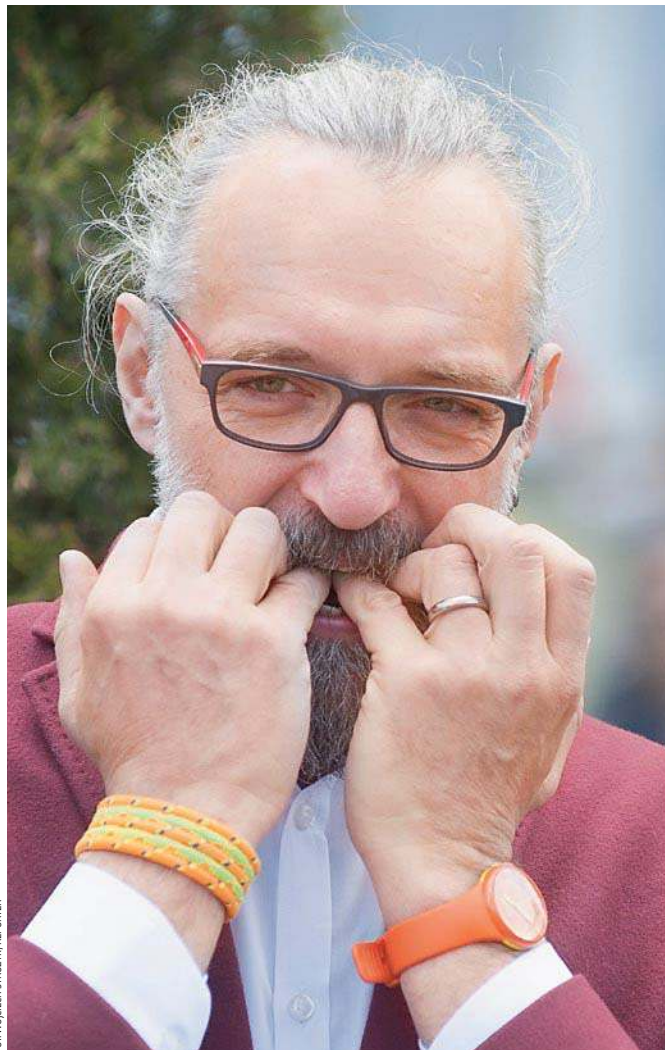
dezaprobaty. Wyłuskana przez tygodnik Tomasza Lisa czwórka skarży się, że nawet w środowisku (a środowisko aktorskie, proszę wierzyć, jest u nas równie dalekie od prawicowych sympatii jak w Hollywood) nikt nie chce z nimi rozmawiać o polityce, o tak ważnej dla nich „obronie wolności”. Poniedziałek czy Ostaszewska, w sposób typowy dla manii prześladowczych, interpretują to jako zdradę kolegów, którzy stali się „prawicowi”, względnie jako przejaw „powszechnego zastraszenia”, choć dla każdego czytelnika oczywiste jest, że koledzy i koleżanki po prostu traktują ich jak wariatów i omijają zapalne tematy, obawiając się nieobliczalnych reakcji – w końcu świeży jest przykład zerwania spektaklu przez Daniela Olbrychskiego, który stwierdził, że nie będzie grał z „pisówką”, która wierzy, że „w Smoleńsku zamordowano prezydenta”.

KOMPROMITACJA

To, że miejsce przekonania, iż płucie na Kaczyńskiego jest łatwym i prostym sposobem nabicia sobie „popularki”, zajmuje identyfikacja oparta na wmawianiu sobie heroizmu – walczyliśmy o wolność wbrew wszystkim i wszystkiemu, zmuszeni znosić za to złe spojrzenia, „zwierzęce odgłosy” i inne prześladowania ze strony nie tylko reżimu, lecz także wspierającego go motłochu – niesie szczyptę nadziei na nowy rok. Polityka nacechowana – jak ładnie ujął to Eryk Mistewicz – „deficytem powagi” doprowadziła do wizerunkowej oraz sondażowej katastrofy PO, a po „proteście godowym” (jak złośliwie nazwał Internet sylwestrową „lewiznę” przewodniczącego i wiceprzewodniczącej Nowoczesnej) zapewne także partii Ryszarda Petru. Zdrowy rozsądek Polaków nie dał się stłumić. Przeciwnie, najwyraźniej sprawdza się stara rzymska maksyma, że kto okazał się niewiarygodny w jednym, ten powinien być traktowany jako niewiarygodny we wszystkim, co mówi. Z poprawką – kto raz okazał się histerykiem, tego trzeba przestać traktować poważnie.

Ma to niestety ten fatalny skutek uboczny, że „ciamajdan”, Petru i Kijowski skompromitowali nie tylko bombastyczną retorykę antypis, ale przy okazji wszelką krytykę władzy. Także tę jak najbardziej zasłużoną i merytoryczną, której władza nie powinna lekceważyć dla swego własnego dobra. Czym bowiem na dłuższą metę kończy się poczucie bezpieczeństwa, że „nie ma z kim przegrać”, widzieliśmy przecież nie tak dawno jeszcze. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Upadek „Ojca Mateusza”



FOT. WOJCIECH STRZYK / REPORTER



Wojciech Wybranowski

O pieniądzach trafiających z KOD do Mateusza Kijowskiego część działaczy tego ruchu wiedziała już od grudnia. Przeciwnicy lidera chcieli go odsunąć od kierowania komitetem. Kompromitujące dokumenty ujawniły teraz media

Początek grudnia, spotkanie kierownictwa Komitetu Obrony Demokracji.

Cel: przygotowanie wyborów regionalnych w stowarzyszeniu. Atmosfera nie jest dobra, od dłuższego czasu w organizacji trwa konflikt między częścią członków zarządu i niektórymi koordynatorami regionalnymi a Mateuszem Kijowskim. Chodzi głównie o przywództwo. W KOD istnieją co najmniej dwie zwalczające się frakcje: jedna zbliżona do Radomira Szumedy, życzliwsza współpracy z PO, i druga – skupiona wokół Kijowskiego. Sprawą konfliktu jest też jednak kwestia pieniędzy ugrupowania. Zdaniem naszych informatorów na tym spotkaniu pytano o środki, które mają trafiać z KOD do Kijowskiego. „Zbuntowani” nie dostają jasnych odpowiedzi. To prawdopodobnie wtedy zapada decyzja, by ujawniając nieprawidłowości finansowe wewnątrz KOD, doprowadzić do odsunięcia dotychczasowego lidera.

– Mateusz jest dzisiaj naszym sztandarem, ojcem założycielem, nikt nie wkłada tyle pracy co on, by struktury funkcjonowały, jeździ, buduje. Jednocześnie nie ma instynktu politycznego, popełnia wpadki, które stają się obciążeniem – opowiada nam były działacz wielkopolskiego KOD.

Od świąt do dziennikarzy zaczęły docierać informacje o sprawie wypłat dla Kijowskiego, który publicznie zarzekał się, że w KOD nie zarabia. Do materiałów finansowych udało się dotrzeć dziennikarzom „Rzeczpospolitej” i Onetu. Pod koniec ubiegłego tygodnia je opublikowali. Wynika z nich, że przynajmniej 90 tys. zł ze zbiorów publicznych na KOD trafiło do firmy Mateusza Kijowskiego i jego żony Magdaleny Kijowskiej. Pieniądze miały być zapłatą za usługi informatyczne, jakie KOD miał świadczyć... sam lider KOD. W ciągu sześciu

miesięcy KOD zapłacił spółce MKM-Studio sześć faktur – każda na kwotę 15 tys. 190 zł i 50 gr brutto. Faktury podpisywał sam Kijowski.

Po tych publikacjach nawet członkowie KOD i sprzyjający im publicyści uznali, że to dyskredytujące dla Kijowskiego. – Powinien zawiesić się w funkcji lidera Komitetu Obrony Demokracji – mówił w wywiadzie dla Radia Merkury działacz KOD z Poznania prof. Krzysztof Podemski.

„Ci, którzy wkopują teraz Kijowskiego, wiedzieli o tym dobrze, ba, wiedzieli również o innych przekrętach” – napisał na Facebooku Zbigniew Zawada, były działacz KOD.

– Sytuacja wyszła dość niezręcznie, ale nie było tu żadnej nieuczciwości czy nieczystości samych działań – tłumaczył się Mateusz Kijowski. Zaznaczył, że sam z KOD nie odejdzie.

W rozmowie z Wirtualną Polską stwierdził, że za wyciekami dokumentów stoją jego niedawni koledzy z KOD. – Nigdy niczego nie ukrywałem. Wiele osób od dawna wiedziało o wszystkim. Dokumenty zostały wczoraj rozesłane do kilku redakcji od kogoś z wewnątrz organizacji. Smutne, że taka prowokacja wyszła z wewnątrz organizacji – powiedział.

Według nieoficjalnych informacji „buntownicy” z KOD z kompromitującymi Kijowskiego dokumentami dotarli nie tylko do „Rz” i Onetu. Jednak tylko te dwie redakcje zdecydowały się na publikację.

Zarząd KOD zlecił kontrolę finansów organizacji. – Do tej pory sądziliśmy, że wszyscy robią wszystko za darmo – mówił Radomir Szumelda na konferencji prasowej zarządu KOD zorganizowanej bez udziału Mateusza Kijowskiego. – Moje zaufanie do Mateusza jest nadszarpnięte – dodał. Pytany, czy Kijowski powinien zawiesić swoje członkostwo, uciął: – To już jego decyzja.



Agnieszka Niewińska

Opozycja tak radykalizowała przekaz, że wielu widzi już tylko rozwiązanie politycznego sporu w konfrontacji. Kim są ci, dla których spokojne manifestacje to już za mało?

W namiotowym miasteczku przed kancelarią premiera na kilka dni przed Nowym Rokiem najwyraźniej zarządzano przerwę w protestowaniu. Nie ma żywego ducha. Wokół dobytek manifestantów przechadza się policja, a połami namiotu szarpie orkan Barbara, odślaniając pozostawione przez protestujących torby, butelki, miski i inny dobytek. Centrum protestów przeniosło się niespełna 1,5 km dalej – przed Sejmem. Już z daleka widać dym unoszący się nad koksownikami i słychać warkot generatora prądu. Poza tym stoicki spokój, a wręcz protestacyjny letarg. Kręci się tylko kilka osób w odbłaskowych kamizelkach z logo organizacji Obywatele RP. – To nie protest antyrządowy, tylko za demokracją – przekonuje dyżurująca w namiocie kobieta. Jak mówi, nie tylko Obywatele RP, lecz także działacze KOD oraz niezrzeszeni solidaryzują się ze strajkującymi w Sejmie. Solidaryzowali się także w sylwestrową noc, co znacznie ożywiło namiotowe miasteczko. Przyszło kilkaset osób. Były: muzyka, przekąski, a z naczepy tira przemówili politycy opozycji i gość specjalny – naczelny „Gazety Wyborczej” Adam Michnik. – Będziemy tu do 11 stycznia albo i dłużej. Przez całą dobę – deklaruje bez specjalnych emocji protestująca członkini Obywateli RP. Ten spokój to tylko cisza przed burzą, bo nastroje – i to po obu stronach politycznego sporu – są coraz gorętsze.

10 stycznia można spodziewać się kolejnych przepychanek na miesięcznicy smoleńskiej, a na 11 stycznia przewidziane jest posiedzenie Sejmu, które przed budynkiem parlamentu może zgromadzić większą grupę przeciwników władzy. Radykalizm powoli zastępuje racjonalizm i zamiast deklaracji o pokojowych protestach coraz częściej przebijają się głosy



tych, którzy nawołują do prowokowania, by władza użyła siły. Radykałowie mają swoje pięć minut.

LŻENIE Z „WAŻNYCH POWODÓW”

Niewątpliwie gwiazdą ostatnich tygodni stał się Paweł Kasprzak, lider Obywateli RP, o których było szczególnie głośno na początku grudnia, kiedy zadeklarowali blokadę 80. miesięcznicy smoleńskiej. Kasprzak przyćmił Mateusza Kijowskiego –

lidera KOD – swoją obecnością w mediach. W wywiadach mówił o swojej opozycyjnej wrocławskiej przeszłości – działalności w NZS, Pomarańczowej Alternatywie, organizacji Wolność i Pokój. Siebie z tamtych czasów nazywa „żołnierzem Frasyniuka”. – Pamiętam Pawła – wspomina Kornel Morawiecki, legendarny opozycjonista, twórca Solidarności Walczącej, a dziś poseł. – Nie był z nami związany, ale niekiedy nasze organizacje współpracowały. Jednak



Paweł Kasprzak i Obywatele RP podczas miesięcznicy smoleńskiej FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

radykałów

jego dzisiejszą aktywność oceniam źle. On i jego organizacja idą na konfrontację. A tu potrzebny jest kompromis. Zarówno ze strony protestujących, jak i większości sejmowej. Powtórka głosowania nie przyniosłaby nikomu ujmy.

Kasprzak przyznaje w wywiadach, że w KOD się nie zmieścił. Chodziło m.in. o deklarację, wedle której działacze komitetu nie stosują metod niezgodnych z prawem. Nie uważa jednak, że Obywatele RP są

radykałniejsi od KOD. – To złe słowo. Nasze hasła są stanowcze, czasem obraźliwe, ale jednak nieporównywalne z tym, co pojawia się na protestach KOD – mówi. – Są przede wszystkim podpisane z imienia oraz nazwiska i nigdy żaden z nas nie powołał się na wolność słowa ani nią się nie zastrzegł. Wolność słowa nie oznacza bowiem prawa do lżenia kogokolwiek bezkarnie i naruszania czyichkolwiek praw – jeśli robimy coś takiego, to z ważnych powodów i przede

wszystkim biorąc odpowiedzialność za wszystko, co mówimy, a nie próbując jej uniknąć. Nie chcemy pozbawić PiS władzy, nie chcemy doprowadzić do przyspieszonych wyborów ani spychać zwolenników PiS na margines życia publicznego – deklaruje. Dodaje jednak, że jeśli już trzeba mówić o większym radykalizmie, to w dążeniu do celów. – Uparliśmy się tu i teraz wymusić praworządność na tej władzy. I tak formułujemy nasze postulaty, żeby

■ Łatwiej było je spełnić, niż z nimi walczyć. Stawiamy opór posłowi Kaczyńskiemu, robiąc to tak, by mógł wyłącznie użyć wobec nas przemocy, czego on oczywiście nie chce, bo koszt polityczny byłby straszny. Tymczasem KOD poprzestaje na protestach, które mają wyrażać oburzenie, co tylko cieszy ludzi PiS uważających, że im większy jest krzyk oburzenia, tym celniej szy był ich cios – uważa.

MA BOLEĆ

Obywatele RP na wyrażeniu oburzenia nie poprzestają, ale konsekwentnie podszypują władzę. Pod koniec listopada czterech aktywistów, mimo zakazu marszałka, weszło na teren parlamentu i protestowało tuż przed sejmowymi oknami, mimo że nie mieli przepustek. Skończyło się zarzutami prokuratorskimi o naruszenie miru domowego i deklaracjami aktywistów, że czyn będą ponawiać.

Uczestnicy ostatnich protestów obok logo Obywateli RP często mają przypięty znaczek z napisem „OSA”. Chodzi o stowarzyszenie Obywatele Solidarni w Akcji. – Jesteśmy stowarzyszeniem czysto technicznym. Tworzymy zaplecze organizacyjne i finansowe dla kilku organizacji protestujących przeciwko polityce PiS, w tym Obywateli RP – mówi Maciej Bajkowski, z którym spotykamy się w namiocie w Alejach Ujazdowskich, bo – jak się okazuje – miasteczko pod KPRM wciąż działa, choć z racji mnogości protestów mogą zdarzyć się godziny, kiedy pod siedzibą premiera akurat nikogo nie ma. Bajkowski to zresztą skarbnica wiedzy o pączkowaniu i umieraniu organizacji sprzeciwiających się polityce PiS. Z dysydentami z KOD Kijowskiego – m.in. z byłym jezuitą Andrzejem Miszkiem – zakładał KOD PP, czyli Komitet Obrony Demokracji Przed PiS, stawiający na radykalniejsze niż KOD metody. Dzisiaj KOD PP, który zresztą też miał swoich odszczepieńców rozwijających skrót PP jako Ponad Podziałami, jest niemal nieboszczykiem. Bajkowski tłumaczy, że stowarzyszenie jest kontynuacją KOD PP. – Może jesteśmy odrobinę bardziej radykalni niż KOD Kijowskiego, o ile w ogóle w jego przypadku można mówić o jakimkolwiek radykalizmie. KOD ma swoją filozofię działania, z którą nie wszyscy się zgadzają. My uważamy, że to, co się dzieje w Polsce, to początki faszyzmu pomieszanego z komuną, więc musi się to spotkać z adekwatną odpowiedzią – mówi. Deklaruje, że zaostrzenia języka sporu i działań – m.in. tych pod Sejmem – się nie

cieszy. – Kto jednak sieje wiatr, ten zbiera burzę. To nie my zaczęliśmy festiwal nienawiści i oszczerstw. To PiS-owskie bojówki torpedowały kampanię Bronisława Komorowskiego – mówi.

Obywatele RP torpedują za to miesięcznice smoleńskie. Od dziewięciu miesięcy organizują „antymiesięcznice”. Ustawiają się naprzeciwko Pałacu Prezydenckiego. Chociaż Kasprzak przez mikrofon nawołuje swoich zwolenników, by traktowali uczestników miesięcznic z szacunkiem, to w przemówieniach nie szczędzi ostrych słów. Prezesa PiS nazywa tchórzem, durniem, cieniasem, łajdakiem, tchórzliwym niegramotnym zerem, a nawet zbrodnicem. – Kaczyński aspiruje do tego, by kierować krajem, którego nazwy nie potrafi nawet poprawnie wymówić,

wszelkich praw, pojawiła się w doktrynie prawa od tego czasu. My chcemy, by Kaczyński wycofał decyzję o ekshumacjach, i myślę, że nasze działania mogą być skuteczne. W końcu przeciw nam uruchomił całą maszynę parlamentarną, by uchwalić nową ustawę o zgromadzeniach. Nasze słowa mają Kaczyńskiego zaboлеć. Po to je wypowiadamy – mówi.

Bajkowski, który także bywa na miesięcznicach, nie widzi sprzeczności w tym, że rok temu mocno piętnowano słowa Kaczyńskiego o „gorszym sorcie”, a dziś używa się wobec niego nie lepszych określeń. – Jeśli widzi się chuligana z bejsbolem, który kogoś atakuje, to nie jest to czas, by mu tłumaczyć, że źle robi. Trzeba go najpierw obezwładnić, zabrać mu kij, a potem można przekonywać, że to



W sylwestra namiotowe miasteczko przed Sejmem ożywił występ Adama Michnika i polityków opozycji przemawiających z naczepy tira FOT. RAFAŁ GAGLEWSKI/REPORTER

cały czas mówi w mianowniku „Rzeczypospolita” – tłumaczy swój ostry język Paweł Kasprzak. Dodaje, że pozwala sobie na obelgi pod adresem Kaczyńskiego ze względu na decyzję o ekshumacjach wszystkich ofiar katastrofy. – Rzeczywiście nie wytrzymałem, ale słowa wobec Kaczyńskiego uważam za uzasadnione. Występujemy w imię godności ofiar i ich poniewieranych rodzin protestujących dotąd samotnie. Tam, gdzie gwałcona jest godność jednostki, rodzi się faszyzm – wielkie totalitaryzmy XX w. właśnie od zaprzeczania godności jednostki się zaczynały i to dlatego godność, jako niepodważalna wartość i źródło

potworne zachowanie – tłumaczy swoje stanowisko.

Kasprzak dodaje, że na miesięcznicach staje przeciw władzy, nie przeciw ludziom, którzy tam przychodzą. – Jesteśmy tam przez nich obrażani nieporównanie mocniej. Ja zostałem wielokrotnie opluty przez uczestników miesięcznic, nazywa się nas śmieciami i ścierwem. Z ust samego Kaczyńskiego padło zresztą wiele fantastycznych określeń. Nic w całym moim życiu tak bardzo nie obrażało moich uczuć religijnych jak te miesięcznice. Jestem chrześcijaninem, a modlitwa na miesięcznicach jest używana w charakterze bluźgu. Uczestnicy

miesięcznic uważają nas za wystanników szatana, mówią o „odkodowaniu” naszych dusz, krzyża używają do tego, żeby nas egzorcyzmować, krzyż staje się znakiem pogardy i nienawiści, a nie odkupienia i miłości – opowiada Kasprzak.

LEŻĄCE PROTESTY

Cezary Jurkiewicz, radny PiS, który współorganizuje miesięcznice, sprawy widzi nieco inaczej. – Przy każdej odprawie służby porządkowej proszę, aby jej uczestnicy nie dali się prowokować, by uspokajali emocje i prosili o wyciszenie – mówi. – Pada jednak wobec nas wiele złych słów, jesteśmy nimi obrzucani w straszliwy sposób, więc wiele osób po prostu nie wytrzymuje. Na filmach Obywateli RP nie widać jednak tego, jak nas obrażają. Są zmontowane tak, by sprawiać wrażenie, że Jarosław Kaczyński im odpowiada, dialoguje z nimi, a to nieprawda – mówi Jurkiewicz. – Ja nie rozumiem tej agresji. Miesięcznica jest przede wszystkim wydarzeniem religijnym, modlitwą za tych, którzy zginęli w Smoleńsku – dodaje.

Jurkiewicz jest zdania, że Obywateli RP zwyczajnie dążą do konfrontacji i podgrzewania emocji. – My nie idziemy na zderzenie, nie ścigamy się z nimi na to, kto pierwszy zgłosi manifestację do ratusza, chociaż moglibyśmy to robić. Rozumiem, że według prawa mogą tam być, jednak wskazuje, żeby robili to pokojowo i kulturalnie. Staramy się zresztą im to umożliwić. Nasze służby porządkowe na prośbę policji osłaniają ich manifestację kordonem, bo ich jest tak mało, że nawet nie są w stanie wystawić własnej służby porządkowej. Wbrew temu, co mówi pan Kasprzak, nie podpisałem z nim żadnego trwałego porozumienia, przed każdą miesięcznicą rozmawiamy w obecności policji, ustalamy reguły. To kontrmanifestanci ich nie dotrzymują. Umawialiśmy się, że pięć minut po skończeniu naszych uroczystości złączą swoje przemówienia, ale oni nie są w stanie wytrzymać – opisuje Jurkiewicz. – Niemal co miesiąc grozili, że rozstawią się centralnie przed Pałacem Prezydenckim. 10 grudnia manifestowali już od rana, pan Kasprzak, z którym przyszedłem porozmawiać, nie był skłonny do żadnego dialogu, po prostu zadeklarował, że nie wejdziemy na teren przed pałacem. Mam wrażenie, że chodzi właśnie o to, by nas sprowokować do agresywnej reakcji, ale my się sprowokować nie damy – zapowiada. Jego zdaniem podgrzewanie emocji na miesięcznicach rozlewa się później

na cały kraj. – Dochodzi do takich zajęć jak blokowanie wyjazdu parlamentarzystów z Sejmu, atak na minister Zalewską i zupełnie nieludzkie uniemożliwianie Jarosławowi Kaczyńskiemu dotarcia na grób brata – wylicza.

Wiosną ubiegłego roku, kiedy Andrzej Misk w obronie konstytucji głodował w namiocie przed kancelarią premiera przez 39 dni, opowiadał w filmach umieszczanych na YouTube, czym jest KOD PP. „Definiujemy zagrożenie demokracji wprost. Jest nim obecnie formacja PiS. Dopuszczamy akty indywidualnego i masowego obywatelskiego nieposłuszeństwa, dopuszczamy – w okolicznościach skrajnych – łamanie prawa, jeżeli to prawo jest złe. Dopuszczamy i żądamy skrócenia kadencji obecnego Sejmu, dopuszczamy coś w rodzaju polskiego Majdanu, oczywiście pokojowego, bezkrwawego” – opowiadał w marcu 2016 r. Dzisiaj Misk aktywny jest już głównie na Facebooku. Jednak wiele z metod, o których mówił w marcu i które wydawały się wówczas dość abstrakcyjne, przeciwnicy PiS już przeciwczyli. Były nawoływanie do obywatelskiego nieposłuszeństwa, osaczanie posłów, którzy pod osłoną policji wychodzili z budynku parlamentu, a nawet fizyczne zaczepki szefowej MEN. W gorącą noc 16 grudnia na drodze poselskich i rządowych aut próbujących opuścić Sejm protestujący się kładli.

W sieci pojawiła się też „Mała instrukcja. Co musi się stać, żeby powstał Majdan” autorstwa Michała Broniatowskiego, naczelnego miesięcznika „Forbes”. A na stronie zachodniopomorskiego KOD opublikowano zdjęcie mężczyzn w pasiakach z przyklejonymi logo KOD, PO, Nowoczesnej, Razem i Kongresu Kobiet. W opisie zdjęcia można było przeczytać: „Kiedy przyszli po Żydów, nie protestowałem. Nie byłem przecież Żydem. Kiedy przyszli po komunistów, nie protestowałem. Nie byłem przecież komunistą. Kiedy przyszli po socjaldemokratów, nie protestowałem. Nie byłem przecież socjaldemokratą” etc. W mediach działacze KOD wyjaśniali, że to nie nawiązanie do Holokaustu, bo w pasiakach stoją nie Żydzi, ale amerykańscy więźniowie z lat 20.

„ZA WSZYSTKIM STOI PREZES”

Im mocniejszy protest, tym mocniejszy towarzyszący mu pakiet rozrywkowy. Nie ma bowiem protestu bez chwytliwych haseł, pieśni na głosy ani satyry. Ta ostatnia ma się niestety nie najlepiej po obu stronach politycznej barykady. Zwolenników KOD i jego mutacji rozśmiesza Klaudia

Jachira, aktorka, absolwentka lalkarstwa, obecnie bez przydziału w teatrze. Swoje produkcje umieszcza na YouTube i Facebooku. W subtelności się nie bawi. „Tajny współpracownik Jarosław Kaczyński” – pieje na melodię kościelnego psalmu, pokazując własnoręcznie zrobioną tęczkę wzorowaną na tych z archiwum IPN. Wyśpiewuje medialne wypowiedzi prezesa PiS – coś o braku prawa jazdy, polonezie, opłu i aborcji. W innej produkcji Kaczyński dzwoni do Tadeusza, żeby ochrzcił mu kota, w kolejnej dialoguje z obrazem Chrystusa Króla, prosząc: „Jezusie, możesz jakoś nacisnąć na Komisję Wenecką, Unię i ONZ, żeby się od nas raz na zawsze odpinkolity?”. – Satyra musi być mocna – przekonuje Jachira. Jednak zaraz dodaje: – Ja w ogóle nie używam w tych filmach wulgaryzmów. Nie obrażam katolików, tylko piętnuję to, co mi się w Kościele nie podoba. Nie chodzi zresztą o wewnętrzne sprawy Kościoła, którego nie jestem członkiem, ale o to, jaki ten Kościół ma wpływ na moje życie. Mam znajomą, bardzo wierzącą katoliczkę i ona nie czuje się moimi filmami urażona.

Przyznaje, że pomysł na satyryczną działalność w sieci przyszedł wraz z kampanią wyborczą, w której startowała do Sejmu z list Nowoczesnej, choć zaznacza, że nie jest ani nie była członkiem tej partii. Nagrała wówczas filmik, w którym przewodzi, co się stanie, gdy do władzy dojdzie Kaczyński. W Sejmie się ostatecznie nie znalazła. – Teraz całkowicie poświęcam się działalności satyrycznej – mówi. Nagrała już ponad 100 filmików. W wielu z nich pokazuje się z lalką przedstawiającą Jarosława Kaczyńskiego.

Czy to może już obsesja na punkcie prezesa PiS? – Absolutnie nie, ja po prostu uważam, że w Polsce dzieje się złe, a odpowiedzialny jest za to Jarosław Kaczyński. Nawet jeżeli jakieś deklaracje padają z ust Andrzeja Dudy lub Beaty Szydło, ja wiem, że za tym wszystkim stoi pan prezes i dlatego jego dotyczy moja satyra. Może 60–70 proc. moich filmików jest o Jarosławie Kaczyńskim, reszta jest o rządzie, Macierewiczu – odpowiada Jachira.

Jest zdania, że PiS powinien mieć więcej dystansu do siebie. – Marszałek Piłsudski, do którego często odwołują się politycy PiS, zapraszał szopki polityczne, w których każdy minister musiał mieć swój odpowiednik. Chodziło o to, żeby politycy zrozumieli krytykę społeczeństwa pod swoim adresem – radzi partii rządzącej. Czy Marszałek w swoje progi zaprosiłby Jachirę?



Piotr Gociek

W ciągu kilku ostatnich tygodni rządzący otrzymali kilka bardzo ważnych sygnałów ostrzegawczych. Być może nawet alarmowych

Dużo śmiechu było w prawicowej części Internetu z akcji Wojciecha Diduszki, sympatyka „Krytyki Politycznej”, który 16 grudnia pod Sejmem ułożył się na jezdni, żeby udawać ofiarę interwencji policji. Śmiech jest nie na miejscu – gdyby nie udało się przypadkowemu obserwatorowi nagrać filmiku pokazującego, jak sytuacja wyglądała naprawdę, w świat poszedłby przekaz o brutalności reżimu i ofiarach na ulicach Warszawy. Zresztą i tak poszedł, tyle że w wersji słabszej – choć to demonstranci odpalali petardy, w zachodniej prasie można było poczytać o policji używającej gazu łzawiącego. A jedna z niemieckich publikacji na temat antyrządowego wiecu pod Sejmem została zilustrowana zdjęciem przedstawiającym tłum demonstrantów z Klubów „Gazety Polskiej”, którzy akurat rządu bronili, i nie pod Sejmem, tylko pod Pałacem Prezydenckim. Jednak kogo interesuje prawda, kiedy trzeba dołożyć „PiS-owskiej dyktaturze”?

WARTO KŁAMAĆ

Członkowie i zwolennicy Komitetu Obrony Demokracji zawzięcie wyliczają w Internecie, ile to razy ktoś na nich krzywo spojrział, zeliżył ich albo popchnął – z reguły tyle w tym zaciętości, ile imaginacji. A gdy przypomnimy sobie, jak ochoczo w buty „ofiar narodowców” wskoczyli liderzy KOD Mateusz Kijowski i Radomir Szumelda (sierpień 2016, pogrzeb „Inki” i „Zagończyka”), to widać będzie wyraźnie, jak marzenie o męczeństwie spaja cały KOD – od wierchuszki do dołów. Pomorski szef KOD, wspomniany Szumelda, tak nie może doczekać się chwili, kiedy zostanie prawdziwą ofiarą, że na owe uroczystości przyszedł już z ręką obandażowaną na zapas, co pokazują zdjęcia dostępne w Internecie. Tyle w temacie rzekomego pobicia, proszę jednak zauważyć, że przekaz pierwotny („Liderzy KOD pobici w Gdańsku” to tytuł z „Faktu”, inne tzw. mainstreamowe media dawały podobne) przebił się do milionów, a wyjaśnienie prowokacji



Zwycięstwo prowokacji

– do tysięcy (głównie czytelników portalu niezależna.pl i „Gazety Polskiej”).

Wniosek z tego jest smutny – warto kłamać, bo efekt propagandowy osiągnięty fikcyjnymi newsami jest większy niż straty wywołane demaskacją. Wojciech Diduszko może sobie pisać na Facebooku, co chce, o tym, jak to leżał na asfalcie, żeby blokować samochody, a nie żeby udawać trupa ubitego przez oprawców ministra Błaszczaka.

WOJNA INFORMACYJNA

Minęły dwa tygodnie od wydarzeń pod Sejmem i doczekaliśmy się kolejnej potencjalnej „polskiej” czołówki zagranicznych serwisów – zabójstwa w Ełku. Szerzej sprawę opisujemy w osobnym tekście, tu chciałbym zająć się tylko jednym jej aspektem.

Spośród wielu tekstów, jakie ukazały się na temat wydarzeń w Ełku, jeden z najciekawszych pojawił się w „Dzienniku Gazecie Prawnej”. Anna Maria Dyner, ekspert z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych,

ocenila w wywiadzie dla tej gazety: „Bez wątplenia Rosjanie z uwagą obserwują, co się dzieło w Ełku. Potencjalnie taki incydent może też być wykorzystany jako element wojny informacyjnej. Wyobraźmy sobie sytuację, w której ofiarami agresji padają obywatele rosyjscy. Bez wątplenia zostałyby to wykorzystane przez rosyjską propagandę”. Warto dodać, że nie musieliby to być koniecznie obywatele rosyjscy, równie dobrze do rozkręcania prowokacji nadałyby się incydenty z udziałem obywateli Białorusi i Ukrainy.

Szybko jednak się okazało, że wydarzenia takie jak to w Ełku mogą stać się elementem informacyjnej wojny polsko-polskiej. Są bowiem w Polsce gazety i komentatorzy, którzy marzą o tym, by wysane z palca przez jakiegoś nadgorliwego zwolennika multi-kulti „autobusy z narodowcami” zajeżdżały do jakiegoś miasteczka, aby dokonać pogromu imigrantów. Oczywiście najlepiej by było, gdyby trafiło na miasteczko nieopodal Jedwabnego, Kielc etc. Na tym nie koniec. Jako że wojna



FOT. PIOTR GRZYBOWSKI / SE FAST NEWS

bitwa policji z kibicami, płonące barykady, dziesiątki rannych). Czy Słupsk może się powtórzyć? Spójrzmy na to, co się działo w maju ubiegłego roku we Wrocławiu, kiedy ponad setka osób protestowała pod jednym z tamtejszych komisariatów po tym, jak z rąk policjanta zginął „poczęstowany” paralizatorem 25-latek.

Sprawa śmierci Igora S. zamieszek nie wywołała. Jednak czy trzeba mieć bardzo bujną wyobraźnię, by wyobrazić sobie, co mogłoby się wydarzyć, gdyby przypadkową ofiarą interwencji policji okazał się nie miłośnik dopalaczy zatrzymany pod dyskoteką, tylko np. uczestnik którejś z manifestacji KOD? I to nieważne, że zatrzymany nie podczas manifestacji i nie za skandowanie: „Precz z Kaczorem Dyktatorem!”, tylko, powiedzmy, za kilka gramów jakiejś substancji „do użytku prywatnego”. I nie w Ełku, tylko w Poznaniu albo we Wrocławiu. I nie „zakatowany”, tylko akurat o słabszym sercu (pamiętają państwo sprawę Polaka zabitego paralizatorem w Kanadzie?).

Przebieg wydarzeń w Ełku pokazuje, że nawet i tego nie trzeba sobie wyobrażać. Może się wszak wydarzyć kolejny akt kryminalny zupełnie niezwiązany z polityką, który błyskawicznie na polityczny da się wykreować (stąd marzenie o „autobusach narodowców”, „pogromie nieopodal Jedwabnego”). Po paru dniach nikt już nie będzie pamiętał, która manifestacja napędzała którą kontromanifestację i czy pierwszy kamieniem w okno jakiejś kebabowni rzucił jakiś nadaktywny kibol czy też petarda w biuro PiS marzący o męczeństwie KOD-uch. Przekaz pójdzie w świat.

OKAZJE PRZYPADKOWE

Dobre okazje mają to do siebie, że najlepiej je wykreować, zamiast cierpliwie czekać. Czy taki scenariusz jest trudny do wyobrażenia? Przypomnę tylko, że do dziś nie wyjaśniono, jaką rolę w zadymach podczas Marszów Niepodległości organizowanych w ostatnich latach rządów PO odgrywali policjanci prowokatorzy (lub ich wtyczki w środowisku kibolskim), nie wyjaśniono kulis podpalenia budki wartowniczej przy ambasadzie rosyjskiej. Nie wszyscy policjanci pałają sympatią do „dobrej zmiany”, niektórzy (dziwnym trafem z jednego ze związków zawodowych) zajmują się głównie kontestowaniem na łamach „Wyborczej” wszystkich propozycji szefa resortu. Nie podejrzewam też, by ustawa dezubekizacyjna sprawiła, że weterani resortu z czasów PRL czują się

szczęśliwi, a ich akurat zasad organizowania „przypadkowych okazji” uczyć nie trzeba. Podobnie jak kolegów wojskowego pułkownika Adama Mazguły.

Jednocześnie frustracja w obozie zwolenników poprzedniej władzy rośnie lawinowo, a wraz z wyczekiwaniem na męczeństwo wzmagają się „gotowość rewolucyjna”. Czy naprawdę jest to skazana z góry na niepowodzenie rewolta tłustych kotów, sytych przeciw głodnym? Wielu publicystów po prawej stronie jest tego zdania. Warto jednak zauważyć, że polską politykę na dobre wyprowadzono na ulice, a tam zapanować nad nią może być trudno. A rewolta, nawet mała, nie musi być zwycięska, by wyrządzić niepowetowane straty wizerunkowe – już nie tylko rządowi PiS, lecz także po prostu Polsce. Czy polskie państwo, które „istnieje teoretycznie”, choć dziś nieco mniej teoretycznie niż za Tuska, jest gotowe na taki obrót spraw? Spieramy się dziś, czy marszałek Sejmu Marek Kuchciński powinien użyć straży marszałkowskiej i w zarodku zdusić próbę nielegalnego okupowania mównicy sejmowej. A o co byśmy się spierali, gdyby 16 grudnia ubiegłego roku demonstranci szturmowali parlament? Nie był to wcale taki niemożliwy scenariusz, od kilku niezależnych świadków tamtych wydarzeń słyszałem bardzo podobną ocenę sytuacji: że gdyby protestujących było o kilka tysięcy więcej, zamiast śpiewania „Czarnego walca” przez KOD Kapelę byłoby zajmowanie pomieszczeń sejmowych przez demonstrantów i wejście na salę obrad. Jak wtedy wyglądałyby święta A.D. 2016 i jak należałoby zakończyć kryzys?

Władzy dopisuje jak dotąd szczęście. Liderzy opozycji (zwłaszcza jeden z nich) wykazują wielką zdolność do autokompromitacji i miotają się między sprzecznymi strategiami. Zadymiarz – prowokator z KOD (ten udający ofiarę) został obśmiany, a nie oplakany. Wydarzenia w Ełku nie były ani elementem wojny hybrydowej, ani „nowym Jedwabnem”. Jednak każde szczęście się kiedyś kończy. Determinacja drugiej strony w sięganiu po rozwiązania, nazwijmy to na razie – „niekonwencjonalne”, zdaje się rosnąć. Do podsycania niepokoju doskonale nadają się elementy skrajne, zarówno z lewej, jak i prawej strony – te pierwsze spinowane przez zachodnich promotorów rozmaitych twórców typu Antifa, te drugie przez rosyjskie służby hodujące specyficzne odmiany polskich narodowców. Dlatego nie patrzę na rok 2017 z optymizmem. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

polsko-polska z rozkoszą prowadzona jest przez jedną ze stron zgodnie z hasłem rzuconym przez Grzegorza Schetynę, by rząd PiS obalały w Polsce ulica i zagranica, to i zachodnim mediom bardzo by się taki pogrom przydał. Jako dowód na to, że Polska to coś pomiędzy Niemcami Hitlera a Węgrami Orbána. Od czego już tylko krok do budowania narracji o tym, jak to ksenofobiczni Polacy nie zasługują ani na członkostwo w Unii Europejskiej, ani na ochronę NATO, o jakichś funduszach unijnych nawet nie wspominając. Zwolnikom takiego obrazu Polski na rękę są incydenty podobne do tego z Wrocławia, gdzie w nocy z wtorku na środek wybito szybę w lokalu z kebabem i wrzucono do środka butelkę z benzyną.

Incydent w Ełku był zwykłym aktem kryminalnym (ze strony zabójców) i chulikańskim (ze strony tzw. demonstrantów). Bardzo łatwo wyobrazić sobie można jednak przekształcenie takiej sytuacji w zadymę przypominającą niesławne wydarzenia w Słupsku z 1998 r. (killkudniowa



Kamila Baranowska

PiS i opozycja przygotowują się na różne warianty tego, co 11 stycznia może się wydarzyć w Sejmie. Obie strony oskarżają się o jak najgorsze plany i zamiary. Czy znów czeka nas ponury show w polskim parlamencie, czy jednak politycy zdołają się porozumieć?

Sejmowe

W mediach i publicznych wypowiedziach obie strony nie spuszczały z ostrego tonu, ale w kulisach od połowy ubiegłego tygodnia toczą się intensywne rozmowy o tym, jak zakończyć konflikt w taki sposób, by każda ze stron mogła wyjść z niego z twarzą.

– Nikomu korona z głowy nie spadnie, jeśli pójdzie na ustępstwa. Sytuacja dla wszystkich jest już bardzo męcząca i należałoby ją jak najszybciej zakończyć i wrócić do normalnej pracy – mówi „Do Rzeczy” Władysław Kosiniak-Kamysz, prezes PSL. Ludowcy, podobnie jak Kukiz’15, nie biorą udziału w okupacji Sejmu.

Zakończenie sprawy nie jest jednak proste. Politycy PO i Nowoczesnej, którzy okupują salę plenarną Sejmu, zapowiedzieli, że nie przestaną dopóty, dopóki PiS nie zdecyduje się na powtórzenie głosowania nad ustawą budżetową. PiS natomiast nie widzi powodu, by to robić. Choć sytuacja jest bardzo dynamiczna, to w momencie zamknięcia tego numeru tygodnika „Do Rzeczy” wciąż aktualne pozostają dwa pytania: Jak wybrnąć z tego pata? Co będzie, jeśli to się nie uda? Na tę ostatnią ewentualność przygotowują się zarówno politycy PiS, jak i okupujący salę obrad posłowie Platformy oraz Nowoczesnej.

PROSTY PLAN PiS

Plan PiS jest dość prosty. 11 stycznia posłowie zamierzają stanąć w sali plenarnej i zająć swoje miejsca. Jeśli w tym czasie parlamentarzysty opozycji będą nadal blokować mównicę lub fotel marszał-

ka, uniemożliwiając prowadzenie obrad, to wówczas marszałek podobnie jak 16 grudnia zarządził przeniesienie obrad do Sali Kolumnowej. – Planujemy posiedzenie Sejmu na sali plenarnej, ale wobec niezgodnych z prawem działań opozycji ani Kancelaria Sejmu, ani marszałek na pewno nie pozostaną bierni – potwierdza w rozmowie z „Do Rzeczy” Andrzej Grzegorzka, dyrektor Biura Prasowego Kancelarii Sejmu.

Dlatego Sala Kolumnowa ma być na taką ewentualność odpowiednio przygotowana. Będzie w niej więcej krzeseł, miejsce dla mediów, więcej kamer oraz maszynki do głosowania. To wszystko ma zapobiec kontrowersjom, które pojawiły się podczas poprzedniego głosowania, m.in. nad ustawą budżetową. Opozycja zarzuca, że w Sali Kolumnowej panował wtedy chaos, nie wszyscy politycy mogli uczestniczyć w głosowaniu, nie wiadomo, kto głosował i czy na sali było wymagane kworum (230 posłów, czyli połowa ich ustawowej liczby).

OPOZYCJA ZABLOKUJE TEŻ SALĘ KOLUMNOWĄ?

– Opozycja żyje w pełnym błędzie, jeśli sądzi, że zdoła sparaliżować działania Sejmu. Będziemy szukali takiego rozwiązania, które usprawni te głosowania, nie trzeba będzie robić tego za pomocą podnoszenia ręki, ale będzie się prowadzić dalej działania w Sejmie – zapowiedział Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla Polskiego Radia 24.

Na taki rozwój wydarzeń zdaje się przygotowywać już opozycja. – Plenarne posiedzenie Sejmu powinno odbywać się

w tej dużej sali. Jeżeli marszałek Kuchciński będzie miał pomysł na to, żeby znajdować inne miejsca do organizacji sesji plenarnej Sejmu, to będziemy tam, bo jesteśmy posłami wybranymi, mamy ważny mandat, który otrzymaliśmy od wyborców – zapewniał w rozmowie z Wirtualną Polską Grzegorz Schetyna. Dopytywany, czy to oznacza, że opozycja chce też blokować obrady w Sali Kolumnowej, odpowiedział tylko: – Będziemy o wszystkim informować. Pytany w TVN24 o to samo lider Nowoczesnej Ryszard Petru odpowiedział zaś, że „wszystko jest możliwe”. – To jest tak, że akcja rodzi reakcję – stwierdził, choć dodał, że wolałby takiej sytuacji uniknąć.

Posłowie PiS realnie obawiają się scenariusza, w którym politycy opozycji podzieleni na grupy będą blokować obie sale – i plenarną, i Kolumnową, dążąc do konfrontacji. Mówią wprost, że opozycja będzie chciała ich zmusić do użycia straży marszałkowskiej, by w świat poszły odpowiednie zdjęcia. Deklarują, że nie dadzą się sprowokować.

Innego zdania jest Stanisław Tyszką, wicemarszałek Sejmu z klubu Kukiz’15.

– Rejterada do Sali Kolumnowej i pozwolenie na dalsze urządzenie cyrku w Sejmie są niedopuszczalne. PiS nie powinien się na to godzić i ulegać presji. Tutaj chodzi o szacunek do organów konstytucyjnych – mówi „Do Rzeczy”. Jego zdaniem w razie dalszego blokowania obrad przez PO i Nowoczesną powinna interweniować straż marszałkowska. – Wiem, że PiS boi się o wizerunek, że tym samym zrobiłby z opozycji męczenników, ale w tej sytuacji nie ma co



scenariusze

wchodzić w jakieś gierki ani przenoszenie obrad. Obrady powinny odbywać się w sali plenarnej i koniec – dodaje.

– Nie wierzę w scenariusz blokowania kilku sal i użycia straży marszałkowskiej – mówi z kolei Władysław Kosiniak-Kamysz, lider PSL. – Obie strony straszą się nawzajem różnymi scenariuszami, utwardzają stanowiska, ale gdy przyjdzie co do czego, to się dogadają. Trwają dość intensywne rozmowy na ten temat, a ja jako lekarz stoję na stanowisku, że dopóki jest nadzieja, dopóty pacjenta trzeba ratować – dodaje.

WARIANT SENACKI

Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” pomysłów na „ratowanie pacjenta” pojawiło się kilka, wśród nich „wariant senacki”. Przewiduje on, że Senat, do którego trafiła ustawa budżetowa, wprowadzi do niej poprawki, co spowoduje, że będzie ona musiała zostać raz jeszcze przegłosowana w Sejmie.

Byłoby to rozwiązanie w jakimś stopniu kompromisowe – z jednej strony spełniony zostałby postulat opozycji ponownego przegłosowania budżetu, a z drugiej PiS nie musiałby wycofywać się z twierdzenia o legalności poprzedniego głosowania w Sali Kolumnowej.

Do rozstrzygnięcia pozostałaby kwestia rozbieżności zdań dotycząca tego, czy poprzednie posiedzenie Sejmu formalnie się zakończyło. – Trzydzieste trzecie posiedzenie Sejmu zostało formalnie zakończone, 11 stycznia rozpocznie się 34. posiedzenie Sejmu – informuje Andrzej Grzegorzka. I na takim też stanowisku

stoi PiS. Liderzy PO i Nowoczesnej są innego zdania i utrzymują, że posiedzenie zostało jedynie przerwane. Gdyby uznali, że posiedzenie zostało zakończone, nie mogliby domagać się reasumpcji głosowania budżetowego, bo zgodnie z regulaminem powtórzenie głosowania jest możliwe tylko podczas tego samego posiedzenia. „Wariant senacki” oznaczałby uznanie, że tamto posiedzenie zostało zakończone.

Senatorowie PiS obawiają się z kolei, że jeśli wprowadzą poprawki i tym samym skierują ustawę do ponownego przegłosowania w Sejmie, to opozycja będzie tym bardziej zdeterminowana, by powtórzyć akcję blokowania obrad. W sprawie ustawy budżetowej obowiązują terminy (musi trafić do prezydenta do końca stycznia), ich naruszenie spowodowałoby dalszą destabilizację sytuacji politycznej, na czym mogłaby chcieć skorzystać opozycja. Dlatego Adam Bielan, wicemarszałek Senatu (PiS), w rozmowie z „Do Rzeczy” podchodzi do tego pomysłu z umiarkowanym optymizmem. Wskazuje, że scenariusz, w którym senatorowie PiS poprą poprawki zgłoszone przez opozycję lub wstrzymają się od głosowania nad nimi, musiałby być „elementem szerszego kompromisu”.

– Porozumienie musi być oparte na wzajemnym zaufaniu obu stron. Opozycja w tej sytuacji musi dać gwarancję umożliwienia przeprowadzenia obrad – wskazuje Kosiniak-Kamysz.

Nie wiadomo jednak, czy Jarosław Kaczyński zechce ryzykować. Zwłaszcza że stoi na stanowisku, iż ustawa budżetowa została przegłosowana w pełni legalnie.

– Nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, że na Sali Kolumnowej było wymagane kworum. Na zdjęciach i filmach można bez trudu zidentyfikować wszystkich głosujących posłów – przekonywał w Polskim Radiu 24.

Z naszych informacji wynika, że marszałek Sejmu zamówił też ekspertyzy prawne w tej sprawie, które potwierdzają, że miał prawo przeprowadzić głosowanie w Sali Kolumnowej i że wszystko odbyło się tam zgodnie z prawem.

Opozycja odpowiada, że gdyby tak było, marszałek nie zwlekałby z ujawnieniem wszystkich nagrań z kamer zainstalowanych w Sali Kolumnowej. Tymczasem od razu ujawniono tylko jedno nagranie (pochodzące z dwóch kamer), odmawiając publikacji nagrania z tzw. kamery bezpieczeństwa, będącej w gestii straży marszałkowskiej. Politycy PiS tłumaczyli, że od początku ze względów bezpieczeństwa sprzeciwiał się temu komendant straży marszałkowskiej.

Zdaniem opozycji nagranie pomogłoby ustalić, czy na sali było kworum. Dzień po powrocie marszałka Kuchcińskiego z urlopu, w środę wieczorem na stronie internetowej Sejmu pojawiło się to nagranie. Widać na nim, że posłowie Platformy i Nowoczesnej byli obecni w Sali Kolumnowej. Wcześniej utrzymywali, że nie zostali do niej wpuszczeni i nie mogli wziąć udziału w głosowaniach. W momencie zamykania tego numeru „Do Rzeczy” nie wiadomo, czy nagranie rozwieje wątpliwości opozycji na tyle, by zakończyła swój protest, czy może wręcz przeciwnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wersji optymistycznej, kolportowanej przez zwolenników rządu, spór o Trybunał Konstytucyjny się zakończył, więc zakończy się również presja ze strony Unii Europejskiej w tej sprawie. Zgodnie z tą narracją wyszliśmy z tego konfliktu obronną ręką. Rzeczywistość jest jednak bardziej skomplikowana. Nie jest to może pyrrusowe zwycięstwo, ale nie jest to też wygrana. Konflikt zaś wcale nie został na poziomie UE zakończony i może nas jeszcze wiele kosztować.

Procedura, którą Komisja Europejska stosuje wobec Polski, zawiera się w artykule 7. traktatu o Unii Europejskiej. Artykuł ten przewiduje dwie sytuacje. Jedną z nich to ryzyko „poważnego naruszenia przez Państwo Członkowskie wartości, o których mowa w artykule 2.”. Słowo „ryzyko” jest tutaj kluczowe, rodzi bowiem duże możliwości rozszerzającej interpretacji i wydaje się oznaczać, że naruszenie może dopiero nastąpić, a nie że już stało się faktem. Druga, groźniejsza dla nas sytuacja to stwierdzenie „poważnego i stałego” naruszenia wartości z artykułu 2. Ta procedura może się skończyć sankcjami, z odebraniem głosu w Radzie UE włącznie.

Artykuł 2. traktatu daje możliwość niemal dowolnej interpretacji. Dla europejskiego establishmentu, widzącego zagrożenie w emancypacji nowych członków UE, a także dla zwolenników poprawności politycznej i wizji federalistycznej wcielanie w życie w państwie członkowskim wartości konserwatywnych, wcale niekoniecznie sprzecznych z założeniami liberalnej demokracji, będzie stanowił jaskrawe naruszenie tego artykułu.

Oba przypadki opisane w artykule 7. różnią się jednak od siebie zasadniczo, jeśli chodzi o sposób działania organów UE. Dzisiaj trwa procedura sprawdzania, czy istnieje ryzyko naruszenia „wartości”, wszczęta „na uzasadniony wniosek” Komisji Europejskiej. Jednak ostateczne istnienie takiego ryzyka może stwierdzić jedynie Rada Europejska (za zgodą PE), która potrzebuje do tego czterech piątych – uwaga! – nie głosów, ale państw. To oznacza, że aby zablokować taką konkluzję, Polska potrzebowałaby sześciu sojuszników. Ze sporym prawdopodobieństwem moglibyśmy liczyć na pomoc Węgier i Wielkiej Brytanii. Być może – choć to już nie jest pewne – dołączyłaby reszta Grupy Wyszehradzkiej, ale to wciąż za mało. Opór wobec wszczęcia przeciwko Polsce tej procedury nie byłby zbyt mocny m.in. dla-

Co nam robi UE



Łukasz Warzecha

Unijni urzędnicy nie mają szans na wymierzenie Polsce żadnej kary. Nie znaczy to jednak, że wojnę o Trybunał PiS wygrał. Sojusznikom za wsparcie czymś trzeba będzie się odwdziżyć, a paliwa dla opozycji wystarczy jeszcze na długo



Dla Fransa Timmermansa, wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej, wojna z polskim rządem jest też sposobem na rywalizację ze swoim szefem. FOT. VINCENT KESSLER/REUTERS/FORUM

tego, że nie wiąże się ona z żadnymi sankcjami. „Rada regularnie bada, czy powody dokonania takiego stwierdzenia pozostają aktualne” – mówi traktat. I to wszystko. Bylibyśmy po prostu na cenzurowanym dopóty, dopóki mądre gremia nie uznałyby, że zagrożenie naruszenia „wartości” minęło. Czyli np. dopóty, dopóki władzy nie odzyskaliby ci, którzy prowadzili wobec naszych najsilniejszych partnerów politykę uległości. Zagrożenie doprowadzeniem procedury sprawdzania do finału istnieje, lecz nie oznaczałoby dla nas wymiernych i natychmiastowych problemów. Raczej spory dyskomfort, nieustające besztanie, wypominanie trwającej procedury – choć nie wolno zapominać, że w polityce międzynarodowej takie niewymierne czynniki nierzadko przekładają się w końcu na konkretne straty.

Paradoksalnie, odwrotnie sprawa się ma z procedurą stałego naruszenia wartości, która przewiduje konkretne kary dla państwa członkowskiego, z zawieszeniem prawa głosu w Radzie UE włącznie. Możemy mieć jednak pewność, że nas to nie spotka. Aby bowiem Rada UE mogła stwierdzić, że dane państwo narusza wartości unijne stale, potrzebna jest jednomyślność pozostałych krajów członkowskich, tej zaś wnioskodawcy w żaden sposób nie osiągną. Okoniem mogą stanąć przynajmniej wspomniane wcześniej Węgry i Wielka Brytania (jeśli w danym momencie nadal byłaby członkiem UE – na razie jej przedstawiciele biorą udział w obradach Rady UE na normalnych zasadach), ale również inne kraje, które będą się obawiać, że drastyczne środki mogłyby zostać użyte kiedykolwiek przeciwko nim. W UE wciąż

żywa jest pamięć o porażce, jaką było kilkanaście lat temu zastosowanie podobnych sankcji (choć wówczas na podstawie jeszcze innych zapisów traktatowych) wobec Austrii, gdy do rządu weszła tam Austriacka Partia Wolnościowa nieżyjącego już Jörga Haidera. UE karała obywateli Austrii za ich demokratyczny wybór, niezgodny z kanonami poprawności politycznej, zaledwie przez kilka miesięcy w 2000 r., poczynawszy od lutego. Szybko się okazało, że wywołuje to takie napięcia wewnątrz unijnej struktury, że już we wrześniu tamtego roku komitet ekspertów UE zalecił zniesienie sankcji.

W obecnej, znacznie bardziej chwiejnej i niepewnej sytuacji Polska jest nieporównywalnie ważniejsza niż Austria w 2000 r., a ustęp 2. artykułu 7. traktatu uważany jest za odpowiednik broni jądrowej – jest straszakiem, którego tak naprawdę nikt nigdy nie chciałby użyć.

CENA ZA SPOKÓJ

Gdzie tu jednak paradoks i dlaczego wszystko to nie oznacza, że można po prostu uznać, iż wojnę z UE wygraliśmy? Wynika to z jednej z odwiecznych reguł dyplomacji – przysługa nigdy nie jest darmowa. Jeżeli w Radzie UE stanęłaby sprawa użycia wobec Polski traktatowej „broni jądrowej”, to każdy, kto się temu sprzeciwi – i tym samym nie pozwoli na jednomyślność – stanie się naszym dyplomatycznym wierzycielem. To samo zresztą dotyczy ewentualnego sprzeciwu wobec procedury łagodniejszej.

Unia Europejska, jak wiadomo, jest miejscem, gdzie cały czas splatają się interesy poszczególnych członków. Nasze, choćby w sferze energetyki, nie są w pełni tożsame z interesami naszych partnerów z Grupy Wyszehradzkiej. Brytyjczykom z kolei zależy na tym, aby w trakcie Brexitu osłabić swoje zobowiązania dotyczące utrzymania zasad wspólnego rynku. Polska ma w tej sprawie inne zdanie, ale Londyn może od nas oczekiwać, że w tej właśnie walucie zapłacimy za jego poparcie w sprawie procedur dyscyplinarnych.

Wzajemne zobowiązania i spłacanie długów to w dyplomacji rzecz normalna. Jednak żelazną zasadą powinno być, że zobowiązania u innych zaciągają się jedynie wówczas, gdy jest to absolutnie niezbędne. Państwo powinno jak najczęściej stawiać się wierzycielem, a jak najrzadziej dłużnikiem. Spór o Trybunał Konstytucyjny przeczy tej zasadzie. To zobowiązanie zbędne, puste, nieprzynoszące żadnej

wartości dodanej. Dług, który już zaciągnęliśmy u niektórych naszych unijnych sojuszników – a być może będziemy musieli zaciągnąć większy – nie daje Polsce żadnej korzyści w ramach wspólnoty. Jego skutkiem jest jedynie uniknięcie problemu, który sami na siebie ściągnęliśmy. Innymi słowy – musimy zapłacić, żeby nie stracić, a nie żeby coś zyskać.

Gdy Jarosław Kaczyński postanowił pograć o TK na ostro, nie przewidywał ani tego, jak długo będzie się ciągnąć awantura, ani że może mieć skutki na postaci rozpoczęcia procedury opartej na artykule 2. traktatu o Unii Europejskiej. Było to strategiczne niedopatrzanie.

Zbliżają się negocjacje w sprawie nowej perspektywy budżetowej UE. Mowa o twardych interesach, więc ideologiczne zastrzeżenia wobec Polski nie będą miały faktycznego znaczenia – i tak od dawna wiadomo, że kolejny unijny budżet nie będzie dla nas tak korzystny jak poprzednie. Dodatkowo nakłada się na to zamiar największych graczy w UE – przede wszystkim Niemiec – aby doprowadzić do renacjonalizacji wspólnej kasy, czyli po prostu odciążenia najzamożniejszych lub przekierowania pieniędzy na inne cele, m.in. na stworzenie stałego mechanizmu podtrzymywania tych, którzy stali się strukturalnie niewydolni, a na utrzymaniu których w UE Berlinowi zależy, tak jak to jest z Grecją.

Inną sprawą jest natomiast to, jak sytuacja będzie przedstawiana. Straty w stosunku do poprzedniej perspektywy budżetowej zostaną z pewnością pokazane przez Platformę i Nowoczesną jako skutek krytyki, która spadła na rząd PiS w związku z działaniami wokół Trybunału. Tej wersji na pewno nie będą zaprzeczać rządy niechętnie polityce Warszawy. Rozpocznie się propagandowa wojna, w której partii PiS znacznie trudniej będzie bronić swoich racji, niż nacierającym atakować.

Jaki jednak jest wciąż punkt zaczepienia dla krytyki polskiego rządu? Przecież w najnowszej ustawie o Trybunale Konstytucyjnym zrezygnowano z wielu krytykowanych wcześniej rozwiązań, m.in. kolejki spraw. Jest nowa prezes TK, której wybór uznali wszyscy sędziowie Trybunału. Sytuacja wydaje się normować. Jednak wciąż pozostaje pierwsza ze spraw, wokół której zaczął się konflikt: trzech sędziów wybranych w poprzedniej kadencji i niezaprzysiężonych przez prezydenta oraz trzech zaprzysiężonych, a przez opozycję uważanych za wybranych wbrew konstytucji.

Tutaj żaden kompromis nie jest już możliwy, więc z punktu widzenia Komisji Europejskiej wciąż jest za co Polskę krytykować. I tak pozostanie dopóty, dopóki będą polityczne wola i paliwo. A nic nie wskazuje na to, aby miały się wyczerpać, przynajmniej w tej kadencji KE.

POLSKA W INNEJ GRZE

Jest bowiem jeszcze jeden aspekt sprawy, lekceważony przez większość polskich polityków: osobiste cechy i zapatrywania pilotującego sprawę Polski pierwszego wiceprzewodniczącego Komisji – Fransa Timmermansa. Ten Holender i katolik, ale przesiąknięty duchem niderlandzkiego kalwińskiego moralizmu, jest pod wieloma względami przeciwnieństwem swojego szefa, Jeana-Claude'a Junckera. Były premier Luksemburga, bon vivant, pokazujący się publicznie na lekkim rauszu, poklepujący przywódców państw członkowskich po plecach, nie ma w Polsce dobrej prasy. A jednak to on byłby znacznie łatwiejszym partnerem do ostatecznego zakończenia sprawy TK na poziomie Unii. Juncker lubi konkret, załatwianie problemów, jest pragmatykiem. Timmermans tymczasem – przy wszystkich politycznych uwarunkowaniach – sądzi, że wywarcie presji na Polskę jest autentycznie sprawą zasad. No i, co oczywiste, wojna z polskim rządem jest jego sposobem na rywalizację z Junckerem. Stąd jego zapowiedzi, że odpuszczać nie zamierza.

Możemy się oczywiście oburzać i wskazywać, że ta sama Komisja Europejska nie ma problemu z naruszeniami swobód obywatelskich w innych krajach. We Francji od miesiąca trwa stan wyjątkowy, dający służbom nadzwyczajne uprawnienia, ale to wątpliwości Brukseli nie budzi. Podobnie jak ograniczenia wolności słowa w krajach skandynawskich, gdzie mediom i dziennikarzom grożą kary za publikowanie informacji o ekscesach i przestępstwach dokonywanych przez imigrantów, bo sądy łatwo kwalifikują to jako „mowę nienawiści”. Tyle że z tego słusznego skądinąd oburzenia nic nam nie przyjdzie. Gramy na takiej, a nie innej pozycji i podkładanie się innym graczom – a na poziomie UE do tego sprowadza się awantura o Trybunał Konstytucyjny – jest lekkomyślnym pozbawianiem się zasobów i energii, które można by spożytkować na inne działanie, realnie budujące naszą pozycję w Unii.



Prawo nie jest do



Maciej Pieczyński

Nawet jeśli Daniel zawinił, od wydawania wyroków są Polacy – mówi Piotr z Ełku. I chyba nie miał na myśli sądów, tylko samosądy. Z tych ostatnich zaś najwięcej korzyści mają zwykli awanturnicy i lewica, która tropi islamofobów nawet wśród ofiar muzułmanów

Dwa dni po zajściu na miejscu tragedii wciąż zbierali się mieszkańcy Ełku. Wielu z nich nie tylko po to, by się pomodlić czy zapalić znicze. Nie było nastroju zadumy. Raczej wściekłość. Jeszcze przed północą w poniedziałek pod drzwiami baru Prince Kebab stało od kilku do kilkunastu gromnie wyglądających młodych ludzi, którzy, jak zapewniali, przyszli tam, by „uczcić pamięć kolegi”. – Nie bał się pan tu podejść? – z rozbrajającą szczerością zapytał mnie jeden z nich. Sam

przyznał, że są nieufni, bo „kręci się tu pełno tajniaków”. Większość młodych zgromadzonych w poniedziałkowy wieczór pod lokalem była po spożyciu alkoholu. – Piję przez to wszystko, co się stało – przyznał 20-letni chłopak, który przedstawił się jako „Byku”. – Znałem Daniela od dwóch lat. Nieraz spotykaliśmy się na ognisku ze znajomymi. Był szczęśliwym chłopakiem, zawsze uśmiechniętym, pomocnym. Bywało, że go prosiłem: „Mordo, nie mam na chleb, pożycz kasę”, i nigdy nie odmó-

wił pomocy. Nie zgadzam się na hańbę człowieka, który umarł w męczarniach od noża obcokrajowca.

TU JEST POLSKA

– Tu jest Polska, nie możemy sobie na to pozwolić! – wtrącił się kolega „Byka”. – To nie my jesteśmy rasistami, ale ci mordercy! To są terroryści! Żeby zabić młodego chłopaka za byle co?! Za to, co zrobili, nie mają już w Ełku życia. To jest wojna – stwierdził. – Oni przyjechali tutaj robić biznes czy na Polaków wyroki wydawać? – zapytał kilkakrotnie Piotr z Ostrołęki, który do Ełku przyjechał pracować. Po chwili złagodził ton: – Ja nie mam nic przeciwko muzułmanom, niech sobie prowadzą interesy, podatki płacą, ale muszą wiedzieć, że nawet jeśli ktoś ich okradł, to nie oni są od wydawania wyroków, ale my, Polacy.

Do młodych dołączył Wojciech Lasecki, Rom, który od 40 lat mieszka w Polsce.



zabijania

Nikt go nie zaatakował za pochodzenie, mimo że nie znał większości grupy. – Nie chcę, żeby nas, Romów, mieszało do tego. My nie mamy z tym nic wspólnego – mówił. Zapewniał jednocześnie, że przez lata życia w Ełku nie spotkał się z rasizmem ze strony mieszkańców.

We wtorek na miejscu tragedii nie było już tłumów. Co jakiś czas ktoś podchodził, by przystanąć na chwilę i zapalić znicze. Emocje powoli opadały, choć można było usłyszeć ostre komentarze. – „Ciapatych” trzeba stąd wyp...olić – rzucił nastoletni chłopak, który wraz z grupą kolegów przyglądał się z dystansu, jak inni zapalali znicze. – To nienormalne, żeby zabić za szczeniacki wybryk. Można nawet po gębę dać, ale żeby z nożem wyśkakiwać?! – oburzała się Roma, kobieta w średnim wieku. Dodała jednak: – Ale nasi też nie są w porządku.

Mimo szoku i wściekłości po śmierci 21-latkę trudno znaleźć wśród

mieszkańców Ełku kogoś, kto otwarcie pochwaliłby próbę zdemolowania lokalu i zamieszki z policją. – Nie powinniśmy z taką nienawiścią podchodzić do obcokrajowców. Nasi też za granicę wyjeżdżają – mówi Alina Przybyszewska.

– U nas obowiązuje prawo, a nie prawo zabijania. Mordercy Daniela tego nie rozumieją, ale my powinniśmy – mówi Marlena. – Ta awantura była niepotrzebna. Jeśli ktoś chce oddać hołd, to niech świeczkę zapali, zamiast burdy robić i jeszcze się wyżywać na policji, jak to źle ich potraktowała.

„BIĆ CIAPATEGO”

Bardziej zdecydowany w ocenie sytuacji jest Cezary Kochan, inżynier dźwięku: – Te zamieszki to wstyd i bandytyzm! Hołota rasistowska – mówi. – Zrozumiałbym, gdyby awantura była naprawdę spowodowana śmiercią tego chłopaka. Jednak kiedy tłum wiwatuje i krzyczy „Brawo!”, patrząc, jak wandale demolują lokal ob-

cokrajowcom, to wiadomo, że ta straszna tragedia była tylko pretekstem, żeby „bić ciapatego”. To było na tle rasistowskim.

Prokuratura przesłuchiwała 28 uczestników niedzielnej awantury. Wobec 25 z nich zastosowano dozór policyjny, dwóch odpowiada z wolnej stopy, a najbardziej agresywny z zatrzymanych (rzucił w policję koktajlami Mołotowa) został tymczasowo aresztowany. Wszyscy usłyszeli zarzut uczestniczenia w nielegalnym zgromadzeniu. Dziewięć osób odpowie za napad na policjanta, za co grozi do 10 lat więzienia. Wojciech Piktel z prokuratury rejonowej w Ełku nie chciał wypowiadać się na temat tła zamieszek. Przyznał jednak: – Nie można powiedzieć, że wszystkim przyświecały te same przyczyny, bo z naszych ustaleń wynika, że niestety niektórzy wykorzystali tę sytuację chyba do tego, żeby po prostu narozrabiać.

O spokój apelował biskup ełcki. Od prób samosądu odcięła się też rodzina



Po zabójstwie do chuligańskich wybryków dochodziło nie tylko w Elku. W nocy z wtorku na środę wybito szybę i próbowano podpalić restaurację z kebabem we Wrocławiu. FOT. POLSKA PRESS/EAST NEWS

■ zamordowanego. Pani Jadwiga, matka Daniela R., na Facebooku napisała: „Proszę o uszanowanie naszego bólu po stracie syna i brata. Jesteśmy wdzięczni za pamięć, ale żadna zemsta nam go nie wróci”.

AGRESYWNY KUCHARZ?

Szeroko cytowany w mediach był facebookowy wpis Daniela, młodego elczanina, który twierdzi, że był w barze Prince Kebab ok. godz. 20 w sylwestra, a więc niedługo przed tragedią. Autor wpisu przyznał, że postanowił zabrać głos w sprawie, ponieważ przeraża go subiektywizm i stereotypowe podejście osób komentujących to zdarzenie. Dodał przy tym: „Jestem zwolennikiem walki z terroryzmem, zatrzymywania i ograniczania napływu uchodźców z krajów arabskich. Stanowczo potępiam politykę Niemiec i Francji w tej sprawie. Jednakże jestem człowiekiem, który ma rozum i zmysły, które pozwalają mi patrzeć”. Tak opisał atmosferę w barze przed tragedią: „Wchodząc, powiedziałem dzień dobry, na co pracownicy z uśmiechem mi odpowiedzieli. Zamówiłem jedzenie na wynos i czekałem na jego odbiór w pomieszczeniu. Było wiele osób, pracownicy uwijali się, nie nadążając z zamówieniami, jednak muszę przyznać, że obsługa była kulturalna i spokojna. [...] w kebabie znajdowało się kilku pijanych mężczyzn. Oni jednak kultury za wiele w sobie nie mając, posyłali raz po raz obraźliwe słowa w kierunku pracowników. Jakże? Ano np. »Dawaj, kur..., te jedzenie, tylko nie pluń, bo ci tym mordę wysmaruję« albo »Ciapaku na kolana i do pana«. Mimo tych uwag pracownicy w milczeniu pracowali dalej. Pod kebabem wybuchały petardy i również było gwarno. W pewnej chwili zauważyłem, że jeden z pracowników,

nie wytrzymując już chyba nerwowo tej sytuacji, wyszedł na zaplecze, skąd wrócił dopiero po dłuższej chwili, najwidoczniej musząc ochłonać. Dali mi jedzenie, życzyli smacznego z uśmiechem na twarzy, mimo iż byli mocno podenerwowani zachowaniem pozostałych klientów. Wyszedłem”. Autor usunął wpis i nie chciał się więcej na ten temat wypowiadać. – Z tego, co ja słyszałem, awanturował się jeden klient, pijany facet. Ponoć oszukali go na 10 zł, więc się wściekł i nawzywał ich. I to na nim powinni się zemścić, zamiast wyzywać się na Danielu, bo on jest niewinny! – twierdzi Piotr z Ostrołęki, który pracuje w Elku. Godzinę przed tragedią w lokalu kebab zamawiał też 17-letni Damian i, podobnie jak Daniel opisujący na Facebooku swoją wizytę w lokalu, zapewnia, że pracownicy byli uprzejmi dla klientów. – Znałem właściciela, był w porządku – mówi. – Ale słyszałem, że kiedyś jakiś chłopak poskarżył się, że dostał zimnego kebaba, a kucharz się wściekł i wyskoczył na niego z nożem – dodaje. Tę samą historię opowiada niezależnie od Damiana Ania, 21-latką, która przedstawia się jako przyjaciółka tragicznie zmarłego Daniela R.: – Mój kolega, Emil, dostał zimnego kebaba, powiedział, że nie będzie tego jeść, i rzucił kebabem w kucharza, który potem go za to z maczetą gonił – opowiada.

Również ofiara tragedii sylwestrowej nie wierzy też, że Daniel ukradłby coś z baru. – Nie był złodziejem, do tego zawsze można było na niego liczyć finansowo, zawsze gdy miał, pożyczał pieniądze. Poza tym był po prostu koleżeński. Można było mu się wyzalić. Nigdy nie odmawiał pomocy – mówi. – Wiem, że miał dozór policyjny, popełnił w życiu błędy, ale chciał je naprawić. Był pracowity, czekał na odbiór prawa jazdy... A w tym kebabie często wcześniej jadał.

O śmierci przyjaciela dowiedziała się tuż po fakcie: – Zadzwoiłem do mnie kolega, że właśnie Daniela zabili. Przybiegłem tu z kolegą i koleżanką. Wszedłem do środka i krzyknęłam, że tak to się nie skończy. A ten „ciapaty” zaśmiał mi się w twarz bezczelnie. Była tam już policja. Kazali nam wyjść. Mój kolega wałnął ręką w szybę i dostał za to mandat.

Łukasz był przełożonym Daniela w firmie kurierskiej, w której ten pracował jako magazynier. – Przyjeżdżał do pracy, robił to, co do niego należało, i wracał do domu. Był punktualny, bezkonfliktowy, nie było z nim żadnych problemów – zapewnia.

PALIWO DLA LEWICY

Zamieszki na ulicach Elku dostarczyły lewicowym ideologom argument na poparcie tezy o polskiej ksenofobii. Ośrodek ds. Monitorowania Nacjonalizmu zaplanował na Święto Trzech Króli prowokacyjny marsz solidarności z muzułmanami z Elku, wskazując przy tym, że przyczyną całej sytuacji było „karygodne zachowanie” Daniela R. Jan Hartman moralnie zrównał tragedię Polaka, zamordowanego przez „Arabusa” (określenie Hartmana), i „tragedię” mordercy, który teraz „ma złamane życie”. Przyczyną obu tych „tragedii” był „antyislamizm sączony do uszu Polaka przez władzę i przez Kościół”, mimo iż nie ma żadnych dowodów na to, że powodem szarpaniny Daniela R. z pracownikami baru była wrogość do muzułmanów. Publicysta „Polityki” pominął też to, że o spokój apelował elcki biskup. Powstaje w ten sposób narracja zrównująca ofiarę z napastnikiem.

Napaść na policję (która dopełniła swoich obowiązków, zatrzymując sprawców zarówno zabójstwa, jak i próby samosądu), zdemolowanie lokalu i mieszkania zabójcy to karygodne, ale jednak skutki, a nie przyczyny tragedii. Potwierdzonym przez prokuraturę faktem nie jest pozostająca w sferze spekulacji antyislamska przyczyna szarpaniny (ani nawet przyczyna zamieszek, bo tłum nie zaatakował obcokrajowców, tylko konkretny lokal, w którym pracowali sprawcy), ale to, że 21-letni Polak zmarł od trzech ciosów nożem zadanych przez Tunezyjczyka, któremu „kazał to zrobić” Algierczyk, przytrzymując ofiarę. Obaj zostawili wykrwawiającego się Daniela bez pomocy. Obaj usłyszeli zarzut zabójstwa. Oba grozi dożywocie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKO



Wojciech Wybranowski

Śledztwo w sprawie byłego senatora Platformy Obywatelskiej i jego asystenta może zostać rozszerzone

FOT. MAREK LIPS/FORUM

Jak CBA tropiło Piniora

Józef Pinior, były senator Platformy Obywatelskiej, jest podejrzany o płatną protekcję i korupcję. Pod koniec listopada został zatrzymany, wraz z 10 innymi osobami, przez CBA. Sąd odrzucił wniosek o jego aresztowanie, ale jednocześnie podkreślił, że zebrane przez służby dowody są mocne i mogą potwierdzać, iż Pinior i jego asystent Jarosław Wardęga świadomie popełnili przestępstwo.

Jak ustaliło „Do Rzeczy”, do końca stycznia prokuratura chce zakończyć przesłuchanie świadków w tzw. zasadniczej części śledztwa. Do tej pory przesłuchano 25 osób, kilkanaście innych niebawem może otrzymać wezwanie do stawienia się przed śledczymi.

Prokurator Piotr Baczyński, p.o. naczelnik Wielkopolskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu do spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji w Poznaniu, tłumaczy, że chodzi o przesłuchanie w charakterze świadków osób biorących udział w załatwianiu spraw, na znajomość z którymi mieli powoływać się były senator i jego asystent. – Chodzi także o gromadzenie dokumentacji potwierdzającej spotkania osób uczestniczących w omawianiu i załatwianiu spraw oraz analizę dokumentacji zgromadzonej u podejrzanych – dodaje śledczy.

Nie jest wykluczone, że po analizie materiałów prokuratorzy ponownie będą przesłuchiwać świadków i podejrzanych. Ci drudzy mogą wówczas usłyszeć jeszcze więcej zarzutów. Gdyby tak się stało, akt oskarżenia w głównej sprawie trafiłby do sądu w najbliższych miesiącach, a pozostałe wątki zostałyby skierowane do dalszych weryfikacji. – W trakcie czynności operacyjnych zostały zebrane materiały wskazujące na możliwość popełnienia przestępstwa przez panów Piniora i Jarosława Wardęgę w sprawach, w których na chwilę obecną nie usłyszeli zarzutów – mówi nam nasz informator związany z organami ścigania. – Teraz będzie to wymagało weryfikacji z zebranymi dokumentami, zeznaniami.

JAK ROZPRACOWYWANO GRUPĘ SENATORA

Postępowanie przygotowawcze w sprawie „afery Piniora” wszczęto 9 marca 2016 r. Podstawą były materiały CBA.

Informatorzy związani ze śledztwem mówią „Do Rzeczy”, że „sprawę operacyjnego rozpoznania”, którą objęto byłego senatora PO, zarejestrowano 16 października

2013 r. we wrocławskiej delegaturze CBA. Na celowniku CBA znalazł się wówczas przede wszystkim Jarosław Wardęga, a w latach 80. aktywny działacz Niezależnego Zrzeszenia Studentów, zaangażowany również w działalność Pomarańczowej Alternatywy. W latach 2004–2009, gdy Pinior był europoseł, Wardęga był dyrektorem jego biura.

Pierwszy wniosek o zastosowanie podsłuchu rozmów telefonicznych Wardęgi funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego skierowali miesiąc po zarejestrowaniu sprawy. Musiałby się na niego zgodzić szef CBA, a potem Sąd Okręgowy w Warszawie. Według naszych informacji ówczesny szef CBA Paweł Wojtunik miał wniosku nie zaakceptować – uznał, że założenie podsłuchu asystentowi senatora rządzącej partii byłoby przedwczesne.

**Były senator i jego asystent
mieli zdaniem śledczych m.in.
obiecować biznesmenom
pomoc w odnowieniu koncesji
na prowadzenie kopalni**

Funkcjonariusze badali sprawę dalej i po kolejnych informacjach ponowili wniosek o zgodę na podsłuch. Taką prośbę złożyli 18 listopada 2013 r. i 10 dni później dostali zgodę także od sądu. Mogli podsłuchiwać asystenta przez miesiąc. Pechowo dla CBA zgoda wydawana jest na konkretny numer telefonu, a współpracownik Piniora w tym czasie akurat go zmieniał.

W 2014 r. CBA ponownie wystąpiło o podsłuch telefonu Wardęgi, ale pierwszy z wniosków znów został odrzucony. Kontrola operacyjna przez wiele miesięcy musiała obywać się bez tego. Dopiero kolejne wnioski (3 kwietnia 2015 i następne – w tym ostatni złożony 21 października 2015 r.) zostały zaakceptowane.

Wobec samego Józefa Piniora kontrolę operacyjną zaczęto stosować dopiero jesienią 2015 r. po tym, jak zarejestrowane rozmowy telefoniczne i SMS-owe, prowadzone przez Wardęgę z kilkoma osobami ze środowiska dolnośląskiego biznesu, zaczęły potwierdzać, że to właśnie ówczesny senator PO może być osobą, która za łapówki podejmuje się załatwienia rozmaitych interesów w instytucjach państwowych i samorządowych. – Część z tych rozmów, zwłaszcza SMS-owych,

prowadzona była w sposób szyfrowany lub przypominający szyfr. Starano się używać niejednoznacznych określeń – opowiada nam nasz informator.

Wniosek o zgodę na „inwigilację” Piniora złożono 22 września 2015 r. CBA chciało go tropić w ten sposób przez trzy miesiące, sąd dał zgodę tylko na 30 dni. Czynności operacyjne wobec byłego senatora zostały zakończone pod koniec października 2015 r., w stosunku do Jarosława Wardęgi trwały dłużej, bo do 17 lutego ubiegłego roku.

GRUBE SPRAWY I PRZYSŁUGI ZA TYSIĄC ZŁOTYCH

Józef Pinior usłyszał zarzuty popełnienia dwóch przestępstw: łapownictwa i płatnej protekcji. Jak ustalono w trakcie śledztwa, były senator i jego asystent mieli m.in. obiecywać dwóm biznesmenom pomoc w odnowieniu koncesji na prowadzenie kopalni koło Łądko-Zdroju. Na konta Piniora i jego współpracowników przedsiębiorcy wpłacili co najmniej 5 tys. zł, a za pomyślne załatwienie sprawy zobowiązali się wpłacić jeszcze 20 tys. zł. Ostatecznie koncesji nie udało się odnowić. Przedsiębiorcy również usłyszeli już zarzuty.

Zdaniem śledczych Pinior wspólnie z Wardęgą mieli pomóc też przedsiębiorcy Tomaszowi G. w uzyskaniu pozwolenia na budowę galerii handlowej w Jeleniej Górze, z pominięciem obowiązujących przepisów przeciwpożarowych. Z materiałów operacyjnych CBA wynika, że negocjując łapówkę – dostali co najmniej 40 tys. zł – polityk i asystent powoływali się na wpływy w resorcie infrastruktury i Komendzie Głównej Państwowej Straży Pożarnej.

Dziennikarka śledcza Anita Gargas w swoim programie „Magazyn śledczy” w TVP ustaliła i odtworzyła przebieg tych wydarzeń. 1 czerwca 2015 r. Tomasz G. spotkał się z Wardęgą, prosząc o pomoc w załatwieniu sprawy w ministerstwie. Dziesięć dni później Pinior spotkał się w tej sprawie z wiceministrem Pawłem Orłowskim. Na konto senatora wpłynęło 5 tys. zł. CBA dysponuje SMS-em, w którym biznesmen informuje o przelaniu tej kwoty. Później dokonuje kolejnej wpłaty. Tydzień po tym Wardęga miał poinformować Tomasza G., że potrzebna jest jeszcze zgoda straży pożarnej. Dochodzi do spotkania senatora i jego asystenta z Tomaszem G. i ten znów przelewa 5 tys. zł na konto polityka. Pinior i Wardę-

ga spotykają się z zastępcą komendanta głównego PSP. Ostatecznie straż pożarna wydaje pozytywną decyzję, a Pinior i jego wspólnik dostają kolejne pieniądze – przelewy przychodziły na konto zarówno senatora, jak i syna Wardęgi oraz jego dziewczyny. Zdaniem prokuratury za tę „przysługę” były senator miał otrzymać w sumie 40 tys. zł.

Sam Jarosław Wardęga usłyszał więcej zarzutów. Według śledczych od jednej z firm wziął 9,5 tys. zł, obiecując kontrakt z jeleniogórskim magistratem. Z kolei biznesmenom z województwa opolskiego za 21 tys. zł obiecywał załatwienie prolongaty długu w państwowym banku. Miał też obiecywać pośrednictwo w uzyskaniu zgody na inwestycję na terenach po dawnej kopalni piasku pod Wrocławiem. – W materiałach operacyjnych zarejestrowano również rozmowy, w których Wardęga, powołując się na senatora Piniora i jego wpływy, zobowiązuje się pomóc pewnemu mężczyźnie w załatwieniu lokalu komunalnego od miasta. Wziął za to 1 tys. zł. Nie wiadomo, ile z tego przekazał senatorowi – mówi nam nasz informator. Dodaje, że podobnych przypadków, gdy Wardęga jako asystent senatora miał żądać po ok. 1 tys. zł za pomoc parlamentarzysty, miało być co najmniej kilka. Za każdym razem Pinior miał w takiej sprawie potem interweniować.

Józef Pinior odmówił nam komentarza. – Do tej pory nie składałem wyjaśnień w prokuraturze. Nie może być tak, że komunikuję się z sądem za pomocą mediów. Do czasu rozpoczęcia procesu sądowego

nie odpowiadam na pytania dotyczące zarzutów i zdarzeń, w których rzekomo miałem uczestniczyć – powiedział „Do Rzeczy”.

Pytamy więc o sprawy, za które zarzutów mu nie postawiono, a które – zdaniem naszych informatorów – zostały utrwalone w trakcie czynności operacyjnych. Czyli o domniemane przyjmowanie pieniędzy za senatorskie interwencje. Tu również pada odpowiedź wymijająca. – Wielu ludzi przychodziło do mojego biura z prośbą o pomoc i starałem się tej pomocy udzielać – mówi Pinior. – Nie słyszałem, by ktokolwiek miał oferować czy przyjmować pieniądze z tego tytułu. Stoję na gruncie polskiego prawa i podkreślam, że dopóki nikomu nie udowodni się winy, dopóty nie można mu niczego zarzucać.

„Myśmy mieli ciężką sytuację, zwłaszcza po przegranej kampanii wyborczej w 2015 r. Senator już nie był senatorem. Ja nie mogłem liczyć na zatrudnienie i pensję jego asystenta. Miałem oszczędności, ale traktowałem je jako żelazną rezerwę” – przekonywał Wardęga w niedawnej rozmowie z „Polska The Times”. Dociskany przez dziennikarza, że część zarzutów dotyczy okresu, gdy obaj dobrze zarabiali, ripostował: „Aaa, mówi pan o tym okresie. To był dla nas jeszcze cięższy czas, bo mieliśmy na głowie kampanię wyborczą. Ciężką, potworną”.

PROBLEM ŚLED CZYCH

Wśród ludzi związanych ze śledztwem panuje spora frustracja. Uważają, że sąd,

nie zgadzając się na areszt podejrzanych, ułatwił im dostęp do świadków i możliwość mataczenia.

– Aktywność pana Wardęgi w mediach, ten spin, że to były pożyczki, to bardzo czytelny przekaz dla pozostających na wolności – co mają mówić i jak tłumaczyć się w sądzie. Decyzja sądu, by pozostawić Jarosława Wardęgi i Piniora na wolności, bardzo zaszkodziła śledztwu – mówi nasz informator związany ze służbami.

Czy tak może być rzeczywiście? O „afere Piniora” pytamy Stanisława Huskowskiego, posła z koła poselskiego Europejscy Demokraci. To wieloletni znajomy Piniora. Czy wiedział o bardzo złej sytuacji finansowej, w jakiej miał być były senator, i jego długach?

– Nic o tym nie słyszałem. Z Józkiem widujemy się jakoś raz na dwa lata – mówi Huskowski. Po chwili dodaje: – Już po zatrzymaniu Piniora i Wardęgi, po wybuchu całej sprawy, teraz niedawno, zadzwoniło do mnie kilku znajomych przedsiębiorców, mówiąc, że Wardęga chciał od nich pożyczyć pieniądze. Oczywiście nic mu nie dali. Więc może coś jest na rzeczy, że pożyczali, bo nie mieli?

O próbie wpływania na świadków w połowie tygodnia napisał również na portalu wPolityce.pl Wojciech Biedroń. Ujawnił, że część już przesłuchanych przez prokuraturę świadków tłumaczyła się „zanikami pamięci”, a także „szumem medialnym”. Część z nich może chcieć zmienić zeznania złożone wcześniej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



**RÓL JEST WIELE
ALE JEDNA JEST NAJFAJNIEJSZA
BYĆ TATĄ**

FAJNIEBYCTATA.PL

**tata ma ma FUNDACJA
MAMY I TATY**

MAMAITATA.ORG.PL



Witold Repetowicz

Polska opozycja w absurdalny sposób przyrównuje sytuację w Turcji do rządów PiS. Tylko że turecka dyktatura i jej zbrodnie zaczęły się w 2015 r. – dokładnie wtedy, gdy wizytę składał tam Donald Tusk

Srodowiska opowiadające bajki o straszliwym totalitarnym reżimie, który jakoby zapanował w Polsce, z lubością cytują wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego z czerwca 2014 r., w której stwierdził, że „trzeba czynić wszystko, by Polska była tym, czym jest dziś Turcja, o niej się mówi, że to poważne państwo”. Problem w tym, że sytuacja w Turcji w czerwcu 2014 r. nie tylko była zgoła inna od tej, która jest obecnie, lecz także diametralnie różniła się od tej, gdy Donald Tusk, jako przewodniczący Rady Europejskiej, chwalił tureckie władze, wylewnie obściskując się z prezydentem Recepem Erdoğanem i premierem Ahmetem Davutoglu.

W czerwcu 2014 r. w Turcji wciąż trwał tzw. proces rozwiązywania, czyli dialog prowadzony między rządem a kurdyjską partyzantką PKK, który kilka lat wcześniej przerwał 25-letnią wojnę. Turcja nie była wprawdzie krajem w pełni demokratycznym, lecz sytuacja w niej w tym czasie była lepsza niż kiedykolwiek wcześniej. Krew się nie lała, funkcjonowały wolne media, zaczęto odbudowywać ormiańskie kościoły, a kurdyjski kandydat w wyborach prezydenckich dostał 10 proc. głosów.

POMINIĘTY DRAMAT

Zmiana nastąpiła nie po nieudanym puczu w lipcu 2016 r., ale rok wcześniej, tuż po wyborach parlamentarnych, które nie usatysfakcjonowały Erdoğan. Gdy we wrześniu 2015 r. do Turcji przyleciał Donald Tusk, nie tylko „proces rozwiązywania” został przerwany, a niezależne media zaczęto zamykać, lecz także krew już się lała w najlepsze. Kiedy w październiku 2015 r. Tusk przemawiał w Ankarze i deklarował pełną solidarność z Turcją, chwalał ją za jej rzekomy stabilizacyjny wkład na Bliskim Wschodzie, od kilku dni trwało oblężenie kurdyjskiego miasta



Tureckie

Cizre. Od wojskowego ostrzału zginęło tam 20 cywili, a mieszkańcy błagali o pomoc. Tusk słowem nie wspomniał o Cizre ani o przejściu przez policję opozycyjnego holdingu Koza İpek, do którego doszło tydzień przed jego wizytą.

Na próżno szukać jakiegokolwiek krytyki takiego postępowania byłego premiera Polski w „Gazecie Wyborczej” i TVN. Wręcz przeciwnie, w 2015 r. w środowiskach tych dominowała praktyka stawiania Turcji za wzór; gdyż rzekomo wkładała ogromny wysiłek w pomaganie uchodźcom. Cóż z tego, że nie miało to nic wspólnego z prawdą i wiadomo było, iż tureckie służby specjalne celowo kierują strumień imigrantów na Europę?

W kwietniu 2016 r. Tusk ponownie pojechał do Turcji. W tym czasie wiadomo już było, że w akcjach pacyfikacyjnych wojska tureckiego zginęło co najmniej 350 cywili, a prawie pół miliona musiało uciekać ze swych domów. Turcja chwaliła się też zabiciem co najmniej 6 tys. bojowników PKK,

przy czym w lutym spalono żywcem 150 osób w dwóch budynkach w Cizre. Tusk z Merkel oraz premierem Turcji Davutoglu odbyli tymczasem pokazową wizytę w „pociotkinowskim” obozie dla uchodźców w Nizip. Były kwiaty, uśmiechy, uściski, tańce i śpiewy. Kilka dni później okazało się, że od tygodni jeden z pracowników obozu gwałcił przebywające w nim dzieci. Gdy go aresztowano, niespełna miesiąc po wizycie Tuska, miał na swym koncie 30 syryjskich chłopców w wieku od ośmiu do 12 lat.

Faktem jest, że w Turcji istniało „równoległe państwo”, pajęczyna stworzona przez Fethullaha Gülena, której istnienie nie miało nic wspólnego z demokracją ani państwem prawa. Struktura ta miała ogromne rozmiary, gdyż tworzono ją przez kilka dekad. Skala aresztowań po puczu nie mogła zatem nikogo dziwić. Wprawdzie tryb czystek nie miał nic wspólnego z praworządnością, ale trudno to porównywać do ignorowanego przez Tuska masakrowania niemowląt w Cizre.



Donald Tusk jako szef Rady Europy nie zająknął się o tragediach podczas wizyt w 2015 r., gdy zaczęła się krwawa dyktatura. Na zdjęciu z prezydentem Turcji w kwietniu 2016 r.
FOT. AP/EAST NEWS

kłamstwo

Żaden poważny kraj, w szczególności należący do UE czy NATO, nie ograniczył relacji międzypaństwowych z Turcją, więc szaleństwem byłoby sugerowanie, że Polska powinna tu wychodzić przed szereg. Pogłębienie politycznej i militarnej współpracy turecko-rosyjskiej w grudniu 2016 r. powinno jednak skłonić do weryfikacji relacji z Turcją, musi to być zaś decyzja wspólna pozostałych państw NATO oraz UE, a nie indywidualna Polski.

Po nieudanym puczu Turcja zaczęła występować do Polski o wydanie mieszkających w naszym kraju „gülenistów”. Chodzi m.in. o osoby związane z fundacją Dunaj i jedną z renomowanych, prywatnych uczelni. Polska jednoznacznie odmówiła, mimo że niektóre kraje Unii Europejskiej, np. Bułgaria, uległy.

Wystarczyło jednak, by minister Waszczykowski, a następnie marszałek Kuchciński odwiedzili Turcję, by te same media, które nie krytkowały wcześniejszych wizyt Tuska lub wręcz chwaliły

Turcję, nagle zaczęły grzmieć, że to dowód na wspieranie przez Polskę represji stosowanych przez Erdoğan.

KRYTYKA I CYTRUSY

Jednak i krytyka ma swoje granice. Zaledwie kilka dni po masowych aresztowaniach w „Cumhuriyet”, największym tureckim opozycyjnym dzienniku, „Gazeta Wyborcza” uraczyła swoich czytelników sponsorowaną wkładką o tureckich cytrusach.

Niemalże równocześnie Stowarzyszenie Europejskich Dziennikarzy wydało kuriozalne oświadczenie, w którym zestawilo „represje” wobec mediów w Polsce i na Węgrzech z tymi, do których dochodzi w Turcji. Czy to naprawdę porównywalne? W Turcji aresztowano ponad 100 dziennikarzy i zamknięto ok. 170 gazet, stacji telewizyjnych i radiowych oraz agencji prasowych. Can Dündar, redaktor naczelny „Cumhuriyet”, musiał uciekać za granicę, gdyż groziło mu do-

żywocie, w dodatku próbowano go zabić (zamach się nie powiódł). Jego „winą” było ujawnienie transportu tureckiej broni dla Al-Kaidy w Syrii.

Na Węgrzech właściciel opozycyjnego dziennika „Népszabadság” sprzedał go firmie rzekomo powiązanej z rządem. Jeśli nawet tak było, to czy w Polsce za rządów PO i PSL nie doszło do podobnej transakcji z „Rzeczpospolitą”, po której wymieniono niemal całą redakcję?

Polskie represje mają zaś polegać na tym, że „Gazeta Wyborcza” odnotowała 20-procentową stratę wpływów z reklam państwowych spółek, a – „co gorsza” – inne media odnotowały wzrost takich wpływów.

BYŁE DOŁOŻYĆ KACZYŃSKIEMU

Wszystkie te zabiegi mają służyć propagandowemu udowadnianiu, że „w Polsce jest tak jak w Turcji”. W szerzeniu tego obłędnego poglądu celują takie „gwiazdy” dziennikarstwa jak Jacek Żakowski i Tomasz Lis. Nie przeszkadza to np. Katarzynie Zuchowicz z należącego do Lisa portalu chwalić się w artykule spędzonymi już po tureckim puczu wakacjami w Antalyi. „Było cudownie” – podsumowała, dodając, że na pewno tam wróci, a te wszystkie doniesienia o represjach i rozlewie krwi to mity szerzone przez ignorantów. A kiedy użytkownicy Twittera dociekali, jak to jest, że portal z jednej strony straszy „Turcją w Polsce”, a z drugiej promuje wakacje w tym kraju, Lis ich zablokował.

Propagowanie tezy, że w Polsce jest tak jak w Turcji, to nie tylko pasożytność na tureckiej tragedii, lecz także odwracanie uwagi od tego, co się tam dzieje. Skoro bowiem w Polsce jest tak jak w Turcji, to wystarczy spojrzeć za okno, by dojść do wniosku, że w takim razie nie dzieje się tam nic strasznego. A to nieprawda. Tyle że rzekomych obrońców represjonowanych tureckich opozycjonistów raczej to nie obchodzi. Chodzi tylko o to, by dołożyć Kaczyńskiemu.

Niektórzy propagatorzy tezy „w Polsce jest tak jak w Turcji” tłumaczą, że może i nie ma u nas palenia żywcem, czołgów ostrzeliwujących miasta, setek zabitych ani tysięcy aresztowanych, ale to przecież dopiero początek i na pewno tak będzie, bo w Turcji zaczynało się rzekomo tak samo. W jednym z reportaży w „Gazecie Wyborczej” zasugerowano nawet, że początek tureckiej dyktatury zaczął się od „grzebania przy telewizji i Trybunale Konstytucyjnym”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Czy zdjęcie ojca pochylonego nad dzieckiem w wózku może obrazować tradycyjną rodzinę? Takie pytanie mieli na próbnej maturze uczniowie. I muszę przyznać, że ja bym tej matury z WOS nie zdał. Dlaczego? Ponieważ dla mnie oczywiste jest, że tak. Sam żyję w tradycyjnej, nie bójmy się tego słowa, patriarchalnej rodzinie od 18 lat i pochylałem się nad wózkami moich pięciorga dzieci setki, jeśli nie tysiące razy. Karmiłem je też, myłem, przewijałem (brz, tego akurat nie lubię), chodziłem z nimi na spacer. Jednym słowem, robiłem to, co robi niemal każdy ojciec w każdej niemal – ze szczególnym uwzględnieniem wielodzietnej – rodzinie. I dopiero z testu dowiedziałem się, że oznacza to, iż nie jestem tradycyjnym ojcem ani nie żyję w tradycyjnej rodzinie. Dlaczego? Ponieważ gdybym w takiej żył, to nigdy w życiu nie pochylałbym się nad wózkiem, o opiece nad dziećmi nie wspominając. Rodzina tradycyjna bowiem to taka, w której... ojciec zajmuje się zarabianiem pieniędzy i reprezentowaniem na zewnątrz. Tak, tak. Gdybyście nie wiedzieli – mężczyzna reprezentuje rodzinę na zewnątrz. Co to oznacza, jeden Pan Bóg (też zresztą Ojciec) raczy wiedzieć, bo



Tomasz P. Terlikowski

Jestem przerażony. Po 18 latach małżeństwa i 13 ojcostwa, po przyjściu na świat pięciorga dzieci dowiedziałem się, że jestem postępowym ojcem. I to z próbnej matury z WOS

w większości rodzin nikt o tym nawet nie słyszał. Ważne za to, że w wydawnictwie OPERON słyszano, a nasze dzieci (i to jest miara dramatu) mogą się tego dowiedzieć z podręcznika do WOS (bo taka wiedza jest tam zawarta). Każdy inny model, np. taki, w którym ojciec dziećmi się zajmuje, jest już postępowy, ba – jak dowiedziałem się w Wirtualnej Polsce od pani Agnieszki Wołk-Laniewskiej – nawet lewicowy. I tak po wielu latach dotarło do mnie, że jestem – przynajmniej w domu – lewakiem i postępowcem.

A może, co wydaje mi się bardziej prawdopodobne, to nie ja stałem się postępowcem, ale autorzy testów i podręczników są lewicowymi wstecznikami, którzy na życie spoglądają przez pryzmat własnej antyrodzinnej ideologii, a nie rzeczywistych rodzin? Gdyby raczyli oni

spojrzeć na świat, to zobaczyliby wielką ojcowską rewoltę, wielki ruch mężczyzn, którzy mają dość wypychania przez teściowe, kulturę i nadmiar zawodowych obowiązków z życia dzieci.

OPÓŹNIENIE AUTORÓW PODRĘCZNIKÓW

I nie chodzi tylko o ojców, którzy z różnych powodów nie mieszkają już ze swoimi dziećmi, ale chcą zachować z nimi kontakt (wcześniej było ich o wiele mniej), lecz także o rzeszę mężczyzn, którzy odkrywają, że właśnie ojcostwo jest najważniejszym zadaniem w ich życiu i że oni są najważniejszymi mężczyznami w życiu swoich córek i synów. Od nich, od nas zależy ich przyszłość.

Naocznym świadkiem tego ruchu byłem w dniu, gdy startowały czarnopara-



W dużej rodzinie podział obowiązków, a także ich wymiennność to norma. Tomasz P. Terlikowski z żoną i dziećmi FOT. FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI/AGENCJA GAZETA

ojcem

solkowe protesty w Warszawie. To wtedy w Ożarowie Mazowieckim w wielkiej hali spotkało się ponad tysiąc mężczyzn, by celebrować własne ojcostwo, radować się nim, a także by zgłębiać jego tajniki, uczyć się lepszych relacji z dziećmi. Wszystko pod szyldem Tato.net, czyli organizacji, która od lat organizuje szkolenia dla ojców, a także wspólne wakacje dla ojców i synów, ojców i córek. Tym, co łączyło mężczyzn na sali, był – uwaga, uwaga postępowcy! – dość konserwatywny, chrześcijański światopogląd. Oczywiście ojcowie, tak jak w wielu miejscach, różnili się między sobą politycznie czy społecznie, ale tym, co ich łączyło, była wiara w Boga, uznanie roli modlitwy w życiu i postawienie rodziny oraz bycia ojcem na pierwszym miejscu. Ojcostwo zaś w wydaniu tych mężczyzn nie ma nic wspólnego z „reprezentowaniem rodziny na zewnątrz”, lecz jest raczej pełnym zaangażowaniem w jej rozwój.

OJCOSTWO FULL TIME

Jak wygląda to pełne zaangażowanie? Cóż, zaczyna się – podejrzywam, że nie tylko w moim przypadku – ok. godz. 6 rano, gdy próbując się modlić, zazwyczaj robię to już z dziećmi na kola-

nach. A potem jest już zwyczajnie. Trzeba przygotować śniadanie (to akurat robi żona), pomóc dzieciakom się spakować, odwieźć je do szkoły, przy okazji w samochodzie modłać się (w tradycyjnej rodzinie – takiej jak Pana Jezusa – to ojciec, a nie matka odpowiada za wychowanie religijne). Teoretycznie później jest czas na pracę, ale często jest to teoria. Niejednokrotnie było już tak, że pół godziny po dostarczeniu dzieci do szkoły odbierałem telefon, że trzeba je odebrać, bo... boli je brzuszek albo głowa. I kto ma to zrobić, jeśli nie ojciec? Innym razem trzeba je zawieźć do lekarza, na badania czy jeszcze gdzie indziej. Słowem – godziny lecą. A potem są: odebranie dzieci ze szkoły, rozwożenie ich na zajęcia, dostarczanie na zbiórki, zajęcia dodatkowe, rozmowy (każde z dzieci musi być „zaopiekowane” osobno), dodatkowe domowe lekcje, modlitwa, śpiew, zabawy. Od momentu, gdy przychodzę do domu, mogę pomarzyć o czasie dla siebie. I tak aż do godz. 21.30, kiedy wszystkie dzieci idą spać. Plus soboty i niedziele, kiedy dochodzi robienie obiadów (uwielbiam gotować, pewnie tak jak Piotr Semka, choć o wiele gorzej mi to wychodzi), wycieczki, wyjazdy itd. Uwielbiam zresztą ten czas. Nic nie może się równać z momentem, gdy wchodzę do domu i zewsząd zbiegają się dzieci, a ze swojego pokoju wyłania się lekko już zbuntowana nastolatka, i opowiadają o tym, co im się przydarzyło... A gdy, nie daj Boże, sugeruję, że mam jeszcze coś do zrobienia, małe bezczule oznajmniają z uśmiechem: „Sam mówisz, że dzieci są ważniejsze od pracy”. Szach-mat.

Podobny model rodzicielstwa i ojcostwa ma ogromna większość moich znajomych, tych jak najbardziej konserwatywnych. Część z nich dodatkowo angażuje się w ruch skautowy (tradycjonalistyczny albo katolicki), prowadząc drużyny dla swoich i przyjaciół dzieci, organizuje zajęcia sportowe, kółka teatralne itd. A młodsze dzieci wyprowadzają w wózkach na spacer, przewijają itd. Część z nich opisuje to na swoich blogach (ojcowskie blogi to osobny, gigantyczny ruch w Internecie), inni dzielą się swoim zaangażowaniem w mediach społecznościowych, ale ogromna większość po prostu angażuje się w życie swoich dzieci. Zapewne o wiele mocniej niż nasi ojcowie, choć akurat ja nie mogę narzekać, bo pamiętam swojego tatę wychodzącego ze mną na dwór, wożącego mnie na różne imprezy i dającego grać w gry,

na które mama nigdy by się nie zgodziła. Pamiętam też tatę w kuchni, gdy mama była chora, i robiącego zakupy. Słowem – postęp w czystym wydaniu.

GDZIE TA TRADYCJA?

Oczywiście nie da się ukryć, że na taką skalę tak mocne zaangażowanie ojców jest zjawiskiem relatywnie nowym. Jednak wcale nie wynika to z tego, że tradycyjny model jest inny, ale z tego, że w Polsce przez ostatnich kilka pokoleń budowano społeczeństwo z tradycji wyluzowane, nowoczesne, postępowe, czyli takie, w którym ojciec i matka są poza domem, a dziecko biega z kluczem na szyi. Jeśli ktoś się z tego modelu wyłamywał, to matki, a ojcowie, jak to ojcowie, gdy się ich z pewnej roboty zwolniło, to ze zwolnienia korzystali. Jeśli jednak sięgnąć do realnych tradycji, szczególnie tych religijnych, to okaże się, że rola ojców zawsze i wszędzie jest potężna. W tradycyjnych rodzinach żydowskich to ojciec prowadzi synów do synagogi, on uczy ich czytać Torę, on jest w pełni zaangażowany w ich wychowanie. Święty Józef, wszystko na to wskazuje, odgrywał taką samą rolę wobec małego Jezusa. W chrześcijaństwie było podobnie. Święty Jan Paweł II został uformowany właśnie przez ojca, a wielu jest jeszcze innych takich świętych i bohaterów.

Kolejne rozbiory, wywózki i wojny sprawiły, że w Polsce ten model przyjął się jakby słabiej. U nas, wbrew bzdurom opowiadanym przez feministki, nigdy nie funkcjonował patriachal, lecz raczej matriachal. To matki, często bohater-sko, brały na siebie – pod nieobecność ojców – kolejne obowiązki, angażowały się we wszystko i to nawet wtedy, gdy mąż – co wcale nie zawsze się zdarzało – wrócił. Ich synowie obserwowali ten wzorzec i uczyli się go, a potem przekazywali kolejnym pokoleniom, a gdy do tego doszedł komunizm, nastąpiła pełna stagnacja. Teraz na szczęście powoli się to zmienia. Ojcowie wracają na swoje miejsce, a proces ten następuje błyskawicznie szczególnie w tzw. tradycyjnych, wielodzietnych rodzinach. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta.

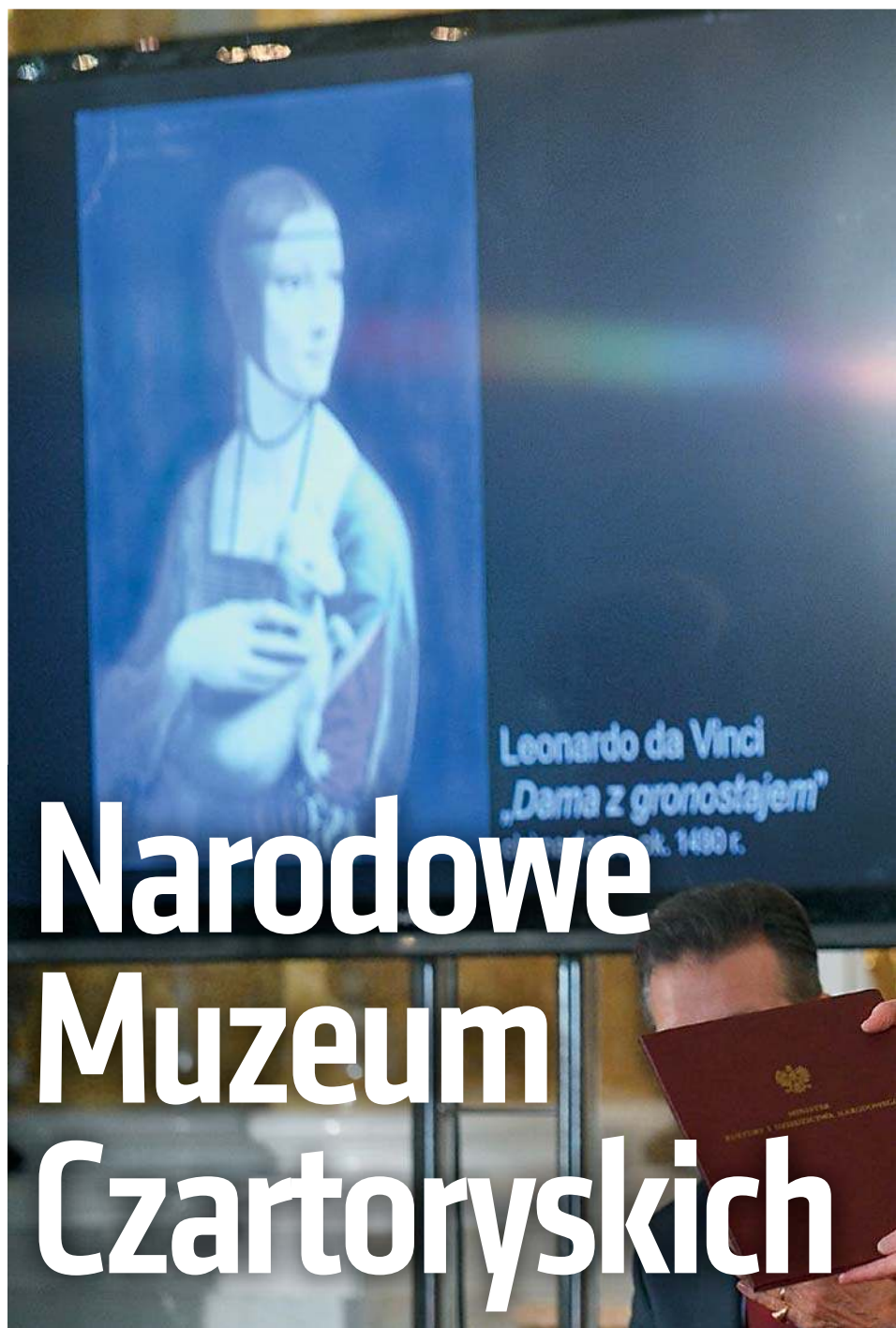
W dużej rodzinie podział obowiązków, a także ich wymiennność, jest normą. A gdybym zasugerował mojej, jak najbardziej konserwatywnej żonie, że od teraz jedynie reprezentuję rodzinę na zewnątrz, to dostałbym solidnego kopa... w bardzo niereprezentacyjną część ciała.



Tomasz Lenczewski

Pod koniec roku doszło do bezprecedensowej transakcji między Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego a Fundacją XX. Czartoryskich. Państwo nabyło bezcennie dobra kultury narodowej za realistyczną cenę. Na ocenę zasadności tej umowy trzeba jednak poczekać

Na Zamku Królewskim w Warszawie podpisano umowę, na której podstawie na własność Skarbu Państwa przeszła największa i najcenniejsza prywatna kolekcja w naszym kraju. Jej historia liczy przeszło 200 lat. Zbiory te zainicjowała w Puławach księżna Izabela z Flemmingów Czartoryska (1746–1835), która kierowała się chęcią ratowania pamiątek narodowych po III rozbiórze Polski. Kolekcja uratowana z pożogi powstania listopadowego z 1830 r. była troskliwie przechowywana w Hôtel Lambert w Paryżu. Mieściło się tam centrum polskiej polityki na emigracji, a kierował nim Adam Jerzy ks. Czartoryski. W drugiej połowie XIX w. zbiory trafiły do Krakowa i znalazły swoje miejsce w zakupionych specjalnie na ten cel i przebudowanych budynkach miejskich. Równocześnie powstała wyjątkowa instytucja – Muzeum i Biblioteka Książąt Czartoryskich. Celem trwałego zabezpieczenia zbiorów prawnuk przywódcy Hôtel Lambert, Adam Ludwik ks. Czartoryski (1872–1937), ustanowił ze swych dóbr w Sieniawie ordynację rodową, z którą związał prawnie muzeum. Po okresie okupacji niemieckiej, podczas której muzeum poniosło pewne straty, władze Polski Ludowej nie upaństwowiły kolekcji, ale uczyniły z instytucji oddział Muzeum Narodowego w Krakowie. Muzeum przechodziło wówczas różne metamorfozy, a zbiory były uszczuplane. Niektóre eksponaty przenoszono do innych placówek. Po upadku PRL doszło do sądowego potwierdzenia praw własnościowych do muzeum ostatniemu męskiemu potomkowi gałęzi sieniawskiej rodu – ks. Adamowi Karolowi



Narodowe Muzeum Czartoryskich

Czartoryskiemu y de Borbón, wnukowi założyciela ordynacji w Sieniawie.

NIE TYLKO „DAMA Z GRONOSTAJEM”

Perłę kolekcji stanowi „Dama z gronostajem” Leonarda da Vinci, jeden z kilkunastu zachowanych obrazów mistrza renesansu. Zrabowana w czasie wojny przez Niemców, powróciła do Krakowa po jej zakończeniu. Niestety, do dziś nie

udało się odzyskać innej muzealnej perły – „Portretu młodzieńca” autorstwa Rafaela Santiogo. Wśród innych 590 obrazów należących do muzealnej galerii znajduje się też inne arcydzieło – „Krajobraz z miłośnikiem Samarytaninem” pędzla Rembrandta van Rijna. Liczba eksponatów muzeum to 86 tys., z czego grafiki i ryciny to ok. 50 tys. (m.in. Albrechta Dürera i Rembrandta). Do czasów zamknięcia muzeum eksponowano w nim 2,5 tys.

Uroczystość podpisania umowy między
Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa
Narodowego a Fundacją XX. Czartoryskich

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM



przez ustawodawstwo państwowe II Rzeczypospolitej i surowe prawo powojenne. Zdaniem wielu ekspertów, w tym przeciwników ich sprzedaży, zbiory, chociaż formalnie prywatne, nigdy nie były zagrożone wyprzedaniem. Wynikało to z opieki administracyjnej i konserwatorskiej, jaką rozciągało nad nimi Muzeum Narodowe w Krakowie.

FUNDACJA XX. CZARTORYSKICH

W 1991 r. ks. Adam Karol Czartoryski ustanowił ze zbiorów i z nieruchomości stanowiących Muzeum i Bibliotekę Fundację XX. Czartoryskich. „Ojcem chrzestnym” tej instytucji był faktycznie prof. Włodzimierz ks. Czartoryski, z młodszej gałęzi rodu, działacz Solidarności i syn przedwojennego kuratora zbiorów. Do stworzenia takiego stanu prawnego doprowadził ówczesny minister kultury i sztuki oraz długoletni dyrektor Muzeum Czartoryskich Marek Rostworowski. W statucie zaznaczono, że prezesem zarządu będzie dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie. Sama idea fundacji nawiązywała do tradycji i statutu zniesionej ordynacji sieniawskiej. W statucie podkreślono, że fundacja ma charakter wieczysty, a jej majątek jest niezbywalny. Od początku powołana fundacja borykała się z kłopotami materialnymi, będącymi wynikiem braku trwałego zaplecza finansowego w postaci przejętej w 1945 r. przez państwo dawnej ordynacji. Wobec braku przepisów repywatyzacyjnych odzyskanie choćby samego zespołu rezydencji w Sieniawie na drodze prawnej było przedmiotem długoletniego postępowania prawnego bez pozytywnego zakończenia. Konstrukcja prawna fundacji związana z udziałem w jej zarządzaniu Muzeum Narodowego w Krakowie stała się z czasem zarzewiem konfliktu. W 2003 r. doszło do zmiany statutu fundacji i pozbawienia dyrektora Muzeum Narodowego funkcji prezesa zarządu fundacji. Od tego czasu przez wiele lat funkcję prezesa sprawował kuzyn fundatora – Adam hr. Zamoyski. Na ten okres przypadły dziewięciokrotnie wyjazdy z kraju „Damy z łasiczką” oraz nowatorskie inspiracje muzealne mające na celu stworzenie z muzeum na wskroś europejskiej instytucji. Pojawił się pomysł sprzedaży części dzieł muzealnych, które zdaniem fundacji nie stanowiły integralnej części zbiorów. Wcześniej nastąpiło również wycofywanie ze zbiorów muzealnych depozytów rodzinnych, niew-

przedmiotów sztuki starożytnej, zdobniczej, malarstwa i militariów. Szczególne miejsce zajmują w zbiorach pamiątki narodowe po sławnych Polakach, m.in. królach, hetmanach i bohaterach narodowych, oraz chopiniana. Biblioteka będąca integralną częścią zespołu liczy 240 tys. woluminów, a archiwum obejmuje 13 tys. jednostek (m.in. średniowieczne rękopisy, w tym iluminowane „Kronikę” Jana Długosza z XV w., akt unii polsko-litewskiej

w Horodle z 1413 r. oraz hołdu pruskiego z 1525 r.). Ze względu na swoją wielkość i różnorodność wartość materialna całego zespołu jest trudna do oszacowania. Występujące w prasie wartości rzędu od 1,5 do 10 mld zł mają charakter czysto teoretyczny i szacunkowy. Tym bardziej że możliwość jego sprzedaży nigdy dotąd nie była przedmiotem rozważań. Zbiory, choć prywatne, podlegały od końca XIX w. zapisom statutu ordynacji, były chronione

chodzących w skład majątku fundacji, ale znajdujących się również w ekspozycji muzealnej. W 1997 r. „Gazeta Wyborcza” bezskutecznie usiłowała naświetlić sprawę sreber rodowych Czartoryskich, które właściciel przekazał Fundacji Zbiorów im. Ciechanowieckich. W 2011 r. zarząd pod kierownictwem Adama hr. Zamoyskiego zdecydował o remoncie pozostających w fatalnym stanie budynków muzealnych. W efekcie zamknięto muzealne podwoje, a remont z braku należytego dofinansowania trwa do dziś. Nie bez znaczenia w całej tej sprawie było również to, że książkę – fundator – mieszka poza Polską i jest słabo z nią związany. Jego związki rodzinne z pozostającymi w Polsce licznymi członkami rodu Czartoryskich uległy osłabieniu do tego stopnia, że w ostatnich władzach fundacji nie znalazł się żaden z ich przedstawicieli. Osoby związane ze środowiskiem muzealnym Krakowa wspominają jego trudny i apodyktyczny charakter. Sytuacja fundacji była od lat dość skomplikowana. Najważniejszymi problemami, przy często zmieniających się jej zarządach, stawały się przedłużający remont budynków muzealnych i trudny do sprecyzowania termin jego zakończenia. W tych warunkach doszło w minionym roku do rozmów fundatora z przedstawicielami ministerstwa zmierzających do wykupienia zbiorów fundacji przez państwo.

PAŃSTWOWE CZY PRYWATNE?

Już pierwsze informacje o możliwości sprzedaży zbiorów fundacji wywołały narastającą lawinę krytyki z różnych stron. W toku tajnych pertraktacji między fundatorem a ministerstwem ustąpił w proteście zarząd fundacji z dr. Marianem Wolskim-Wołkonowskim, który został pominięty w całej sprawie. Aktualnie nie znamy pełnego tekstu umowy transakcji, również na stronie internetowej nie znalazł się dotąd nowy, zmieniony w błyskawicznym tempie, statut fundacji, który umożliwił jej sprzedaż.

Według prezesa Fundacji Lanckorońskich Piotra hr. Pinińskiego transakcja ta budzi poważne wątpliwości co do jej sensu. Sama założycielka fundacji, prof. Karolina hr. Lanckorońska, jeszcze za życia podarowała swoje tematyczne zbiory malarstwa wraz z dwoma obrazami Rembrandta zamkom królewskim w Krakowie i Warszawie. Od okresu międzywojennego do dziś zarówno Fundacja Lanckorońskich, jak i rodzina Pinińskich przekazały instytucjom państwowym w Krakowie, we Lwowie i Wrocławiu całe kolekcje zbiorów sztuki. Wszystkie te dary były

bezwarunkowe, bezinteresowne i bez jakichkolwiek korzyści finansowych. Zdaniem prezesa nie ma niczego wstydliwego w tym, że europejskie rodziny arystokratyczne są zmuszane do wyprzedzania dzieł sztuki. Zagrożenie istnieje tylko wówczas, jeśli dzieła te mogą być sprzedane za granicą. Tak jest np. w Wielkiej Brytanii, gdzie mimo restrykcji prawnych rząd zawsze kupuje dzieła grubo poniżej wartości rynkowej, bo ma możliwość utrudniania potencjalnych transakcji. Tymczasem w Polsce, która ma bardziej

rygorystyczne przepisy, zagrożenia sprzedażą za granicę nie ma. Czy nie lepiej byłoby, zamiast wydawać 100 mln euro na dzieła należące do zbiorów dostępnych wszystkim, dofinansować i wzbogacić zbiory polskich muzeów, które ucierpiały podczas wojny, w światowej klasy dzieła sztuki nabyte za granicą? Wobec transakcji z Fundacją Czartoryskich Piniński zwraca uwagę na zasadniczą kwestię: ogromna liczba dzieł sztuki w polskich zbiorach była podarowana przez patriotycznych, hojnych darczyńców. Ta piękna tradycja powinna być pielęgnowana. Czy jednak nie pojawiło się ryzyko, że państwo polskie zniechęci potencjalnych mecenasów? Niektórzy z nich być może teraz zadadzą sobie pytanie: Po co darować, skoro państwo kupuje? Czy nie stworzono niebezpiecznego precedensu? Jakie teraz będzie nastawienie właścicieli depozytów dzieł sztuki obecnie znajdujących się w polskich muzeach? Na przykład jaki los teraz czeka zbiory

Muzeum Narodowego w Warszawie, których trzonem są dzieła sztuki należące do hr. Potockich z Krzeszowic?

DALSZE LOSY FUNDACJI

Zdaniem Macieja ks. Radziwiłła, który wszedł do obecnego zarządu fundacji już po sfinalizowaniu umowy, nie było innego wyjścia niż ostateczne prawne uregulowanie własności zbiorów Muzeum Czartoryskich. Gdyby do tego nie doszło, kolekcji groziłoby długoletnie przechowywanie w magazynach, a muzeum pozostawałoby zamknięte przez dalsze lata. Istniejący system prawny oraz mentalność urzędników państwowych nie są na tyle elastyczne, aby wspierać prywatne kolekcje. Na pewno lepszym rozwiązaniem od sprzedaży było przekazanie fundacji brakujących kilkudziesięciu milionów na remont (dziś tę sumę szacuje się w prasie na 40 mln – przyp. T.L.), aby stworzyć warunki ekspozycji zbioru. Nikt na to nie chciał pójść. Ciekawe, że w dyskusji na temat zasadności zakupu prywatnego zbioru pozostającego pod administracją państwową różnice poglądów nie przebiegają zgodnie z podziałem politycznym, który tak mocno polaryzuje społeczeństwo i elity. Wynegocjowana cena tej trudnej do oszacowania kolekcji była rozsądnym kompromisem między prawną niemożliwością sprzedaży tak olbrzymiej kolekcji na wolnym rynku a funduszami, jakimi dysponowało Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Trudno tę transakcję uważać za precedens dla innych podobnych kwestii. Każdy, kto ma jakieś roszczenia wobec Skarbu Państwa, ma nieco inną sytuację prawną. W wielu sprawach reperywacyjnych orzeczenia sądów w Polsce bywają diametralnie różne.

Dalsze losy fundacji zależą od czasu, w jakim państwowa administracja muzealna przejmie całkowicie zbiory. Bez wątplenia jej zasobny od dzisiaj majątek finansowy powinien być przeznaczony na cele, do których została powołana. Jedno wydaje się dziś pewne – że miarą sukcesu przejęcia przez Skarb Państwa zbiorów Czartoryskich będzie jak najszybsze ponowne ich otwarcie dla publiczności w odnowionym i zmoder nizowanym zespole muzealnym. Sama tylko „Dama z gronostajem”, eksponowana odtąd w Sukiennicach, nie stanowi wyłącznie o sukcesie nowego właściciela tej nieporównywalnej kolekcji dzieł sztuki jednej rodziny.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



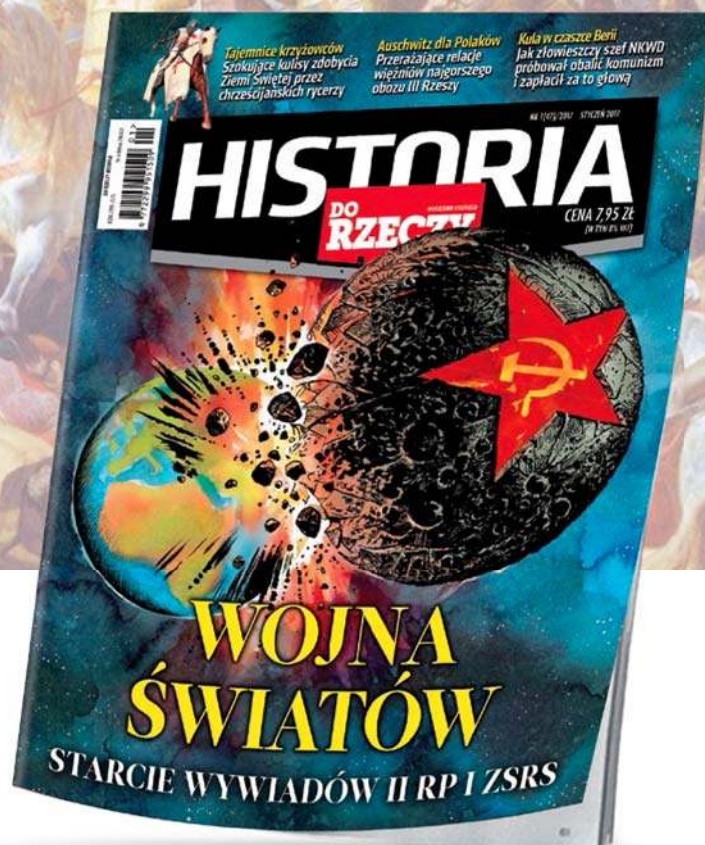
Księżna Izabela z Flemmingów Czartoryska. Portret pędzla Alexandra Roslina z ok. 1774 r. FOT. WIKIPEDIA



TYLKO U NAS!
NAJWIĘKSZE TAJEMNICE KRZYŻOWCÓW!

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Piotr Zychowicz – Wojna wywiadów II RP i ZSRS / **Maciej Rosalak**
– **Szpiedzy-renegaci w Wojsku Polskim** / Marek Gałęzowski – Auschwitz:
obóz dla Polaków / **Andrew Nagorski** – **Kłęsa łowców nazistów**
/ **Françoise Thom** – Sowiecka kula w czaszce Berii / **Sławomir Koper**
– **Przedwojenni gangsterzy**

i wiele, wiele więcej



Z Dorotą Karaś, autorką biografii Zbigniewa Cybulskiego „Cybulski. Podwójne salto” rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Zawsze miał komplety

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: *Kobiety w życiu aktora to temat rzeka.*

DOROTA KARAŚ: Jego pierwszą wielką miłością była Aleksandra Balcerowicz. Kilka lat starsza, uczestniczka powstania warszawskiego. Ze swym konkurentem do jej ręki – Anatolem Potemkowskim, później cenionym satyrykiem – zamierzał się nawet pojedynkować. Nie wiadomo, jaką bronią, wiemy za to gdzie. Na Gubałowie. I to nocą! Starcie nie doszło do skutku. A Aleksandra Potemkowska do dziś przechowuje listy miłosne Cybulskiego.

Na studiach aktorskich zauroczyła go koleżanka – Ewa Lassek, też kresowianka, która jednak traktowała adoratora z pyszną, więc nie miał szans na sukces. Po paru latach do mariażu usiłowała doprowadzić matka Ewy. Bez powodzenia. Może dlatego, że obiektem jego westchnień była już wtedy Barbara Lerczakówna, późniejsza medalistka olimpijska w sprincie, a następnie – używając współczesnej terminologii – partnerka Jana Nowickiego, matka jego

syna Łukasza. Gdy Zbyszek brał ślub, zawiadomił ją o tym słowami listu: „Tak umierają bohaterowie”, toteż zapewne było to trwałe uczucie, czego zdają się także dowodzić listy od niej, które miał przy sobie w chwili tragicznej śmierci.

Czy fenomenalne kreacje Cybulskiego i Lucyny Winnickiej w „Pociągu” miały życiowe podłoże?

Poznali się kilka lat wcześniej w czasie obozu studentów uczelni artystycznych. Wiele wskazuje na to, że zaiskrzyło. Na moment. Usidlić usiłowała go też inna początkująca aktorka, Barbara Połomska, lecz najwyraźniej nie był nią zainteresowany. Natomiast Izabela Cywińska ofiarowała mu nie tyle serce, ile krew. Gdy zetknął ich los, była maturzystką. Połączyła ich miłość do... sportu. Umówili się w Międzyzdrojach. Niestety, w Szczecinie zabrakło jej pieniędzy na dalszą drogę. Aby je zdobyć, zgłosiła się do stacji krwiodawstwa. Dotarła do celu, ale podczas biegu po plaży zemdlą. Gdy Cybulski dowiedział się o podróży-

czym poświęceniu dziewczyny, solidnie ją obsztorcował. Być może przy okazji zainfekował ją teatrem, który wybrała, porzucając koszykówkę.

Nie udało mi się ustalić, jaką rolę odegrała w biografii mego bohatera piosenkarka Krystyna Konarska – auto zabawkę z jej inicjałami miał przy sobie w chwili zgonu. Odmówiła rozmowy, zatem nie mogłam zapytać, czy z myślą o nim śpiewała swój szlagier pt. „Boję się twojej miłości”.

Międzynarodowy afekt aktora miał jedynie wymiar platoniczny?

Spotkanie z Marleną Dietrich – we wrocławskim hotelu Monopol – zaaranżował duet fortepianowy Marek i Wacek, towarzyszący artystce w tournée po Polsce. Spędzili wieczór w restauracji, dokąd on przyszedł wstawiony z flaszką wystającą z kieszeni marynarki. Zawartą w niej wódkę pili podobno razem „z gwin-tą”, co bardzo się artystce podobało. Niewątpliwie wpadł jej w oko. Podzi-

wiała go w „Popiele i diamentie” i już podczas swej pierwszej wizyty w Polsce próbowała poznać – akurat przebywał za granicą. Wbrew legendzie upojny wieczór nie miał seksualnych reperkusji. Niemka spieszyła się na nocny pociąg do Warszawy, Zbyszek odprowadził ją na dworzec. Rzekomo mieli wspólnie wystąpić w filmie, niemniej gdy przyjechał do Paryża, bezskutecznie czekał na jej telefon. Ponoć nie zadzwoniła z obawy o reakcję swego latynoskiego adoratora znanego z zazdrości.

Jak Elżbieta Cybulska znosiła skoki w bok małżonka?

Cierpliwie. Jak na świętą kobietę przystało. Syna w zasadzie wychowywała samotnie. Zbyszek wiodący artystyczny i coraz mniej higieniczny tryb życia częstokroć zawodził. I jako mąż, i jako ojciec. Utrzymywała dom, malując tkaniny.

Na ile istotne w CV Cybulskiego było Pokucie, na ile okupacyjna Warszawa, a na ile Dzierżoniów?

Rodzinny majątek przodków po kądzieli – w Książach, niedaleko granicy rumuńskiej – kojarzył mu się z beztróskim i dostatnim dzieciństwem. Sowietci zarekwirowali zabytkowy dwór, okradli go i zdewastowali. Potem służył Niemcom. Całkowitemu zniszczeniu uległ po wojnie.

Przypuszczam, że spędzane tam – do roku 1939 – wakacje, podczas których nastolatek zwiedzał okolicę zamieszkaną przez Hucułów, poznawał przyrodę i słuchał opowieści dziadków, krzewiących patriotyzm, zaowocowały w czasie pierwszego po wojnie lata. Silnie zaangażował się wówczas w harcerstwo kultywujące jeszcze tradycje II RP. W Rychbachu, jak początkowo nazwano Reichenbach, który niebawem przemianowano na Dzierżoniów, zasłynął z pasji społecznikowskiej. Drużynowy Cybulski do dziś jest wspominany przez harcerzy z Dzierżoniowa, m.in. reżysera Sylwestra Chęcińskiego.

Okupacyjna trauma sprawiła, że Zbyszek dojrzał przedwcześnie. Ojciec znalazł się na emigracji, matkę Sowietci zesłali do Kazachstanu, dziadek zaginął w trakcie przekraczania zielonej granicy z Rumunią, wuj zmarł w syberyjskim łagrze. Wraz z kuzynami uciekł w grudniu 1939 r. spod okupacji sowieckiej do Generalnego Gubernatorstwa. W Warszawie, dokąd trafił razem z młodszym o cztery lata bratem Antonim, wycho-

wywał go stryj, ledwo wiążący koniec z końcem. Aby zdobyć fundusze na wikt, pozbywał się złotego uzębienia. Zbyszek uczył się na tajnych kompletach Gimnazjum im. księcia Józefa Poniatowskiego i utrzymywał, że zbiegł z transportu wiozącego go na Pawiak, czego nie udało mi się potwierdzić. Już po wojnie naukę kontynuował w sławnym krakowskim gimnazjum Nowodworskiego, a maturę zdał w Dzierżoniowie.

Po czym postanowił zostać dyplomatą.

Najprawdopodobniej za przykładem ojca, zatrudnionego w międzywojennym MSZ. Aleksander Cybulski wojnę spędził we Francji, gdzie latem 1945 r. odnalazł żonę, która przetrwała zsyłkę i przebyła szlak bojowy z korpusem gen. Władysława Andersa. Usiłowali sprowadzić synów na Zachód – mieli dotrzeć w organizowanym przez Polski Czerwony Krzyż transporcie dzieci żydowskich. Pomysł nie wypalił. Stęsknieni rodzice wrócili do Polski i osiedli w Katowicach, ponieważ przedwojenne mieszkanie na Żoliborzu zamieszkane już było przez nowych lokatorów. Nawiasem mówiąc, synowie zdążyli opłakać matkę i ojca, bo usłyszeli pogłoskę o ich śmierci.

Zbyszek rozpoczął naukę na wydziale konsularnym Akademii Handlowej w roku 1947, kiedy w Polsce widoczne były jeszcze pozory wolności. Dwa lata później – w zupełnie innej rzeczywistości politycznej – rzucił studia. A że spodobało mu się aktorstwo – którego liznął, współtworząc tzw. zespoły żywego słowa, czyli grupy deklamatorów szerzących kulturę na prowincji – zdecydował się mu poświęcić. Uczył się wraz z Kaliną Jędrusik, Leszkiem Herdegenem i Bogumiłem Kobielą, z którym szybko stali się nierozłączni.

To prawda, że zrezygnował ze współpracy z Michelangelo Antonionim i nie wsiadł do „Tramwaju zwanego pożądaniem”?

Jak utrzymuje Władysław Kowalski, Antonioni listownie proponował Cybulskiemu angaż do „Zaćmienia”. Adresat miał odrzucić ofertę z przyczyn honorowych. Terminy zdjęć pokrywały się z pracą przy kryminale „Zbrodniarz i panna” Janusza Nasfetera, na którą zdecydował się wcześniej. W efekcie rolę pierwotnie

przeznaczoną dla Polaka zagrał u Włocha Francuz. Nazwiskiem Alain Delon.

Co do sztuki Tennessee Williamsa to amerykańska telewizja zaprosiła Zbyszkę na casting – chodziło o postać Stanleya Kowalskiego – który zaplanowano na wiosnę roku 1967. Wedle Stanisława Lenartowicza, pośredniczącego z racji znajomości języka angielskiego w telefonicznych pertraktacjach, Cybulskiego wybrano zaocznie. Oferując gażę w wysokości... 100 tys. dol.!

Stał się ikoną naszego kina, lecz po Małku Chełmickim w ekranizacji zakłamanego powieści Jerzego Andrzejewskiego „Popiół i diament” odtwarzał kolejne wersje tej figury.

Nie zawsze. Tak było w „Milczeniu”, „Ich dniu powszednim”, „Salcie”, „Szyfrach”, ale zupełnie odmienne emploi zaprezentował w „Krzyżu Walecznych”, „Jak być kochaną”, „Giuseppe w Warszawie” i „Do widzenia, do jutra”. Skądinąd ten ostatni film dyskontował fenomen teatryku Bim-Bom, kto wie, czy nie największego osiągnięcia w dorobku aktora, owocu kilkuletniego pobytu w Trójmieście.

Ginąc pod kołami ekspresu „Odra”, był trzeźwy?

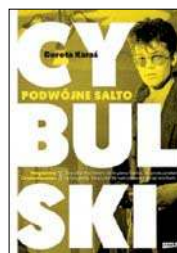
Tak zapewniał Alfred Andrys, z którym nocą 8 stycznia 1967 r. gonił jego skład na peronie wrocławskiego dworca. Podał mu swój bagaż i usiłował wskoczyć do wagonu. Nie był jednak już tak sprawny fizycznie jak dawniej – miał 39 lat – ponadto ruchy krępował mu kożuch. Noga ześlizgnęła się ze stopnia i wpadł w szczelinę pomiędzy krawędzią peronu a pociągiem. Andrys nacisnął hamulec bezpieczeństwa. Gdy przyjechał ambulans, Cybulski był jeszcze przytomny. Zmarł na stole operacyjnym z powodu pęknięcia wątroby.

Dlaczego spoczął w Katowicach?

Władze państwowe zapewniały opłacenie pogrzebu na Powązkach pod warunkiem, że będzie świecki. Matka zmarłego postawiła weto i doprowadziła do katolickiego pochówku w grobie rodzinnym

na katowickim cmentarzu. Towarzyszyła mu jednak ceremonia świecka z udziałem wielotysięcznej rzeszy żałobników, zwalnianych na tę smutną okoliczność z zakładów pracy i ze szkół. Zawsze miał komplety.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



DOROTA KARAŚ
„CYBULSKI.
PODWÓJNE
SALTO”
ZNAK 2016



Andrzej Horubała

Drugi to już zbiór publicystyki Agnieszki Kołakowskiej. Po wydanej w roku 2010 „Wojnie kultur”, uhonorowanej Nagrodą im. Andrzeja Kijowskiego, Teologia Polityczna opublikowała teraz „Plagę słowików” przynoszącą teksty ukazujące się w polskiej prasie i na internetowych portalach w ciągu ostatnich kilku lat.

„Plaga słowików” – tytuł intrygujący, wyjaśniony we wstępie do książki, kierować ma naszą myśl ku wynaturzeniu współczesności, która piękno traktuje jako plagę, coś niepożądanego, drażniącego, zakłócającego przyziemną egzystencję, która piękno każe niszczyć, destruować, znaki ładu i harmonii wyciszać, zagłuszać, która klarowność i czystość Mozarta każe przykrywać beznamiętną popową sieczką sączoną przez głośniki.

Ale ów ornitologiczny tytuł wzmocniony umieszczonym na okładce detalem z „Ogrodu ziemskich rozkoszy” Hieronima Boscha podsuwa też konstatację, jakże rzadkim ptakiem jest Agnieszka Kołakowska wśród polskich publicystów, okazem bezcennym i osobnym. Urodzona w roku 1960, edukowana na Zachodzie, mieszkająca na stałe w Paryżu, córka prof. Leszka Kołakowskiego i jego żony Tamary z domu Dynenson, określająca siebie jako Żydówka, ale przecież też Polka, zwolenniczka liberalizmu, a nawet libertarianizmu, racjonalizmu, z podejrzliwością patrząca na uroszczenia Kościoła, choć głosząca pochwałę wartości judeochrześcijańskich, które ufundowały współczesną Europę, lamentująca nad projektem Unii, niszczącym demokrację i najcenniejsze dziedzictwo kontynentu, będąca gorliwym rzecznikiem polityki Państwa Izraela, nienawidząca islamu i islamistów, sympatyzująca z PiS, nieznosząca „Gazety Wyborczej”, daje nam w „Pladze słowików” strawę niesamowitą.

OSOBNA

O ile we wcześniejszej książce była przede wszystkim przewodnikiem po współczesności, oprowadzającym po zachodnich nowinkach intelektualnych, demaskującym polityczną poprawność, rozprawiającym się z mitem globalnego ocieplenia, polemizującym z „Orientalizmem” Said’a i teoriami Zygmunta Baumana, tutaj wyraźniej pokazuje swoją indywidualną



FOT. ARCHIWUM A. KOŁAKOWSKIEJ

twarz, dowodząc, jak niewygodny, a jednocześnie kapitalnie inspirujący może być głos człowieka, który uparcie nie chce przystać do jednego z obozów ideologicznego sporu.

Jej polemika z kościelnymi manipulacjami dotyczącymi czy to in vitro, czy antykoncepcji, czy aborcji, gdy zamiast motywacji religijnych hierarchowie, księża i lekarze przywołują pseudonaukowe twierdzenia, będące obrazą rozumu, jej pochwała wolności słowa znajdującej ujście choćby w głupawym i szyderczym humorze „Charlie Hebdo” przy jednoczesnym zaznaczaniu dystansu wobec prób wprowadzania przez Kościół katolicki prawnej ochrony uczuć religijnych, ba!, jej manifestacyjne opowiadanie się za prawem do obrażania przekonań innych, przyzwolenie na najbardziej wyuzdane marsze gejów – to pokazuje, jak daleko Agnieszce Kołakowskiej do prawicowego mainstreamu.

Opowieści ks. Longchamps de Bériera o brudzie i wadach genetycznych dzieci zrodzonych z in vitro, tezy abp. Henryka Hosera o ograniczonej możliwości zajścia w ciążę pod wpływem gwałtu czy opowieści prof. Bogdana Chazana o onkologicznej szkodliwości antykoncepcji – wszystko to, serwowane z duszpasterskiej troski, nie wytrzymuje przecież racjonalnej krytyki i przesłania czysto religijny aspekt sprze-

ciwu wobec manipulowania darem życia. Kołakowska, jak na racjonalistkę przystało, nie chce milczeć, gdy słyszy bałamutne tezy unaukowiające coś, co wynika z motywacji czysto religijnej.

W imię racjonalizmu Kołakowska polemizuje z prof. Chazanem, wyszydza jego twierdzenia o szkodliwości antykoncepcji, pokazując, że każde lekarstwo może nieść skutki uboczne i nie powód to do jego zaniechania. Oczywiście jako dziecko zachodniej Europy Kołakowska nie dostrzega, jak antynatalistyczną postawę prezentuje, zrównując ciążę z chorobą, ale inna wszak to już zupełnie sprawa i inny etap dyskusji. Czasem zdaje się Kołakowska pochodzić z dawnych zimnowojennych dekad: gdy w „Wojnie kultur” przeciwstawia się jakimkolwiek rozważaniom o współwinie Zachodu za współczesny terroryzm, gdy głosząc pochwałę kapitalizmu, piętnuje lewicowe myślenie i obwieszcza światową wojnę z islamem.

TEMAT ŻYDOWSKI

Czasem jest Agnieszka Kołakowska podobna do żarliwego uczestnika biesiady, który obsesyjnie jest przywiązany do swego katalogu tematów. Wiadomo: rozmawia się z nim fantastycznie, ale poruszymy coś z jego zestawu obowiązkowego i dawaj... poleciał, mamy już godzinę w plecy. Takim

tematem jest dla Kołakowskiej na pewno polityka Państwa Izraela. Autorka gotowa jest bronić jej do upadłego, demaskując kłamstwa europejskiej publicystyki, która – zdaniem rozgorączkowanej autorki – stała się nie tyle antyizraelska, co zwyczajnie antysemicka. Uderzające, jak analizująca zazwyczaj chłodno spory ideologiczne Kołakowska przy temacie żydowskim staje się zapalczywa i emocjonalna. Czy dotyczy to prasy zachodniej, czy krajowego polskiego podwórka.

Jej protest wobec piastowania przez znanego z antysemickich wypowiedzi Stanisława Michalkiewicza funkcji sekretarza Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza, zaowocował nie tylko demonstracyjnym wycofaniem swej książki z nominowanych do tego lauru, ale też tekstem oskarżającym prawicę polską o bagatelizowanie tej formy rasizmu. Owszem, Kołakowska zdaje sobie sprawę z manipulacji środowiska „Gazety Wyborczej” wykorzystującej argument antysemityzmu w walce politycznej prowadzonej w kraju i na europejskich salonach, przenikliwie pokazuje różne formy instrumentalizacji sprawy żydowskiej, ale dla Michalkiewicza i Radia Maryja nie ma najmniejszej wyrozumiałości. Gdy pada tylko stwierdzenie „lobby żydowskie”, gdy ktoś stosuje uogólnienie dotyczące jej ziomków, Kołakowska wytacza najcięższe działa i gotowa jest rozszarpać adwersarza na strzępy.

A konflikt na Bliskim Wschodzie? Tam Kołakowska zamienia się w bezkrytycznego apologetę Państwa Izraela, opowiadając o humanitaryzmie armii izraelskiej i zaletach tej jedynej demokracji, ba, jedyne państwa w zachodnim świecie, gdzie – dzięki policyjnym rygorom – można spokojnie wejść do supermarketu. Jest Kołakowska zdecydowanym wrogiem islamu, z pasją demaskuje samobójczą politykę Europy, która stara się ukrywać religijne motywacje terrorystów, która hasłem „pas d’amalgame!” – „nie utożsamiać” (terroryzmu z islamem) nakłada kaganiec na media, która w imię politycznej poprawności cenzuruje prasę. Szydzi Kołakowska z katastrofy projektu multi-kulti, pokazuje zakłamanie lewicy, która wielbi „wykluczonych”, przemilczając, jak opresyjny chociażby wobec kobiet jest islam. Domaga się rewizji projektu związanego z zasadami przyjmowania imigrantów, wskazuje, jak rzekomo umiarkowani muzułmanie chronią radykałów i terrorystów, są nielojalni wobec państw, które ich goszczą, a indagowani bardziej szczegółowo okazują

się otwarci na wprowadzenie szariatu. Kołakowska, opowiadająca o reakcjach Zachodu na kolejne zamachy: w Paryżu, Nicei, relacjonuje także zakłamanie i bezsilność naszego kontynentu...

Jej eseje są także epitafium na śmierć wyśniewanej Europy, Europy ze snów jej ojca i nas, tkwiących za żelazną kurtyną i wyobrażających sobie Zachód jako krainę wolności i kreatywności. Przy czym autorka, przywiązana do wartości liberalnych, najwyraźniej nie godzi się z tezą, że obecna duchowa degeneracja kontynentu to rezultat właśnie liberalizmu, który odrzucając metafizykę, odcinając się od religii, w naturalny sposób przekształcił naszą wspólnotę w wypłukany z wartości poddany biurokratycznym cynicznym procedurom zbiór. Kołakowska, dystansując się od myśli konserwatywnej, wierna utopii libertariańskiej, nie chce przyznać, że bezideowość Europy to naturalny punkt dojścia w świecie, w którym demokracja pozbawiona wartości przekształciła się w hedonistyczny nihilizm i dyktaturę. Brak zakorzenienia w metafizyce, brak pogłębionej refleksji o sekularyzacji Europy stanowi chyba najbardziej dotkliwy mankament w wywodach Kołakowskiej. Bo choć kapitalnie prowadzi spór z ideologią gender, choć doskonale kontynuuje wątki z „Wojny kultur”, rozpoczęte tam brawurowym obnażeniem głupoty piosenki hymnu „Imagine” Johna Lennona, to przecież brak zakorzenienia w religii wizji antropologicznej powoduje, że niektóre sądy Kołakowskiej zawieszono są w próżni.

DZIEDZICTWO

Oczywiście jest nieodrodną córeczką swych rodziców. Ojca, po którym przejęła umiejętność klarownego wywodu pełnego dygresyjnych ozdobników, ale i matki, której żydowskie dziedzictwo uczyniła jednym z najważniejszych elementów swej tożsamości.

„Plaga słowików” rozbrzmiewa od tonów znanych z publicystyki Leszka Kołakowskiego. Z wirtuozérią podchodzi więc Agnieszka do demaskowania niespójności różnych projektów ideologicznych, ufna w technologię, z radością rozbraja pseudonaukowe twierdzenia: czy to przeciwników szczepień dzieci lub GMO, czy to przemysłu strachu związanego z globalnym

ociepleniem. Podobnie jak ojciec z ochotą miesza esej literacki z akademickim wykładem, często stosuje retardację, na wstępie zapowiadając tematy rozwijane pod koniec wywodu, lubi obniżyć ton wypowiedzi jakimś paradoksalnym wtrętem, prywatnym komentarzem, metauwagą. Słyszymy w tym przecież tembr głosu jej zmarłego ojca, przypominamy sobie dawne nasze przygody czytelnicze, czujemy wdzięczność. Widać, że Kołakowska pisze świadoma istnienia grona życzliwych odbiorców. Pewna minoreria bijąca z tekstów, wyższościowy ton mogą drażnić czytelników nienależących do kręgu jej admiratorów. Pojawiające się zrazu jako poboczny motyw, a później temat główny: zagadnienie świni jako zwierzęcia zakazanego dla miłośników twórczości Leszka Kołakowskiego będą echem jego wolteriańskich bajeczek z cyklu „Klucz niebieski”, dla innych czytelników wyglądających na pretensjonalny popis erudycji oraz irytujący pokaz dezygnatury wobec zagadnień religijnych. Ale niekiedy jedno zdanie, jeden wtręt uruchamiają niezwykle skojarzenia i pozwalają podróżować umysłem po naszej dekadentycznej rzeczywistości.

Gdy we wstępie pisze Kołakowska o obrzydzeniu, jakie współczesność ma wobec piękna, w tym piękna moralnego, nagle przecież uruchamia we mnie ciąg skojarzeń i wspomnień ludzi pięknych właśnie moralnie, ludzi, którzy są w tym świecie naszą nadzieją i ostoją. Gdy w ciągu ideologicznie zaangażowanych, zapiekłych czasem tekstów umieszcza esej „Jak jeść: kilka prostych sposobów”, przywołuje skojarzenia z kapitalną kulturą biesiady, wspólnego celebrowania bytu. Takimi przerwami, natchnieniami darzy nas Kołakowska chyba nieco zbyt powściągliwie. Wydaje się, że wprowadzenie żywiołu prywatnego, autobiograficznego mogłoby zaowocować jeszcze ciekawszą literaturą, ale i tak „Plaga słowików” jawi się jako wyborna lektura do namysłu nad europejską dekadencją (ale i delectationem się nią) i temat do debat nad suto (lub skromnie) zastawionym stołem.

Jeśli komuś nie wystarczają internetowe quizy pod tytułem „poznaj swe przekonania”, to konfrontując się z tekstami Agnieszki Kołakowskiej, zrećtnie odtworzy – w sporze z nią – swoją własną mapę ideolo.



AGNIESZKA KOŁAKOWSKA
„PLAGA SŁOWIKÓW”
TEOLOGIA
POLITYCZNA



**Z Krzysztofem
Koehlerem,
wicedyrektorem
Instytutu Książki**
rozmawia Krzysztof Masłoń

KRZYSZTOF MASŁOŃ: Ruszył Rok Conrada, związany ze 160. rocznicą urodzin twórcy „Jądra ciemności”, a zainaugurowany uroczystości koncertem Orkiestry Kameralnej Miasta Tychy „Aukso” w Teatrze Polskim w Warszawie. Był to koncert szczególnie...

KRZYSZTOF KOEHLER: Odbyło się na nim polskie prawykonanie partytury Bronisława Kapera do zrealizowanego w 1965 r. przez Richarda Brooksa filmu „Lord Jim”. Zmarły w latach 80. w USA Kaper urodził się w Warszawie. Wielką karierę zrobił za oceanem, pisząc muzykę do 150 filmów (za „Lili” otrzymał Oscara), w tym tak znanych jak „Bunt na Bounty”, „Bracia Karamazow” i właśnie „Lord Jim”. Chcieliśmy przy okazji Roku Conrada przypomnieć tę jeszcze jedną ważną dla polskiej kultury postać.

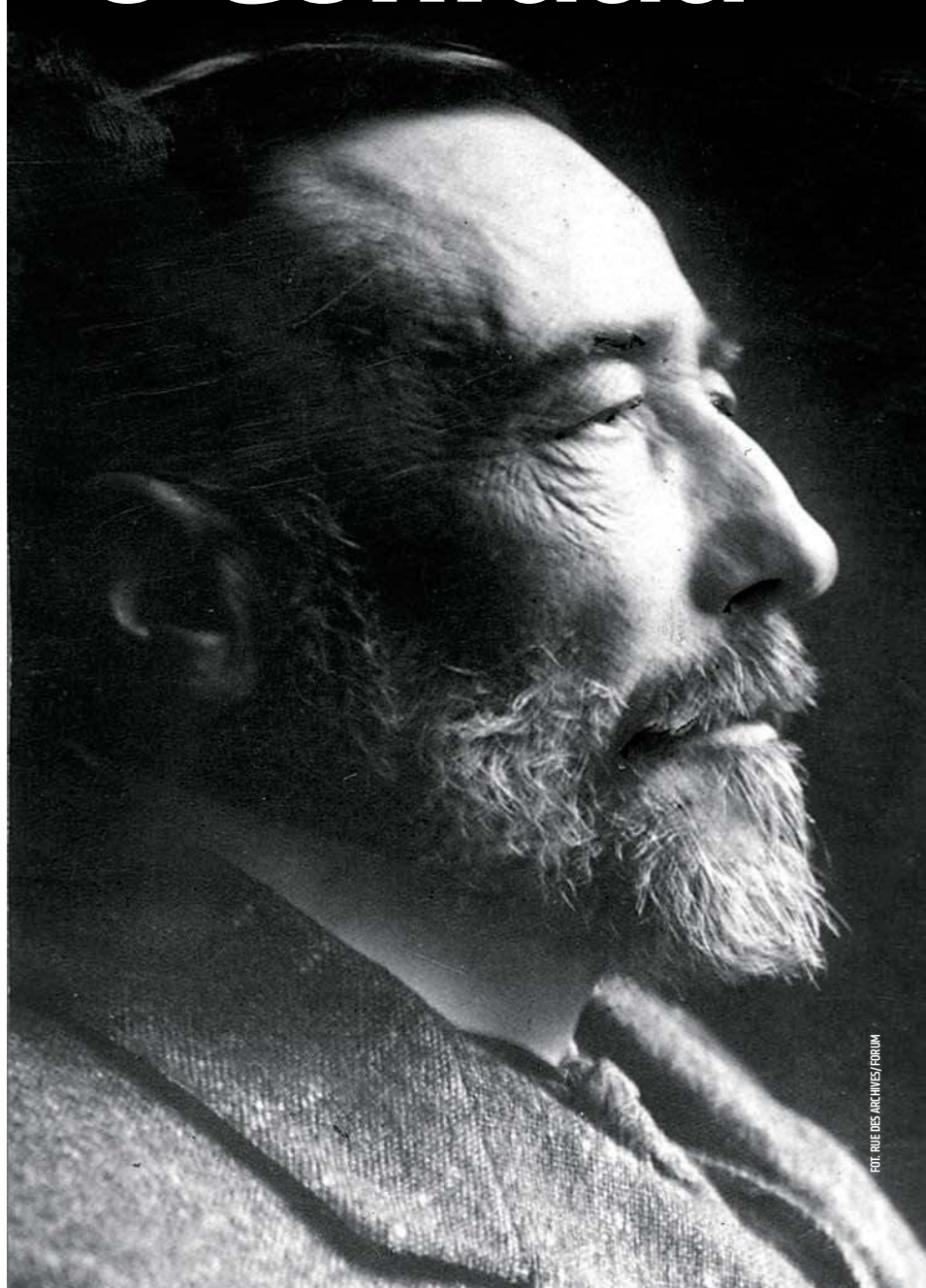
Joseph Conrad pisał po angielsku i świat go postrzega jako pisarza angielskiego. Nawet w naszym kraju jego polskie korzenie nie są wszystkim znane.

I dlatego w Roku Conrada popularyzować będziemy zarówno osobę, jak i twórczość pisarza w Polsce oraz na Wyspach. Mamy w tym działaniu niejako naturalnego sojusznika, Arkadego Rzegockiego, ambasadora RP w Londynie, który wcześniej, jeszcze przed nominacją, jako profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego był zaangażowany w prace programowe związane z Rokiem Conrada. Bardzo ściśle współpracujemy z Instytutem Kultury Polskiej w Londynie. Zależy nam na tym, aby w marcu, podczas londyńskich Targów Książki – na których, przypomnę, Polska wystąpi w roli Market Focus – zorganizować pewne konkretne działania w Wielkiej Brytanii. O szczegółach nie chcę się jednak jeszcze wypowiadać.

A krakowskie festiwale Conrada? Jak się one mają do Roku Conrada i na ile Instytut Książki uczestniczy w tych przedsięwzięciach?

Festiwale conradowskie w Krakowie miały już osiem edycji, organizowane są w Krakowie przez Fundację Tygodnika Powszechnego i Krakowskie Biuro Festiwalowe. To impreza z bardzo ciekawym programem. Instytut Książki współ-

Nowy spór o Conrada



FOT. RUE DES ARCHIVES/FORUM

tworzy jedno z pasm festiwalu – pasmo dziecięce. Jeden z przedstawicieli Instytutu Książki uczestniczy też w pracach jury wskazującego na literacki debiut roku. W tym roku Nagrodę Conrada, przypomnijmy, dostała pani Żanna Słoniowska.

W 2016 r. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego ogłosiło program „Conrad 2017”, który realizowany jest przez Instytut Książki. Do końca listopada można było zgłaszać pomysły conradowskie. Różne instytucje, organizacje, fundacje przedstawiły ponad 50 projektów. Za chwilę rozpoczną się prace niezależnych ekspertów powołanych na nasz wniosek przez ministra kultury. Analogicznie postępowaliśmy w Roku Sienkiewicza czy Roku Miłosza.

Jaką kwotę państwo dysponują i czy były zastosowane jakieś finansowe ograniczenia odnośnie do zaprezentowanych projektów?

Wnioski jak zawsze rozpatrywane są wieloaspektowo: bierze się pod uwagę zarówno ich merytorykę, jak i aspekty formalno-prawne. Budżet Roku Conrada to ponad 3 mln zł.

Jaki jest stosunek strony angielskiej do naszych planów zaprezentowania Conrada jako pisarza niewyłącznie brytyjskiego?

No nie, nikt nie zamierza robić z niego polskiego pisarza, ale Józef Korzeniowski, czyli późniejszy Joseph Conrad, był Polakiem, o czym zdecydowana większość czytelników „Lorda Jima” nie ma pojęcia. Na Targach Książki we Frankfurcie spotkaliśmy się z kierownictwem British Council, z jego dyrektorką do spraw literackich Cortiną Butler, i wspólnie zastanawialiśmy się, jak najlepiej możemy wykorzystać szanse, jakie daje Rok Conrada. Zależy nam na tym – co mocno podkreśla nasz ambasador – żeby te wydarzenia conradowskie, które odbywają się w Polsce, znalazły swoje odzwierciedlenie w Anglii. Chcielibyśmy też bardzo, żeby Rok Conrada zaistniał również w projektach realizowanych na Wyspach. I tutaj jest między nami całkowite zrozumienie.

Jakie powody mają Anglicy, by dzielić się z nami Conradem?

Wbrew pozorom jest ich niemało. Tutaj nie chodzi tylko o Brexit, ale o naprawdę poważną sprawę napaści na Polaków, jakie zdarzyły się ostatnio w Wielkiej Brytanii. Wydaje mi się, że

Anglicy podchodzą do tych wydarzeń znacznie poważniej niż my. Warto pamiętać, że Polacy stanowią w Wielkiej Brytanii znaczącą mniejszość, to największa tam grupa obcokrajowców, dochodząca do miliona. Tak dużego potencjału, także rynkowego, nie da się zlekceważyć i w obecnej sytuacji musi narodzić się refleksja, kim są ci Polacy, których – tak naprawdę – bardzo mało się zna. A za sprawców wypadków, do których doszło na Wyspach, myśląc część społeczeństwa brytyjskiego się wstydzi. Widzi, że wiele zależy od zmiany nastawienia do Polaków, i rozumie, że warto o Polakach mówić, pokazywać ich, wyjaśniać, kim są, jakie historyczne doświadczenie za nimi stoi. A to, że ważny pisarz brytyjski był z pochodzenia Polakiem, wpisuje się w ten ciąg rozumowania.

Jak Conrada przybliżyć odbiorcy niekoniecznie legitymującemu się magisterium humanistycznym?

Dużo obiecujemy sobie po współpracy z TVP Kultura, w której zapewne pokazany zostanie cykl filmów conradowskich oraz spektakli, które powstawały w latach 70. w Teatrze Telewizji...

I wcześniej, jeśli wspomnimy głośne przed laty „Wieczory z Conradem”.

Naturalnie, ale i w latach późniejszych zdarzały się ciekawe przedstawienia. Myślę tu m.in. o „Tajnym agencie” zrealizowanym przez Michała Komara...

Zygmunt Hübner w Teatrze Powszechnym wystawił „Spiskowców” według „W oczach Zachodu” Conrada i ten spektakl został potem zaadaptowany na potrzeby Teatru Telewizji.

Jest tego niemało, nie tylko „Smuga cienia” Andrzeja Wajdy, najlepiej chyba zapamiętana. Mam też nadzieję, że uda się doprowadzić do nowej conradowskiej inscenizacji w Teatrze Telewizji, a ponadto bardzo nam zależy na wyprodukowaniu przez Polaków filmu dokumentalnego o Conradzie. Nie muszę dodawać, że naszym marzeniem byłoby stworzenie go w koprodukcji TVP i BBC, która – nawiasem mówiąc – realizuje obecnie, albo już zrealizowała, serial według „Tajnego agenta”.

Rok Conrada to idealny moment, by zainteresować się przekładami twórczości tego pisarza. Przez lata utyskiwaliśmy na archaiczność tłumaczeń Anieli Zagórskiej, później pojawiły się wprawdzie nowe – pamiętam np. „Lorda Jima” przełożonego

przez Michała Kłobukowskiego – ale odnoszę wrażenie, że w sumie nie bardzo mamy czym się pochwalić.

Może jednak nie jest najgorzej, istnieje pięć przekładów „Lorda Jima”, bo przed Zagórską był jeszcze przekład Emilii Węśławskiej, niemniej jednak, zważywszy na to, że choćby Włosi mają 11 różnych tłumaczeń Conrada, pewnie sporo jest jeszcze do zrobienia. To oczywiście nie jest takie proste, ale nowe przekłady, sprawa z oczywistych względów długofalowa, powinny stać się pokłosiem Roku Conrada. Przełożenie na nowo conradowskiego magnum opus oznaczałoby, że pisarz ten znów staje się ważny. Jest jasne, że Instytut Książki takim działaniom będzie patronował i je wspierał.

Twórczość Josepha Conrada – o czym młodzi nie wiedzą, a starsi zdążyli zapomnieć – stała się zaczynem bodaj najważniejszej dyskusji literackiej w powojennej Polsce. W skrócie – o wartościach conradowskich mówiono wtedy w kontekście stosunku do komunizmu i Armii Krajowej. Żyjemy w innym czasie, ale odnoszę wrażenie, że w jakiś przedziwny, metafizyczny sposób dylematy bohaterów Conrada znów stają się dylematami Polaków.

Znowu bowiem rzeczywistość stawia przed nami potrzebę wierności pryncypiom, jakże często kwestionowanym dzisiaj. Kiedy spoglądając na rzeczywistość sztuki, także sztuki słowa pisanego w XXI w., powtarzamy za Conradem jego słynne wypowiedzi o wierności „kilku prostym zasadom, starym jak góry” albo jego definicję pisarskiej aktywności jako „rzetelną próbę oddania najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu poprzez wydobywanie na światło dzienne wielorakiej i jedynej prawdy”, przecież niejako automatycznie wkraczamy w nowy niejako spór o Conrada. Tezy pisarza z Anglii brzmią wystarczająco mocno i dumnie, by wznieść zasadniczą dysputę o powinnościach, zadaniach artysty. Autor „Tajnego agenta” stawia na wierność, na aksjologię po prostu. Mam nadzieję, że w Roku Conrada jego jasny, czysty głos wybrzmi z należytą siłą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Koehler –
wicedyrektor Instytutu Książki,
poeta, krytyk literacki, profesor
UJ i UKSW, były dyrektor
TVP Kultura.

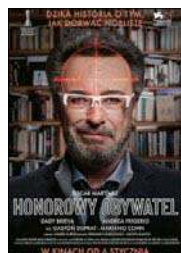


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CZEŚNIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Powrót syna marnotrawnego



★★★★★

REŻ. GASTÓN
DUPRAT,
MARIANO COHN
„HONOROWY
OBYWATEL”
ARGENTYNA/
HISZPANIA 2016

wyst. Oscar
Martínez, Dady
Brieva, Andrea
Frigerio, Nora Navas

Z Literacką Nagrodą Nobla już od dawna jest coś nie tak. Dlatego pomysł, aby sponiewierać jednego z laureatów, zasługuje na nominację do Oscara.

Pisarze to niewdzięczne bestie. Marzą o uznaniu i zaszczytach, zienieją z zazdrości na wieść o sukcesach kolegów po fachu. A gdy sami staną się obiektami powszechnej adoracji, marudzą, że odebrano im prywatność i za życia zamieniono w pomniki. Straszą, że czując na karku oddech tysięcy wielbicieli, już niczego istotnego nie napiszą. I często dotrzymują słowa. Na bohatera filmu „Honorowy obywatel” spada nieszczęście najgorsze z możliwych – laury od Akademii Szwedzkiej. Finansowo będzie ustawiony do końca życia i może za friko zwiedzić całą planetę, bo wszędzie go potrzebują. Co za koszmar!

Argentyńczyk Daniel Mantovani, jak na intelektualistę przystało, gardzi blichtrzem i mamoną. Ani myśli ulegać pokusom, wypinać pierś do orderów i wchodzić w wątpliwe moralnie sojusze ze światem polityki i show-biznesu. Ze stosu zaproszeń wybiera tylko jedno – w rodzinne strony. Ta decyzja ma drugie dno. Nasz gryziopiórek od 40 lat mieszka w Barcelonie, lecz Nagrodę Nobla dostał za „intymne opisy życia w małym miasteczku”. Wizyta w Salas będzie więc rodzajem konfrontacji – stanie oko w oko z bohaterami swych powieści.

Powroty do krainy, której nie widziało się od czasów dzieciństwa, bywają frustrujące. Może się okazać, że z dawnych kolegów wyrosli buce i opoje, koleżanki straciły urodę oraz złudzenia i generalnie wszystko tam skapca-

niało. Mantovani na „dzień dobry” dostaje lekcję pokory. Dowiaduje się, że jego książki mogą służyć jako podpałka lub do podtarcia tyłka. Jednak poza tym zero zaskoczeń – zewsząd spadają nań dowody szacunku i uwielbienia. Triumfalny wjazd do Salas na wozie strażackim w towarzystwie miejscowej miss i burmistrza. Ślit focie. Dary w postaci stroju gaucha, rzeźby twórcy ludowego i słoika domowych marynat. Fanka gotowa wskoczyć do łóżka noblisty. Odsłonięcie własnego popiersia.

I gdy już się wydaje, że do końca pozostaniemy na poziomie sztampowej satyry, triumfalny come back z wolna przepoczwarza się w koszmar. Z winy samego pisarza zresztą. Czyż nie twierdził, że powołaniem artysty jest drażnić i wytrącać z równowagi? Prowokacja to jednak broń obosieczna. Nawet jeśli jawi się jako dobry sposób na przełamanie twórczej blokady. Mantovani dopiero teraz będzie miał okazję stworzyć dzieło godne Nobla. Pod warunkiem że krajanie go nie zlinczują. A może daliśmy się nabrać i cała ta historia jest mistyfikacją? Jak mawiał Friedrich Nietzsche (zanim zwariował) – nie ma czegoś takiego jak fakty. Są tylko interpretacje. ©©

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „POWIDOKI”

Ostatni film Wajdy wchodzi na ekrany już po śmierci reżysera, otoczony aurą skandalu – Bogusław Linda oświadczył, że „scenariusz był ch...wy”, a on sam musiał się bardzo starać, żeby nie powiedziano, że zepsuł Andrzejowi Wajdzie film. Polski kandydat do Oscara odpadł już w przedbiegach, ludzie bliscy produkcji

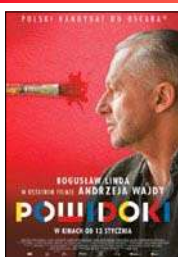
mówią, że kręcony był pośpiesznie. Główny bohater tej historii, Władysław Strzemiński, znakomity malarz i teoretyk sztuki, z pewnością zasługuje na więcej.

©© Piotr Gociek

• reż. Andrzej Wajda, wyst. Bogusław Linda, Zofia Wichłacz, Bronisława Zamachowska, Polska 2016

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Wielki Mur”, reż. Zhang Yimou, Chiny/USA 2016
- „Kornwój”, reż. Maciej Żak, Polska 2016
- „Autopsja Jane Doe”, reż. André Øvredal, Wielka Brytania 2016
- „Kot Bob i ja”, reż. Roger Spottiswoode, Wielka Brytania 2016



Basen z widokiem

„Obcego” Ridleya Scotta reklamowano sloganem: „W kosmosie nikt nie usłyszy twojego krzyku”. W promowaniu filmu Mortena Tylduma być może pomogłoby hasło: „W kosmosie nikt nie usłyszy westchnień kochanków”.

Jak tu wierzyć, że technologia rozwiąże wszystkie nasze problemy, skoro wszystko, co człowiek stworzy, jest tak samo zawodne jak on sam? „Avalon” to spełnienie marzeń Korolowa i von Brauna. Leci na podbój obcych planet z połową prędkości światła, lecz okazuje się tak samo bezawaryjny jak „Titanic”. Jego pasażerowie, Jim i Aurora, budzą się z hibernacji o 90 lat za wcześnie. Z jakichś tajemni-

czych powodów ponownie zasnąć nie można. Gwiezdny Robinson i jego Piętaszka są sami – nie licząc barmana. Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko się w sobie zakochać.

Sielanka jednak szybko się kończy, gdyż androidy są ohydnie prawdziwe.

„Avalon” jest przytulny jak centrum handlowe po wyproszeniu ostatnich klientów, ale twórcy filmu nie umieli tego wykorzystać. „Pasażerowie” bronią się natomiast jako melodramat. Kamera kocha pannę Lawrence, a ona lubi nieogolonych facetów. Chociaż tak naprawdę jedyne, czego można zazdrościć Aurorze i Jimowi, to basen z widokiem na wszechświat. ©

Wiesław Chęłminiak



★★★★★

REŻ. MORTEN TYLDUM
„PASAZEROWIE”
(„PASSENGERS”)
USA 2016

wyst. Jennifer Lawrence, Chris Pratt, Michael Sheen, Laurence Fishburne



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

GRA TYGODNIA: „STELLARIS”

Studio deweloperskie Paradox znane jest przede wszystkim ze złożonych strategii turowych osadzonych w realiach historycznych. Do annałów przeszły jego serie „Europa Universalis” i „Hearts of Iron”. Tym razem postawiono jednak na gigantyczny projekt z gatunku 4X osadzony

w kosmosie. Odświeżenie scenerii, nieco uproszczona, choć niepozabawio- na głębi mechanika gry, prawdziwie galaktyczna skala, wyzwania dyplomatyczne i niesamowicie zróżnicowane rasy – to wszystko sprawia, że „Stellaris” mogą z czystym sumieniem nazwać krokiem w dobrym kierunku.

FOT. MATERIAŁY PROSOWE



Zbudowanie własnego imperium dawno nie sprawiało większej frajdy.
© © **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Strategia
- **Platforma:** PC/Mac
- **Producent, dystrybutor:** Paradox
- **Klasyfikacja PEGI:** 7+

BATMAN W LUNAPARKU

Równoległe z kinowymi superprodukcjami o Batmanie różnych reżyserów (ostatnio trylogia Christophera Nolana i film Zacka Snydera) rozbudowywany jest świat filmów animowanych. Ten najnowszy, „Zabójczy żart”, to ekranizacja jednego z najlepszych komiksów o Mrocznym Rycerzu, wydanego w roku 1988 (w Polsce z przyczyn oczywistych dopiero w latach 1991 i 2012). Za scenariusz odpowiadał Alan Moore, ekscentryczny geniusz komiksu, autor „V jak Vendetta” i „Strażników”. „Zabójczy żart” skupia się na relacjach Batmana z Jokerem. To próba dekonstrukcji tradycyjnego podejścia do tematu – stąd prowokacyjne pytania o to, na ile tak naprawdę są to postacie do siebie podobne, na ile dokonały swoich własnych wyborów, a na ile są ofiarami przypadku. Filmowa wersja jest wierna komiksowemu oryginałowi, ale dołożono do niej jeszcze półgodzinny wstęp objaśniający naturę relacji Batmana z Batgirl (Barbarą Gordon), co osłabiło wymowę całości. ©



★★★★★

REŻ. SAM LIU
„BATMAN: ZABÓJCZY ŻART”
(„BATMAN: KILLING JOKE”)
USA 2016, GALAPAGOS

PARÓWKO, DO DZIEŁA!

Trzymajcie dzieci z dala od tej animacji, sami zaś obejrzyjcie ją tylko wtedy, jeśli odpowiada wam humor, jakiego można się spodziewać po komediach z udziałem Setha Rogena. Bohaterami są produkty spożywcze żyjące w supermarkecie. Wierzą one, że kiedy ludzie wkładają je do koszyków i zabierają poza sklep, trafiają do krainy wiecznej szczęśliwości. Odkrycie prawdy – że są tam krojone, obdierane ze skóry, smażone, gotowane i pożerane – wywoła więc słuszny szok. Genialny pomysł na satyrę zatracza się jednak wśród dowcipasów o seksie oraz wyszydzenia innych nacji i ras (produkty meksykańskie są ucieleśnieniem stereotypu Latynosa, te z Bliskiego Wschodu podzielono na bohaterów żydowskich i arabskich itp.). Mniej więcej od połowy scenarzyści gubią się kompletnie i przestaje nas obchodzić, co się stanie z warzywami i kielbaskami. Czego nie zmienia mocno przegięta scena finałowa.

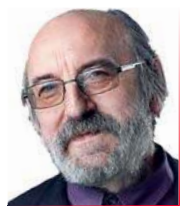


★★★★★

REŻ. GREG TIERNAN, CONRAD VERNON
„SAUSAGE PARTY”
USA 2016, IMPERIAL

wyst. Seth Rogen, Kristen Wiig, Jonah Hill

© © **recenzuje Piotr Gociak**

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Księgarnia przy Wiejskiej

Nie przypominam sobie krytycznoliterackiego tekstu Janusza Drzewuckiego, w którym wyrażałby się negatywnie o jakimkolwiek poecie. O swoich kolegach po piórze – autor „Środka ciężkości” (ur. w 1958 r.) sam jest uznanym poetą – pisze albo dobrze, albo wcale. „Zwyczajnie szkoda mi czasu – tłumaczy – na zajmowanie się książkami, które pozostawiają mnie obojętnym lub niechętnym”.

Widzę w tym pewne samoograniczenie, co nie zmienia faktu, że ten autor, krytykę literacką uprawiający od ponad 30 lat, jest najlepszym znawcą współczesnej polskiej poezji i można być pewnym, że już jego decyzja, by pisać o konkretnym twórcy czy jego książce, stanowi znaczący i z całą pewnością nieprzypadkowy wybór. Od 1996 r. wyborów tych dokonuje jako redaktor „Twórczości” i właśnie szkice, które swój pierwodruk miały w tym miesięczniku (oraz w „Rzeczpospolitej”, gdzie pracował w latach 1993–2005), składają się na „Środek ciężkości”. Kolejną książkę – po „Smakach słowa” i „Charakterze pisma” – w której opowiada o współczesnej polskiej liryce.

Jaki jest jej stan po odejściu gigantów: Herberta, Miłosza, Różewicza, Szymborskiej? Janusz Drzewucki wydaje się w tej kwestii umiarkowanym optymistą. „Wierzę – powiada – że polska poezja współczesna jest większa, niż nam się wydaje. Moim obowiązkiem – jako krytyka literackiego – jest czytać ją i pisać o niej na własny rachunek, czyli na własną odpowiedzialność”.

Pisze więc: o Julianie Kornhauserze i Krzysztofie Karasku, o Januszu Szubercie i Wojciechu Kawińskim, o Krzysztofie Lisowskim i ks. Janie Sochoni, o Wojciechu Wenclu i Wojciechu Kassie. Także o tych, których do-



FOT. TUDASZ ZWIJEWSKI/PAP

robek twórczy jest już zamknięty: Tymoteusz Karpowicz, Feliksie Netzu, Tadeuszu Śliwiaku... I wielu innych. W części książki zatytułowanej „Poeci z różnych stron” umieścił autor, wyborny zresztą, szkic o Jerzym Górzanśkim. Od złożeńa tomu do druku do jego edycji nie minęło pewnie wiele czasu, a już ten tekst znajduje dla siebie miejsce gdzie indziej – wśród „Poetów z drugiego brzegu”.

Tam też czytelnik „Środka ciężkości” znajdzie omówienie twórczości, niezapomnianego może dzięki literackiej legendzie, ale z pewnością nieznanego tak, jak na to zasługuje, przedwcześnie zmarłego – w wieku 21 lat – Włodzimierza Szymanowicza. Pamiętają państwo „Zaproszenie mnie do stołu” w przejmującej interpretacji Elżbiety Wojnowskiej? No właśnie. Drzewucki przywołuje jednak i inne utwory

tego „późnego brata” Andrzeja Bursy, będące zapowiedzią talentu, który nie zdążył się rozwinąć.

„Obca jest mi w krytyce programowość – wyznaje Janusz Drzewucki. – Inaczej rzecz ujmując: nie wiem, jaka literatura jest nam potrzebna. Co więcej, nie interesuje mnie literatura polska, jaka być może jest nam potrzebna, lecz wyłącznie taka, jaka jest, jaką znajduję w księgarni przy mojej ulicy. I moim obowiązkiem jest czytanie tej właśnie literatury”. Sęk w tym, że krytyk mieszka przy ul. Wiejskiej, gdzie – na szczęście – mieści się nie tylko Sejm, lecz także jedna z najlepszych księgarni w Warszawie, o ile nie najlepsza. Czasami jednak autorowi „Środka ciężkości” przychodzi zmierzyć się ze zgoła inną rzeczywistością, gdzie wprawdzie próżno szukać KOD-ziarzy protestujących w imię uciemnionej demokracji, za to w najlepsze mają się punkty sprzedaży książek, bo trudno nazwać je księgarniami. Relację z pobytu w jednym z takich punktów mieszczących się w galerii handlowej na Woli zamieścił Drzewucki w zakończeniu książki. Zaiste przynębiający to obraz.

Janusz Drzewucki upomina się o literaturę wartości. O aksjologię, mówiąc innym językiem. Jednak właśnie dlatego nie mogę się zgodzić z jego stwierdzeniem, że literatura „odpowiada tylko przed sobą, a nie przed Państwem czy Kościołem, nie przed Konstytucją czy Katechizmem”. Bardzo mi przykro, ale ma ona i inne, niewyłącznie prywatne obowiązki.

Za to zachwyciło mnie zdanie, w którym krytyk wyszczególnia to, czego oczekuje od interesującej go literatury. Otóż by nazywała jego „jeszcze nienazwane lęki, przeżucia, przeświadczenia, nadzieje i wiarę”. Ktoś powie, że to maksymalizm, ja jednak zauważę, że tylko taka literatura ma sens. ©©



★★★★★

JANUSZ
DRZEWUCKI
„ŚRODEK
CIĘŻKOŚCI”
INSTYTUT
MIKOŁOWSKI,
MIKOŁÓW 2016



PIOTR GOCIEŁ

POCZYTANKI

Śladem szympansa

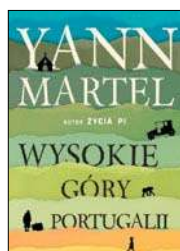
Autor głośnego „Życia Pi” powraca. Jego najnowsza powieść to znów alegoria, tyle że bardziej rozciągnięta w czasie. Trzy wątki, sześć bohaterów (wliczając szympansa) i ramy czasowe od XVII stulecia do współczesności. W części pierwszej („Bezdomny”) Tomaso, kustosz z Lizbony ogarnięty obsesją odnalezienia niezwykle krucyfiksu, wyrusza w długą podróż ku tytułowemu „Wysokim górą Portugalii”. Jest początek XX w., środkiem transportu jest jeden z pierwszych samochodów, a drugim ważnym bohaterem XVII-wieczny ks. Ulisses, którego poznajemy poprzez zapiski w starym dzienniku.

Akcja części drugiej („Droga do domu”) rozpoczyna się nocą z 31 grudnia 1938 na 1 stycznia 1939 r. Do Eusebia, szpitalnego patologa z Bragancy, zgłasza się dziwna kobieta z prośbą o przeprowadzenie sekcji zwłok zmarłego męża, ale najważniejszą osobą dramatu jest małżonka Eusebia, z którą łączy go m.in. miłość do powieści Agathy Christie. Także tutaj doczekamy się rozważań religijnych, a dokładnie próby wytłumaczenia popularności książek brytyjskiej pisarki ich podobieństwem do ewangelicznych przypowieści o Chrystusie.

Opowieść „Dom” (część trzecia i ostatnia) rozpoczyna

się w Kanadzie, a kończy w Portugalii, jej bohaterem zaś jest senator, który po śmierci żony porzuca swoje dotychczasowe życie. Peter pchnięty niewytłumaczalnym impulsem kupuje szympansa w jednym z amerykańskich ogrodów zoologicznych, sprzedaje wszystko, co ma, i przeprowadza się do miejscowości, z której przed laty wyemigrowali jego przodkowie. Szympanś Odo odgrywa ważną rolę w tej części, budząc niekłamną sympatię czytelnika.

Tym, co łączy najważniejsze postaci powieści (kustosz Tomaso, patolog Eusebio, senator Peter), jest rozpacz. Każda z nich nie potrafi poradzić sobie ze stratą bliskiej osoby. Tomaso w proteście przeciwko krzywdzie, która go spotkała, zaczyna chodzić tyłem, Eusebio pogrąża się w świecie urojeń, Peter odwraca się od świata (dodajmy tu i ks. Ulissego, który zetknąwszy się z piekłem niewolnictwa, traci wiarę w człowieka, a i jego relacje z siłą wyższą stają się, hm... skomplikowane).

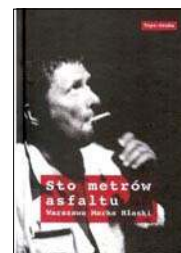


★★★★★
YANN MARTEL
„WYSOKIE GÓRY
PORTUGALII”
ALBATROS 2017

Proste właściwie przesłanie książki ukryte jest za bardzo uduchowioną warstwą fabularną, która wydaje mi się dobrze skrojonym produktem literatury podrywającej udającym prawdziwą literaturę. Coś z okolic Paolo Coelho, choć trochę lepiej napisane. Czyli pełna banałów wyduszką. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Kilkadziesiąt szkiców o twórcy „Pięknych dwudziestolecich”, w których autorzy przyglądają się uważnie topografii (także emocjonalnej) jego życia i twórczości, od Warszawy przez Niemcy i Stany Zjednoczone do Izraela. Pasjonujące.



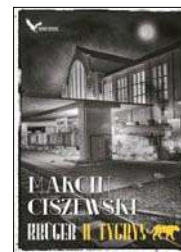
AUTORZY RÓŻNI
„STO METRÓW
ASFALTU”
LAMPA I ISKRA
BOŻA

Wznowienie jednej z najbardziej znanych i popularnych powieści Dickensa. Tytułowe miasta to Londyn i Paryż, a rzecz dzieje się w czasach rewolucji francuskiej (odmalowanej niezwykle barwnie i brutalnie) oraz ją poprzedzających.



CHARLES DICKENS
„OPOWIEŚĆ
O DWÓCH
MIASTACH”
ZYSK I S-KA

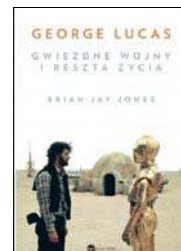
Drugi tom zakrojonej na cztery powieści sagi o Wilhelmie Krügerze – złodzieju, którego biografia kryje niejedną tajemnicę. Akcja z Warszawy i ze Lwowa przenosi się tym razem do Kijowa, a czasy nadal są niespokojne – rok 1919.



MARCIN
CISZEWSKI
„KRÜGER II.
TYGRYS”
WARBOOK

Obszerna biografia reżysera „Star Wars”, „American grafitti” i „THX 1138” – człowieka, który odmienił współczesne kino, ale nie tak, jak myślał, nie tym filmem, o którym myślał, i nie w tym kierunku, o jaki mu chodziło.

©© poleca Piotr Gocieł



BRIAN JAY JONES
„GEORGE LUCAS.
GWIEZDNE WOJNY
I RESZTA ŻYCIA”
WIELKA LITERA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Jerzy Zięba „Ukryte terapie”, tom 2 (Egida Halina Kostka)** – ciąg dalszy opowieści z cyklu „Czego lekarz ci nie powie”.
- Sara Pennypacker „Pax” (IUVI)** – chłopiec w poszukiwaniu lisa, którego oswoił, ale musiał potem wypuścić na wolność. Skrzyżowanie Martella i „Lassie, wróć”.
- Wisława Szymborska, Kornel Filipowicz „Najlepiej w życiu ma swój kot” (Znak)** – listy pary pisarzy, przyjaciół i kochanków (byli ze sobą 23 lata).
- Marie Tourel Soderberg „Hygge. Duńska sztuka szczęścia” (Insignis)** – poradnik: jak sprawić, by radość z małych rzeczy zmieniała się w radość dużą.
- Szczepan Twardoch „Król” (Wydawnictwo Literackie)** – żydowski bokser, gangster, wielka polityka i szalone plany, czyli II RP w wersji pop.

(Najchętniej kupowane książki tygodnia w księgarni internetowej Bonito.pl)



JAN POSPESZALSKI

KONTRA/BASEM

Pożegnanie z Kulentym

Spieszmy się kochać ludzi... Nigdy ta sentencja ks. Jana Twardowskiego nie okazała się tak boleśnie trafna jak w przypadku mojego spotkania z Michałem Kulentym.

Umawiałem się z nim, że wpadnę do niego, by porozmawiać, a przede wszystkim odebrać nagrodę, jaką przyznał mi na festiwalu w Niepokalanowie. Odkładałem wizytę, bo zawsze inne ważne terminy, każdego dnia tyle pilnych spraw, a takie miłe, towarzyskie spotkanie może trochę poczekać...

Nie przewidziałem jednak, że Jego terminy są z innego porządku. Odszedł za szybko, zostawiając ogromnie dokuczliwą nieobecność, ale też bogactwo dźwięków, choćby tych zawartych na ostatniej płycie zatytułowanej „Dusza w uszach”.

Oprócz nagrań, kompozycji i rozpoczętego materiału na następny album, który przygotowywał wraz z Krzysztofem Herdzinem, zostawił nam, muzykom, pewien wzorzec. Pozostanie dla nas przykładem artysty bezkompromisowego. Ta bezkompromisowość polegała nie tylko na wierności swojej artystycznej intuicji. To była przede wszystkim wierność zasadom. Dziś przyznawanie się do wartości, jakim służył Michał, staniało. Hasło „Bóg, honor, ojczyzna” stało się modne. Jednak do niedawna saksofoniście, jazzmanowi, kompozytorowi, człowiekowi mediów, który chce być wierny tej triadzie, łatwo nie było. Żona Michała, Grażyna, przyznaje, że Michał wiele mógłby osiągnąć, przyjmując postawę kompromisową, bardziej uładzoną.

Muzyk, kompozytor, który funkcjonuje w biznesie rozrywkowym, piszący utwory dedykowane Polsce, swojej ojczyźnie, przyznający się do głębokiej religijności, na pewno, jak mówi Grażyna, miał pod górkę. Swoją drogą nie wyobrażam sobie jednak Michała zgadzającego się na permissywnizm, na polityczną poprawność, na kłamstwo smoleńskie. Strata i ból, jakie zostawia po sobie, łagodzone są nieco przez świadomość, że historia Jemu przyznała rację. Umierał, widząc inną Polskę. Może jeszcze nie całkiem taką, o jakiej marzył, ale taką, którą możemy zmieniać na miarę naszych marzeń. Polskę, która w marcu 2016 r. doceniła Go jako artystę złotym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, a dziś jako Polaka, patriotę uroczystym pogrzebem na Powązkach Wojskowych. ©



FOU EUGENIUSZ HELBERT / FORUM



GRZEGORZ BRZÓZOWICZ

NA SŁUCH

Przygody Katarzyny

Trzykompaktowy zapis historycznego spektaklu z 2014 r., którym Kate Bush powróciła na scenę po 35-letniej absencji. Między sierpniem a październikiem wokalistka dała 22 występy w Hammersmith Apollo, które obejrzało 75 tys. szczęśliwców, którym udało się kupić bilety. Ten gruntownie przygotowany multimedialny koncert złożony z trzech aktów opowiadał, w uproszczeniu, o zderzeniu ludzkości i natury.

Zamiast zestawu największych przebojów, co byłoby naturalne po tak długiej przerwie, widzowie otrzymali opowieść opartą na utworach głównie z dwóch

albumów, których wydanie dzieli 20 lat.

Pierwsze CD przynosi zbiór piosenek, w tym przeboje „Running Up the Hill” i „Hounds of Love”. Drugie suitę „The Ninth Wave” opartą na drugiej stronie albumu „Hounds of Love”, a trzecie suitę „A Sky of Honey”, której podstawą jest druga płyta z albumu „Aerial”.

Kate śpiewa wspaniale, zespół gra niesamowicie i jedynie szkoda, że całość nie została wydana na DVD. Aby w pełni przeżyć ten 150-minutowy spektakl, należałoby jednak mieć obrazek. Muzyka momentami porywa, szczególnie na ostatniej z płyt, ale jako całość album jest wyzwaniem nawet dla wiernych fanów. ©



★★★★★
KATE BUSH
„BEFORE THE DAWN”
FISH PEOPLE



★★★★★
MITEK SZCZESNIAK
„NIERÓWNI”
POLSKIE RADIO

Mitek przełożył wiersze ks. Jana

Twardowskiego na sambę, chorinho i sao. Szczesniak śpiewa delikatnie do muzyki nagrałej w USA przez brazylijskich muzyków. Krzysztof Herdzin zaaranżował smyczki, Marcin Pospieszalski wyprodukował album i całość wyszła pięknie. ©



★★★★★
KULT
„WSTYD”
– SUPLEMENT 2016”
SP RECORDS

Zestaw otwierają dwa

hymny: „Modlitwa o wschodzie słońca” do tekstu Natana Tenenbauma i „Leave the Kids Alone” kapeli Booze & Glory. Reszta to kawałki społeczno-polityczne, wśród nich „Polityk muzykiem”, w którym Kazik pije do Kukiza. ©



/ WARSZAWSKA OPERA KAMERALNA



SCENA MARIONETEK WARSZAWSKIEJ OPERY KAMERALNEJ

Giovanni Battista Pergolesi
LA SERVA PADRONA

soboty
14 stycznia / 11 marca
godz. 17.00

Teatr Królewski w Starej Oranżerii
Muzeum Łazienki Królewskie

SPRZEDAŻ BILETÓW:

www.bilety.operakameralna.pl
Kasa Warszawskiej Opery Kameralnej, al. Solidarności 76b,
Kasy Łazienek Królewskich, ul. Agrykoli 1
oraz Teatr Królewski na godzinę przed wydarzeniem

www.operakameralna.pl

www.lazienki-krolewskie.pl

PIKTRON MEDIA



Mazowsze.
serce Polski

Warszawska Opera Kameralna jest instytucją finansowaną
ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego

eprasa.pl 01d2b3fc2c



**Z Jonnym Danielsem,
prezesem fundacji From The Depths**
rozmawia Marcin Makowski

W ojcu Rydzyku nie ma antysemityzmu

MARCIN MAKOWSKI: „Jerusalem Post” napisał niedawno, że jest pan „Żydem stojącym najbliżej Trumpa”. To komplement czy pocałunek śmierci?

JONNY DANIELS: Ani jedno, ani drugie.

Donalda Trumpa poznałem ponad siedem lat temu, gdy pracowałem dla rządu Beniamina Netanjahu. Zrobił na mnie dobre wrażenie, był żywo zainteresowany Bliskim Wschodem i umacnianiem relacji z Izraelem, przy jednoczesnej nieufności do Iranu. Od tego czasu nigdy się na nim nie zawiodłem – to nie jest człowiek, który zmienia poglądy z dnia na dzień. Faktycznie „Jerusalem Post” użył takiego zwrotu, niektóre media ujęły sprawę dosadniej, ale to już ich interpretacja. Ja się naszej znajomości nigdy nie wstydziłem.

A co pan czuł, słysząc o „łapaniu kobiet za genitalia”?

Trzeba być półgłówkiem, żeby nie czuć zażenowania po podobnych słowach – kobieta to nie obiekt seksualny. Pamiętajmy jednak, że Trump za swoje zachowanie przeprosił. W toku brutalnej walki politycznej i przy podobnym temperamencie często mówi się wiele rzeczy, których się później żałuje. Przecież w Ameryce wszyscy wiedzieli, że Trump to nie św. Franciszek, a wygrał pomimo swoich wad. Jak pan myśli, dlaczego?

Proszę mi powiedzieć. Prawie pół roku przed wyborami stwierdził pan, że Trump zostanie

prezydentem. Ja nie byłem pewien, więc musi pan mieć lepsze źródła.

Nie będę teraz udawać, że od początku uważałem start Trumpa w wyborach za coś oczywistego. Nie miałem jednak wątpliwości, że to człowiek, który nauczył się wygrywać. I umie ważyć swoje szanse. Może to banał, ale kiedyś pokazał mi w swoim biurze testową kolekcję wody kolońskiej sygnowanej jego nazwiskiem – nosiła skromną nazwę Sukces. Spytał wtedy: „Jonny, jak ci to pachnie?”. I podał buteleczkę. Skrzywiłem się i odparłem, że zdecydowanie za mocno. Wycofał całą partię z produkcji, a mi został w szafie jeden z ostatnich flakoników, prawdziwy rarytas (śmiech). Gdyby był zapatrzonym w siebie egocentrykiem, nie przyjąłby krytyki do wiadomości. Poprawność polityczna, z którą walczy, zbyt długo wylewała się ludziom uszami. Wystarczyło pojeździć po Stanach poza aglomeracjami, aby zrozumieć, że wybór Trumpa był jak pokazanie czerwonej kartki waszyngtońskiemu establishmentowi, który zaczął słuchać echa swojego głosu zamiast obywateli.

„Społeczność żydowska dużo bardziej obawia się lewackich profesorów z wpływowych uniwersytetów, którzy stoją za Bernieem Sandersem i Hillary Clinton. Oni próbują delegitymizować Państwo Izrael, nazywając Żydów agresorami i mordercami” – to pańskie słowa. Czyba też nie ma pan problemu z polityczną poprawnością.



Nie mam problemu z mówieniem rzeczy, w które wierzę. Nawet jeśli później są wyciągane z kontekstu i obracane przeciwko mnie.

Dobra wymówka.

To nie wymówka, tylko mechanizm stary jak świat. Przecież Donalda Trumpa, tak jak w Polsce Antoniego Macierewicza czy Jarosława Kaczyńskiego, analogicznymi metodami próbuje się przedstawić np. jako dyktatorów i rasistów. Tymczasem wystarczy wejść do Trump Tower, żeby zobaczyć, jak wiele narodowości tam pracuje. Nie da się funkcjonować w nowojorskiej branży nieruchomości, będąc bigotem.

Otwartość miliarda na pewno docenili zatrudnieni na czarno przy budowie Trump Tower Polacy.

Zgoda, rzeczywistość imigracji zarobkowej niestety wszędzie na świecie jest podobna. Zaczyna się często nielegalnie od nisko płatnych prac. Nie wiem, czy sposób zatrudnienia budowlańców, o których pan wspomina, był znany Trumpowi, ale na pewno dzisiaj to on zadba o to, żeby nie zamykano fabryk, a przemysł wracał do USA. Klasa średnia w tę obietnicę uwierzyła, a jak widać po notowaniach – giełda również. Proszę zwrócić uwagę, że po wygranej Trumpa odetchnęły silne kraje Bliskiego Wschodu. One rozumieją, że wraz ze zmianą w administracji do głosu dojdzie „stara szkoła” amerykańskiej obronności. Tylko tak będzie można ustabilizować region, który nieodpowiedzialna polityka Obamy doprowadziła do katastrofy humanitarnej. Tego samego Obamy, za którego prezydentury Ameryka nie zgłosiła weta wobec rezolucji ONZ potępiającej izraelskie osadnictwo. To jedna z najbardziej antysemitkich decyzji USA w historii. Dlatego analizując ostatnie wybory, zawsze trzeba mieć w głowie „szerszy obraz”.

Sądzi pan, że gdy Donald Trump obejmie urząd, faktycznie będzie tak dobrym prezydentem dla Polski, jak zapowiadał, a może kolejny raz przekonamy się, że słowa nic nie kosztują?

Sądzę, że potencjał współpracy polsko-amerykańskiej jest dzisiaj bezprecedensowy. Pod względem retoryki, konserwatyzmu fiskalnego, wartości i wizji świata gabinet Trumpa idealnie pasuje do obecnego rządu w Polsce. Jeśli chodzi o konkrety, to pierwszy już jest, tzn. potwierdzenie i umocnienie

amerykańskiej obecności militarnej na flance wschodniej i sprzedaż strategicznego uzbrojenia. Jestem przekonany, że na tym się nie skończy.

Wystarczy Ameryki. Od lat walczy pan o prawdę historyczną i godne upamiętnienie Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Czy widząc seriale takie jak „Nasze matki, nasi ojcowie”, nie myśli pan, że wszystko na marne?

Nie, fatalizm nie jest w moim stylu. Niestety, w przypadku tej produkcji i podobnych faktycznie można mówić o próbie relatywizowania własnych win przez przypisywanie najgorszych intencji stronie trzeciej. Trzeba mieć świadomość, że to tylko wierzchołek góry lodowej problemu, który zapoczątkowała diaboliczna decyzja Niemców, żeby Holocaust odbył się poza oczami ich obywateli. To ona ściągnęła na relacje polsko-żydowskie trwającą ponad 70 lat nieufność, zrodzoną z kosmicznego nieporozumienia. Wierzę jednak, że da się je wyprostować, ale to praca na pokolenia.

Gdy prof. Shlomo Avineri krytykuje projekt Ministerstwa Sprawiedliwości zakładający penalizowanie użycia terminu „polskie obozy śmierci” i twierdzi, że historię regulują tylko państwa autorytarne, też to jest nieporozumienie?

To raczej zła wola. Wielokrotnie podkreślałem, że również w interesie Izraela leży ściganie przypadków przypisywania Polsce odpowiedzialności za Holocaust. Przecież Polacy, tak jak Żydzi, byli ofiarami zbrodniczej idei, która ma źródło i egzekutywę w Berlinie, a nie w Warszawie. Skoro można penalizować kłamstwo oświęcimskie, to dlaczego nie można „kłamstwa obozowego”? Niestety, amerykańska i izraelska diaspora sądzi, że Polacy chcą umyć ręce od krzywd wyrządzonych Żydom, odebrać order „prawdomównemu” Grossowi i wybielić własną przeszłość. Polacy natomiast nie rozumieją, jak można ich o cokolwiek oskarżać, zapominając równocześnie o prawdziwych architektach ludobójstwa. Nie pierwszy raz zawodzi komunikacja. Zamiast – tak jak w przypadku idiotycznego twierdzenia Grossa, że Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców – wykazać jego braki źródłowe, zareagowano emocjonalnie. A on dostał to, czego chciał, i chodzi po bankietach w Nowym Jorku w aurze męczennika. Podobną powściągliwością muszą się jednak wykazać sami Żydzi, którzy w najnowszej historii Izraela też mają się czego wstydić.

Mówi pan: „Przezywacie walkę wizerunkową”, ale równocześnie często z pana ust padają słowa o Polsce jako jednym z najlepszych miejsc do bycia Żydem. Skąd ten dysonans?

Przez lata przejechałem Polskę wzdłuż i wszerz, rozmawiałem z setkami osób, widziałem życie poza wielkimi miastami i podobnego bezpieczeństwa nie czuję nigdzie indziej. Opowiem panu anegdotę. Każdy ambasador Izraela musi przysyłać regularny raport o incydentach wymierzonych w Żydów na terytorium danego kraju. W Polsce ta rubryka zazwyczaj odsyłana jest pusta, dlatego ambasador dostaje telefony z prośbą o wyjaśnienia, bo „w centrali” sądzą, że się leni. Tymczasem nie ma niczego do zgłoszenia. Dlaczego świat o tym nie słyszy? Właśnie ze względu na rozjeżdżanie się faktów z ich otoczką medialną.

Trudno, żeby było inaczej, gdy uczniowie przyjeżdżający z Tel Awiwu widzą głównie mury Auschwitz...

To ogromny problem, bo pomimo obiektywnych atutów Polski młode pokolenie Żydów nie dowiaduje się, jak niesamowity kraj obserwują zza szyb autobusów. Nie uciekniemy od piętna Zagłady, ale oba kraje muszą równocześnie opowiadać tę część ich dziejów, która rzuca światło na prawdziwych bohaterów – Polaków, którzy z narażeniem życia ratowali Żydów. Moi rodacy zazwyczaj wracają z Polski ze zwieszonymi głowami. Tymczasem gdy opowiadam im o Sprawiedliwych, pokazuję miejsca, w których ukrywali ich braci, coś się w nich zmienia. Odnajdują w Zagładzie miejsce na heroizm i nadzieję. A podobnych punktów zaczepienia jest ogrom. Choćby warszawskie zoo i rodzina Żabińskich, która ocalała ponad 300 osób. Hollywood kręci o tym film. Dlaczego nie Polska?

My otwieramy Muzeum Polaków Ratujących Żydów w Markowej.

To fantastyczna inicjatywa, niestety daleko od centrum. Kto je zobaczy? Do kogo jest kierowane? Na takie pytania trzeba sobie uczciwie odpowiedzieć. Poza tym w Polsce nadal żyje ok. 250 Sprawiedliwych. Dlaczego niektórzy z nich nie mają pieniędzy na leki? Przecież powinni być noszeni przez państwo na rękach. Wszystkie dotychczasowe rzędy o nich zapominały. Dochodzi do tego, że na pogrzeby Sprawiedliwych ludzie dzwonią po mnie, abym wygłosił przemówienie. A kim ja jestem? Za koalicji PO-PSL nie było lepiej. Gdy kilka lat temu

zaprosiłem do Auschwitz i Krakowa prawie 800 gości z Izraela, w tym kilkuset przedstawicieli Knesetu, pies z kulawą nogą się tym nie zainteresował...

Z tego, co widzę, łatwo się pan nie zniechęca. Niedawno wraz z Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym Żydów uruchomił pan Centrum Edukacyjne Polskich Sprawiedliwych. Jakie stawia sobie cele?

Ktokolwiek usłyszy historię Sprawiedliwych, nigdy więcej nie odważy się powiedzieć o „polskich obozach śmierci”. Niestety, 72 lata po Holocaustie większość ich historii nie została nawet nagrana. Pracuję z HBO nad stworzeniem serii ich świadectw, które czasami brzmią jak historie Jamesa Bonda. To są gotowe scenariusze na film, których nikt nie chciał przez lata wysłuchać. Centrum będzie się starało uzupełnić tę lukę. Ono samo powstanie w nowej siedzibie TSKŻ przy pl. Grzybowskiem.

Na swojej drodze spotkał pan nieoczekiwane gościa, o. Tadeusza Rydzyka. Niektórzy z tego powodu nazwali pana „zdrajcą Izraela”.

Nie przejmuję się takimi opiniami. Oczywiście słyszałem o o. Rydzyku to samo co większość Polaków: „antysemityta, bogacz i polityk w szatach duchownego”. Pojechałem na konferencję o Sprawiedliwych do Torunia, zastanawiając się, czym będzie się różnił mit medialny od autentycznej osoby. On również nie był pewny, jak będę go odbierał – przecież ma świadomość swojego wizerunku. Tymczasem po kilku godzinach rozmowy byłem w szoku. W tym człowieku nie ma ani grama antysemityzmu. Owszem, miał wiele pytań dotyczących relacji polsko-izraelskich, ale zdałem sobie sprawę, że do tej pory nikt ze społeczności żydowskiej nie wyciągnął do niego ręki. Wiadomo – nie ma dymu bez ognia, ale dzisiaj to odległa przeszłość. Zrozumiałem również, na czym polega jego sekret.

Sekret o. Rydzyka? Brzmi intrygująco.

On ma to, czego brakuje 99 proc. polityków. Autentycznie zależy mu na tym, w co się angażuje. To jasne, że aby być liderem, trzeba mieć o sobie wysokie mniemanie i determinację. Jednak nigdy nie osiągniesz prawdziwego sukcesu, jeśli nie będziesz ci naprawdę zależało. Ludzie wyczuwają fałsz. Ci, którzy go poznali, zrozumieli, że nie udaje.

Z tego spotkania narodziła się w pana domu kolacja szabasowa okraszona śmietanką polityków

PiS, wiceszefem Knesetu, ambasadorem Izraela i „ojcem dyrektorem”. Jaki jest pana sekret, że udało się panu zebrać wszystkich przy jednym stole?

Mnie również zależy.

Na czym najbardziej?

Żeby uczynić ten świat lepszym, niż go zastałem.

Okładka „Rzeczpospolitej”, na której pozuje pan w roli pazernego Żydka, czyni świat lepszym czy po prostu pana bardziej znanym?

Chce pan wiedzieć, dlaczego to zrobiłem? Ponieważ rozumiem, jak grać w tę grę. Relacje polsko-żydowskie nie są dla ludzi aż tak ciekawe. Niemniej trzeba o nich opowiadać, mierzyć się ze stereotypami, intrygować. Właśnie dlatego zorganizowałem np. akcję, w której strongman nosił na żydowski cmentarz macewy, z których robiono chodniki. Przecież nie jestem pierwszą osobą, która zaangażowała się w podobne kwestie. Moja znajomość mediów pozwala mi jednak na igranie z ogniem, ale nie ma w byciu na pierwszej stronie gazety w Polsce ukrytej agendy. Gdyby chodziło o pieniądze i sławę, działałbym na Zachodzie.

Ten fakt mnie intryguje. Urodził się pan w Londynie, mieszkał w USA, służył w izraelskiej armii i nagle Polska. W walce o sprawę, która nawet w środowisku żydowskim czyni postacią kontrowersyjną. Szaleństwo?

W życiu! Czuję bardzo silną więź z Polską, moje korzenie są polskie. Kocham tutejszą kulturę, mentalność, kuchnię, architekturę. Poza tym spełniam się w tym, co robię, i mam wrażenie, że właśnie w Polsce mogę uczynić różnicę w sposobie, w jaki postrzega się Sprawiedliwych. A to dla mnie wielka sprawa.

Zaproponował pan swego czasu ciekawe rozwiązanie dotyczące zrzeczenia się przez Polskę administracji nad niemieckimi obozami koncentracyjnymi...

Wiem, że to kontrowersyjny pomysł, ale trzeba uświadomić sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, poza Auschwitz wiele obozów – np. Płaszów – jest w opłakanym stanie. Polski rząd nie powinien ponosić odpowiedzialności za ich restaurowanie. Nie zostały przez was wybudowane, nie należały do was, Polaków tam tylko mordowano. To na niemieckim rządzie musi spoczywać zadanie zachowania tych miejsc jako ostrzeżenia

dla ludzkości. Po drugie, polski ochroniarz przed drutami Auschwitz to nie jest obraz, który powinien iść w świat. Niech zastąpi go np. pracownik ONZ. Być może w taki sposób, pokazując, że obozy jedynie leżą na polskiej ziemi, ale z Polakami nie mają niczego wspólnego, udałoby się wykorzystać zwrot „polskie obozy śmierci”. Podobne detale tworzą mozaikę nieporozumień. Również sam zarząd nad terenami obozów powinien być rotacyjny i międzynarodowy.

W jednym z wywiadów wspominał pan, że kontaktując się z zagranicznymi mediami, stale musi się pan mierzyć z pytaniami: „Czy trudno mi się pracuje z tym faszystowskim rządem?”. Jest aż tak źle?

Zagraniczne media nie mają głębszego zrozumienia procesów politycznych w Polsce. Już się z tym pogodziłem, dlatego działam oddolnie. Pewnego razu we współpracy z MSZ zaprosiliśmy grupę wpływowych Żydów z USA m.in. do Warszawy – wśród nich menedżera Boba Dylana. Po wszystkim napisał list, który zaczyna się od słów: „Dorastając, nie słyszałem żadnego dobrego słowa o Polsce. Wyobrażałem sobie ten kraj w czerni

wa nie przenosi się na społeczną zmianę wizerunku obydwu krajów. Często również ze strony Izraela popełniane są szkolne błędy. Na przykład nowa linia lotnicza otwiera połączenie do Polski i wysyła na pokładzie swojego samolotu ludzi mediów. Nie pokazuje im Gdańską, Wrocławia ani Krakowa, tylko pakuje po wylądowaniu w autokar i zawozi do Auschwitz, Sobiboru i Treblinki. Tyle.

Często podkreśla pan, jak podobne są cechy charakteru Żydów i Polaków. Stale narzekamy, walczyliśmy o suwerenność, mamy tragiczną historię. Dlaczego mimo tego nie potrafimy znaleźć wspólnego języka?

Cóż, swoje zrobiły dekady komunizmu i wzajemna niechęć między Izraelem a blokiem sowieckim. Oczywiście kluczową rolę odgrywa pamięć o Polsce jako cmentarzu minionych pokoleń. Dlatego trzeba zaczynać od małych rzeczy. Ja np. proponuję gościom z zagranicy, żeby korzystali z LOT-u. Nikt, od polityków do biznesmenów, nie może się nachwalić jakości obsługi, punktualności i nowej floty. Im więcej podobnych doświadczeń – a ludzie zaczęli masowo odwiedzać nie tylko miejsca kaźni, lecz także miejsca życia – tym szybciej zaczniemy budować wspólną historię na nowo.

Nazwa pańskiej fundacji – From The Depths – to fragment psalmu ze Starego Testamentu. Co powinniśmy usłyszeć z tych głębin?

Głos z głębin rozumiem jako doświadczenie Holokaustu. Jednak jeśli zejdziesz na dno ciemności, to później droga może wieść tylko w jedną stronę – ku górze. Nasze losy są połączone na wieki. Jeśli pozostaną w tym punkcie, to będzie to największa tragedia. Dlatego historia Sprawiedliwych jest tak ważna. Już teraz na świecie ludzie stają przed podobnymi dylematami. Co robimy z chrześcijanami mordowanymi w Syrii? Holokaust pokazał nam, jak przetrwać, ale lekcja, której jeszcze się nie nauczyliśmy, to sztuka, jak w obliczu zła stanąć mu naprzeciw. Z głębin powinniśmy usłyszeć wołanie tych ludzi. I ono powinno nas prowadzić, gdy przyjdzie czas próby.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Polski rząd nie powinien ponosić odpowiedzialności za restaurowanie obozów śmierci. Nie zostały przez was wybudowane

i bieli, po mojej podróży zobaczyłem Polskę w technikolorze”. I to prawda, nie da się zmienić wizerunku kraju, posługując się tylko pozwami i groźbami. Z perspektywy marketingowca Polska to gotowy produkt. Kiedy rozmawiam z polskimi politykami, zawsze im powtarzam: jeśli chcecie mieć dobry PR, to nie wydawajcie milionów na reklamy w telewizji. Wyślijcie grupę zagranicznych dziennikarzy na Mazury ze skrzynką lokalnego piwa. Wystarczy.

Dziennikarzom pewnie tak. Jednak co z realną polityką? Izraelskie media zauważyły wizytę premier Szydło tylko z powodu towarzyszącego jej wypadku samochodowego.

Stosunki polsko-izraelskie pod względem rządowym i biznesowym kwitną. Niestety, współpraca gabinetowa

Jonny Daniels – prezes fundacji

From The Depths działającej na rzecz budowania dobrych stosunków między Polakami i Żydami, był doradca rządu Izraela oraz polityków w kilku krajach, m.in. Wielkiej Brytanii i USA.

Doznania, które opisują ludzie wracający ze stanu śmierci klinicznej, są znane od dawna. W naszych czasach wzrosła ich liczba, gdyż wynaleziono metody ożywiania w szpitalach pacjentów zapadających w zgon. Ma je od 10 do 20 proc. ludzi bliskich śmierci. Na ogół są przyjemne, strasznych jest mniej. Na stałe zmieniają światopogląd pacjentów. Po wglądzie „tam” rosną ich uduchowanie, troska o innych, natomiast maleją lęk przed śmiercią, materializm i chęć rywalizacji. Im bliżej konający znajduje się śmierci, tym ma bliżej do Boga w postaci jasnego światła. Ludzie realnie bliscy śmierci, a nie tylko przestraszeni np. w nagłym wypadku, częściej widują zmarłych. 82 proc. badanych sądzi, że trwale przeżyje swą śmierć, kiedy nadejdzie.

PRZYPADEK DR. ALEXANDRA

Sławny stał się przypadek dr. Ebena Alexandra, który swe doznania opisał w książce „Proof of Heaven” („Dowód” w polskim przekładzie). Wydał także drugą książkę – „Mapa nieba” – ze świadectwami, które przekazali przywróceniu życia po lekturze pierwszej.

Autora trudno uznać za oszusta. Jest neurochirurgiem. W ciągu 25 lat dokonał setek operacji mózgu. Piętnaście lat pracował na wydziale medycznym Harvardu. Był materialistą obojętnym religijnie, choć wychowanym w chrześcijańskim Kościele episkopalnym. W czasie praktyki lekarskiej słyszał opisy doznań pacjentów przywracanych życiu, lecz uważał je za złudzenia konającego umysłu.

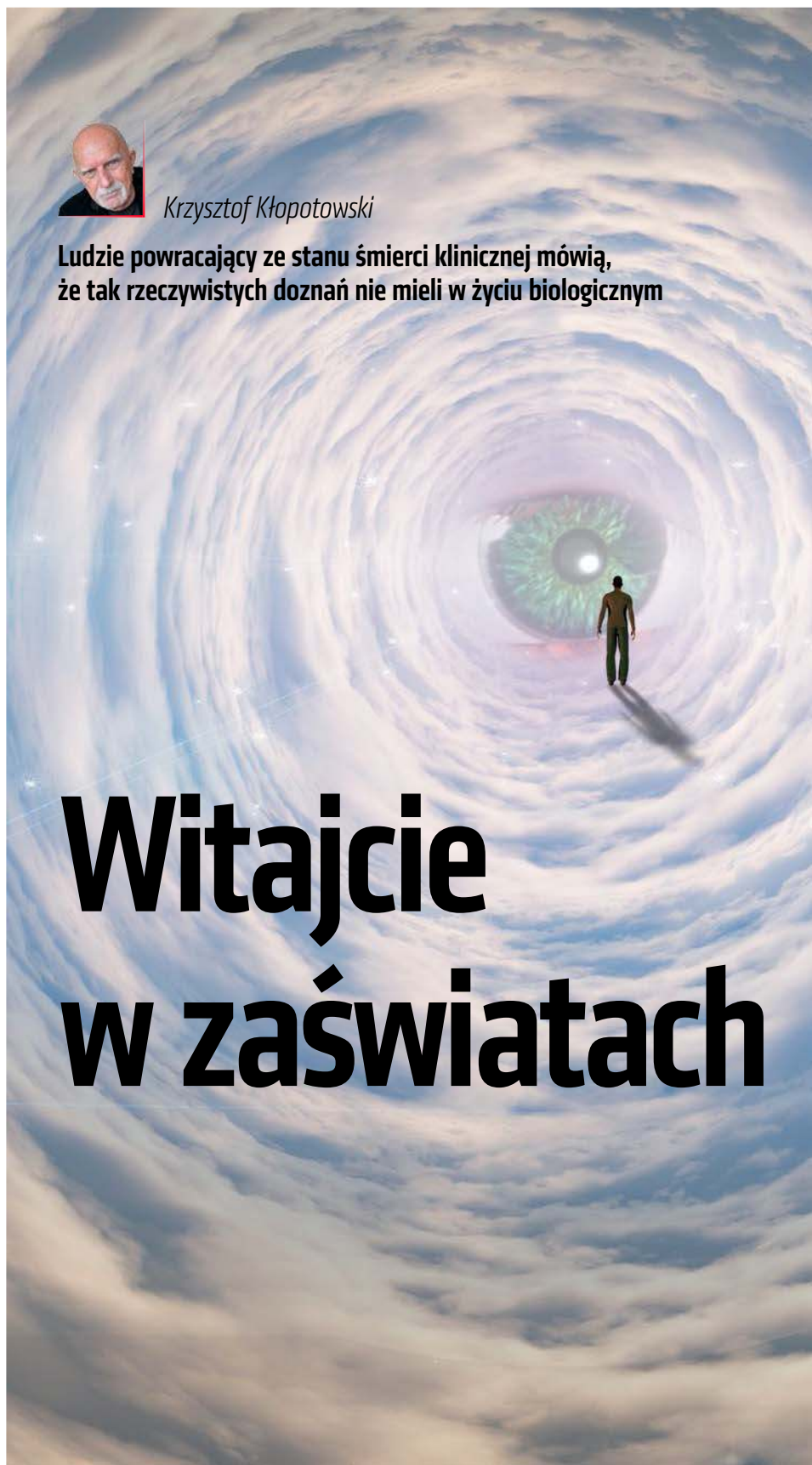
Pewnego dnia zapadł w śpiączkę. W przypadku jego choroby – zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych – po śpiączce trwającej siedem dni miał minimalne szanse przeżycia. Jednak obudził się rzeński i przytomny, a po kilku miesiącach wrócił do pełni zdrowia i z przesłaniem dla ludzi. Poleca je Raymond A. Moody. Autor sławnego „Życia po życiu” pisze: „Doświadczenie prawie śmierci dr. Ebena Alexandra jest najbardziej zdumiewające, o jakim słyszałem w czasie ponad czterech dekad studiowania tego zjawiska. Jest żywym dowodem życia po życiu”.

Mystyk neurochirurg podaje w Internecie (www.eternea.org) hipotezę neurologiczną wyjaśniającą jego doświadczenia. I dodaje: „Można się spierać o własną wersję »Nieba«; wszystko, co mogę powiedzieć z pewnością, to to, że owa wspaniała sfera naprawdę istnieje. Różnice opisów



Krzysztof Kłopotowski

Ludzie powracający ze stanu śmierci klinicznej mówią, że tak rzeczywistych doznań nie mieli w życiu biologicznym



Witajcie w zaświatach



są wynikiem filtrującej i przesłaniającej funkcji mózgu, który zaprawia wspomnienia osobistym i kulturowym smakiem. Ale leżąca u ich podstaw rzeczywistość jest niezaprzeczalna". Jego mózg nie działał w tej części, która wytwarza obraz świata z danych zmysłów, nie mógł więc wytwarzać wizji. Jednak autor twierdzi, że przebywał w innej rzeczywistości.

WIZJA NIEBA

Doktor Alexander w śpiączce zachował świadomość bez pocucia swojej tożsamości czy ciała, tak jak we śnie, kiedy obserwujesz, ale nie wiesz, kim jesteś. Zanikły emocje, logika, język, czas. Cofnął się do pierwotnego życia. Był punktem świadomości w czerwono-brązowej mazi. Wtem pojawiło się coś obrotowego, emanującego promieniami białozłotego światła. Usłyszał piękną i bogatą muzykę, która stawiała się coraz głośniejsza. Źródło światła zbliżało się, aż dojrzał w nim wejście. Po drugiej stronie był najpiękniejszy, olśniewający, bujny i zielony krajobraz wiejski, a on sam płynął w górze nad polami, strumieniami i ludźmi, roześmianymi, tańczącymi w kręgach, ubranymi w proste chłopskie piękne szaty.

Ujrzał obok urodziwą dziewczynę w szacie koloru błękitu, indygo i brzoskwini. Płynęli razem na skrzydle motyla wśród milionów innych motyli. Patrząc na niego z nieopisaną miłością, przekazała mu bez słów, że jest zawsze kochany, nie ma się czego obawiać i że nie jest w stanie zrobić nic złego. Poczuł szaloną ulgę. Dodała, że „oni” pokażą mu wiele rzeczy, ale wróci.

Znalazł się ponad chmurami, wśród przezroczystych ni to ptaków, ni to aniołów, które lecąc, zostawiały smugi na niebie. Z góry dochodził dźwięk będący wspaniałym, buczącym hymnem radości owych istot. Słyszał piękno ich srebrzystych ciał, a widział doskonałość śpiewu. Słyszenie i widzenie były bowiem razem nieoddzielnym.

Posuwając się dalej, wpłynął w ogromną próżnię czarną i zarazem lśniącą światłem z pobliskiego „anioła”. Poczuł się jak płód w łonie Boga, źródła wszechświata. Anioł był pośrednikiem między nim a Stwórcą. Bóg przekazał mu bez słów, że wszechświatów jest wiele, lecz w centrum ich wszystkich znajduje się bezwarunkowa miłość. Istnieje też zło, byśmy mieli wolną wolę i wybierając, mogli się doskonalić. Widział życie w niezliczonych wszechświatach, niektóre

inteligencją przewyższające ludzkość, i wyższe wymiary nie do pojęcia ze światów niższych poziomów. W wyższych światach życzenie spełnia się przez pomyślenie. Świat czasu i przestrzeni, w którym poruszamy się na ziemi, głęboko przenika się z wyższymi światami.

Opis takich doznań nie razi, gdy je podaje mistyk, ale budzi zażenowanie w opowieści naukowca. Przekracza bowiem granicę między sacrum i profanum. Moim zdaniem ta granica została ustanowiona z pocucia bezradności. Skoro nauka nie mogła udowodnić istnienia „tamtego świata”, to ludzie wiary próbowali zniechęcać do naukowego podejścia do tych zjawisk, ażeby ich nie podważać. W takim razie przypomnijmy obraz nieba przed rewolucją kopernikańską. W centrum wszechświata była płaska ziemia, a nad nią unosiła się kopuła, za którą przebywał Bóg. Jednak nauka wykazała, że kosmos jest inny, a Boga też trzeba szukać w innym miejscu. Tak sfera profanum poszerzyła się kosztem sfery sacrum. Wycofaliśmy projekcję metafizyczną z nieboskłonu. Czy podobnie będzie ze zjawiskiem „życia po życiu”, gdy pojawiają się naukowe metody badań takich stanów?

W relacji dr. Alexandra nie tyle opisy zaświatów są wątpliwe, ile wiara w wybraństwo. Został adoptowany, kiedy miał cztery miesiące. Do czasu nawiązania kontaktu z biologiczną rodziną (po śpiączce) pochodził więc od nieznanego ojca, tak jak Mojżesz znaleziony przez księżniczkę egipską w koszyku na Nilu albo Jezus, syn od Ojca, którego nikt nie widział. Przez tydzień, gdy przebywał na oddziale intensywnej terapii, ciągle padał deszcz, a to jest zjawisko nietypowe w listopadzie w Wirginii. Nagle w niedzielę wystąpiła tęcza, odpowiednik Gwiazdy Betlejemskiej, akurat gdy od pewnej grupy modlitewnej przyszła do szpitala wiadomość: „Spodziewajcie się cudu”. Doktor Eben Alexander twierdzi, że jego przypadek jest pierwszy w dziejach medycyny. A więc jest wybrańcem! Jednak czy na pewno? Stan jego ciała ukazują zapisy medyczne, którym można zaufać. Jednak stan jego umysłu oglądającego nieziemskie wizje zna tylko on sam.

Jak ma się koniec do tych rewelacji nasz cyniczny wiek? Albo mamy do czynienia ze stylizacją biblijną dla naiwnej publiczności, albo w neurochirurga wcielił się archetyp Mesjasza. W końcu

■ Dlaczego nie? Byłaby to dobra nowina w sceptycznym guście naszych czasów. Niestety, jest pozbawiona wyraźnych cech chrześcijańskich. Nie ma Chrystusa, Matki Boskiej ani świętych, ale są bliscy i obcy ludzie zmarli. A przede wszystkim jest tu miłujący Bóg osobowy, choć w nieokreślonej postaci światła.

DOŚWIADCZENIE MISTYCZNE

Przeżycie własnej śmierci przypomina doświadczenia mistyczne. Ma się pewność, że doznania są realne, i czuje się obecność czegoś większego od siebie. Na początku często pojawiają się uczucia radości, szczęścia i pokoju. Następuje również wzmocnienie postrzegania i władz umysłowych – tak piszą autorzy tomu „Irreducible Mind. Toward the Psychology for the 21 Century” („Nieredukowalny umysł. W stronę psychologii dla XXI wieku”). Ta księga jest źródłem wiedzy o stanach nadprzyrodzonych ujętej w rygorach nauki empirycznej przez badaczy Virginia University.

Objawienia mistyczne może mieć każdy, nie tylko święty albo mnich. Wdzierają się w człowieka niezależnie od woli. Przekonał się o tym Arthur Koestler, komunista, wróg religii i materialista najbardziej znany z powieści „Ciemność w południe”, napisanej po rozczarowaniu komunizmem. Uwieszony przez faszystów w czasie hiszpańskiej wojny domowej w karcerze podjął strajk głodowy. Wtem coś się z nim stało: „Unosiłem się na grzbiecie w rzece pokoju pod mostem milczenia. Płynęła znikąd donikąd. Nagle nie było rzeki i nie było mnie. Przestałem istnieć”. Był to stan najbardziej realny, jakiego w życiu doświadczył. Opał zasłona i ujrzał ukryty porządek rzeczy, połączenie wszystkiego ze wszystkim, absolutne oczyszczenie.

Sceptyczny Bertrand Russell, matematyk i filozof, powiedział, że z naukowego punktu widzenia nie możemy robić różnicy między człowiekiem, który je mało i widzi niebo, a człowiekiem, który pije dużo i widzi węże. Każdy jest w nienormalnym stanie fizycznym i dlatego ma nienormalne widzenia. Jednak Albert Einstein nie gardził wizjonerami. Sądził, że kosmiczne uczucie religijne jest najsilniejszą i najsłabszą zachętą do badań naukowych. Pobudzanie zaś tego uczucia stanowi najważniejszą funkcję sztuki i nauki.

Doświadczenie mistyczne trwa od kilku sekund do kilku godzin. Nie da się go trafnie opisać. To bardziej stan uczuć niż umysłu. Daje wgląd w głębie niedostępne dla dyskursywnego umysłu. Mistycy są

pewni, że ujrzeni podstawy rzeczywistości, i sądzą, że to poznanie pochodzi spoza normalnej świadomości. Święty Jan od Krzyża twierdził, że skoro wizja mistyczna nie „weszła” przez wyobraźnię i zmysły, to nie może być przez nie przedstawiona. Jednak dusza wie, że ma udział w tej wiedzy.

Są dwa typy wizji. Zewnętrzne, kiedy mistyk dostrzega rzeczywistość przekształconą, i wizje wewnętrzne. W drugim przypadku świat zmysłowy zostaje porzucony i pojawia się czysta, beztreściowa, nieodróżniona świadomość. Mistrz Eckhart miał oba rodzaje wizji. Tę drugą uznaje się za bardziej dojrzałą.

Jak przyporządkować te stany ośmiu etapom medytacji buddyjskiej? Wizje odmiennej rzeczywistości odpowiadają etapowi tzw. fałszywej nirwany, której nie należy ulegać. Sama tylko rozjarzona świadomość odpowiadałaby któremuś z etapów wyższych. Eckhart, chociaż mistrz, nie osiągnął stanu najwyższego, polegającego

Doświadczenie mistyczne trwa od kilku sekund do kilku godzin. To bardziej stan uczuć niż umysłu

na pełnym wygaszeniu świadomości. A co sądzić o św. Pawle „uniesionym w zachwyceniu aż do trzeciego nieba”, gdzie „słyszał niewypowiedziane słowa, których człowiekowi nie godzi się powtarzać”? Czy zatrzymał się na etapie „fałszywej nirwany”?

Paweł nie dorównał buddyjskim mnichom i zapewne nie chciałby tego, gdyby o nich słyszał. Jego rodzimy judaizm, a po nawróceniu chrześcijaństwo stawiają ludziom za cel bycie w świecie, a nie ucieczkę z łańcucha wcieleń przez samowygaszenie, jak zaleca buddyzm. Jednak czy pierwszy mistyk chrześcijaństwa miał realne doświadczenie? Psychiatra R.M. Bucke powiada: – Objawienie mistyczne jest tak samo bezpośrednio doznawane jak obiekt fizyczny, więc jest równie prawdziwe.

Sam w wieku 36 lat miał doznanie trwające kilka sekund. Resztę życia badał „świadomość kosmiczną”, która mu się wtedy ukazała.

Większość naukowców sądzi, że ludzka świadomość składa się z informacji cyfrowych, tak jak program komputero-

wy, i jest wytwarzana przez 10 mld neuronów mózgu. Jednak dr Eben Alexander popiera hipotezę innych uczonych – uznającą, że mózg nie tworzy świadomości. Jest filtrem blokującym świadomość niefizyczną, jaką mamy w niefizycznym świecie. Jego mózg nie działał w śpiączce, tak jak pokazały zapisy rejestratorów w szpitalu. Dlatego nie mógł blokować mu dostępu do świadomości kosmicznej.

Dostęp do wiedzy o zaświatach uniemożliwiłby naszemu mózgowi wybór informacji koniecznych do przeżycia na ziemi. Również zasługa wyboru dobra zamiast zła byłaby żadna. Fizyczny aspekt wszechświata jest tylko pyłkiem wobec aspektu niewidzialnego i duchowego. Wskazują na to czarna materia oraz czarna energia, które stanowią 96 proc. kosmosu. Nauka badać ich nie może, ale je odkryła, gdyż siłą swego przyciągania wpływają na widzialne obiekty. Materia, do której sprowadza rzeczywistość paradygmat oświecenia, stanowi tylko 4 proc. wszechświata. To niewiele do wyciągania wniosku, że „zaświatów” nie ma.

Autorzy wspomnianej „Psychologii dla XXI wieku” twierdzą, że materialistyczne ujęcie „życia po życiu” i doświadczeń mistycznych nie wyjaśniają w pełni tych zjawisk. Jednym z nich ma być wspomnienie porodu. Jednak noworodki nie mają zdolności wzrokowych ani orientacji przestrzennej, aby zapamiętać narodziny. Nie jest to też tylko wytwór wyobraźni według osobistych i kulturowych oczekiwań. Chrześcijanom zdarza się ignorować tezy ich wiary. A może spadek poziomu tlenu i wzrost dwutlenku węgla powoduje halucynacje? Jednak te zmiany występują tylko przy zawałach, a nie we wszystkich przypadkach wizji pośmiertnych. Zresztą większość pacjentów z zawałem nie ma tych doświadczeń. Może to endorfiny, które wytwarza organizm, łagodzące ból, przynoszące ukojenie, powodują te doznania? Nie, bo endorfiny po wstrzyknięciu działają godzinami, wizje zaś ustępują nagle. A oto główny argument przeciw fizjologicznemu wyjaśnieniu: nawet przy bardzo uszkodzonym mózgu zawsze występuje jasność umysłu, żywe wyobrażenia zmysłowe i wrażenie, że doznanie było „bardziej realne niż realne”.

Witajcie w zaświatach.

Autor współprowadzi talk-show o ideach w TVP Kultura pt. „Tanie dranie: Kłopotowski i Moroz komentują świat”.

**POD WĄS**

Aktorskie politykowanie

IGOR ZALEWSKI

Dupa jest do srania, a aktor jest do grania” – taką myśl rzucił niegdyś Kazimierz Dejmek, jeden z najwybitniejszych polskich reżyserów teatralnych. Brzmiało to błyskotliwie, dość zabawnie, ale kluczowy był kontekst tej wypowiedzi. Słyszcy z ciętego języka (u zwykłego człowieka byłby to język wulgarny albo chamski, ale artystów obowiązują – jak wiadomo – inne standardy) Dejmek skomentował w ten lapidarny sposób akcję środowiska aktorskiego w stanie wojennym. Ludzie sceny dość gremialnie bojkotowali wówczas komunistyczną telewizję. Ci, którzy w niej występowali, byli często karani przez publiczność wyklaskiwaniem podczas przedstawień teatralnych.

Sentencja Dejmka traktowała aktorów w sposób skrajnie instrumentalny. I odbierała im prawo do bycia obywatelami, patriotami i po prostu uczciwymi człowiekami. Dlatego trudno się nią zachwycać. Szczepie mówiąc, była dość obrzydliwa.

Nie zmienia to faktu, że ja sam nie cierpię, kiedy aktorzy wypowiadają się na tematy polityczne. Niezależnie od tego, czy wydobyczą z siebie szlachetne zawołania patriotyczno-prawicowe, czy wręcz przeciwnie – plotą o faszyzmie, który skuł brunatnymi okowami naszą umęczoną ojczyznę. Stygmatyzując się politycznie, aktorzy wyrządzają sobie krzywdę. Chcąc nie chcąc, stwarzają pozaartystyczny kontekst dla postaci, które będą kreować.

Trudno je potem oderwać od zaangażowanych deklaracji kreujących je postaci.

Jest jednak jeszcze jeden, istotniejszy, powód, dla którego aktorzy powinni ograniczać swe pozaartystyczne gulgotania. Otóż, mówiąc między nami, ludzie, którzy występują w telewizji i którym inni ludzie piszą teksty, rzadko kiedy mają coś mądrego do powiedzenia. Oczywiście wszelkie uogólnienia są krzywdzące, ale trudno – w tym przypadku skrzywdzę te 2–3 proc. aktorów, z którymi można pogadać o Heideggerze. Pozostali, cóż... Zostali bardzo ładnie sportretowani w kukielkowym filmie pt. „Team America”, który zrobili goście od „South Park”. W dziele tym gwiazdorzy hollywoodzcy uznali, że występowanie w filmach to za mało, że mają obowiązek oświecać maluczkich, co jest dobre, co złe i jak powinien wyglądać świat. Świetnie ujęła to Susan Sarandon, a raczej jej kukielka: „Jako aktorzy mamy obowiązek czytać gazety i przedstawiać zawarte w nich poglądy jako własne”. Być może właśnie dlatego trudno doszukać się w aktorskich analizach rzeczywistości czegoś odkrywczego i niebanalnego.

Jednak aktorskie politykowanie ma – trzeba przyznać – jedną zaletę. Aktorzy mają tę cudowną cechę, że napędzają wyborców ludziom, których zwalczają. Ostatnio przekonał się o tym Donald Trump. Ludzie po prostu nie chcą być pouczeni przez komedianów. Owszem, może ludzie są głupi, ale nie aż tak. ©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Wypisy z wczoraj

Wodróżnieniu np. od Waldemara Łysiaka nie znoszę cytowania samego siebie, pozostawiając to niewdzięczne zadanie potomnym. Trudno jednak podsumowując rok, nie sięgnąć do tego, co pisało się 12 miesięcy temu.

Pisałem więc: „Żałosne są nawoływania tzw. obrońców demokracji do przeniesienia dyskusji na ulice. Ulica jest najgorszym możliwym miejscem starcia dla »pieszczochów salonu«. Nie znam przypadku, żeby (bez udziału sił zbrojnych) udało

konsumowaniem łupów, znacznie się układać z poprzednikami lub – wobec potężnego oporu – ustępować. „Prezes jednak wołał zastosować metodę Cortésa – spalić okręty i poprowadzić drużynę na macecznik wroga”.

Co zatem przewiduję dalej, zadowolony, że przewidziałem falę porażek poprawności politycznej w skali globalnej (licząc po cichu na Brexit i wygraną Trumpa jako bunt mas przeciw elitom). Nadal, jeśli chodzi o sprawy krajowe, jestem optymistą. Prorokuję więc postępującą erozję opozycji i właśnie o jej przywództwo. Liczę na wzrost dzietności jako efekt „500+” i falę powrotów rodaków z niespokojnego świata w polskie zacisze. Wierzę w aktywność prokuratury i sądów w rozliczaniu afer oraz gotowość parlamentarzystów do odbierania immunitetów umocnionym kolegom.

Będzie kilka idiotycznych posunięć większości parlamentarnej, które w porę wyhamuje prezes. Pojawia się coraz głębsze i bardziej jałowe działania przeciwników, którzy są coraz bardziej marginalizowani. Podejrzewam też aktywizację opozycji z prawa z realną alternatywą narodowców i młodzieży żadnej dalej idących zmian, którym dziś patronują Kukiz i Korwin-Mikke.

Do tego przeczuwam wielki ozdrowieńczy ruch na całym świecie, który zapoczątkuje totalny odwrót głupoty i beznadziei.

Co daj, Boże! ©

Przeczuwam wielki ozdrowieńczy ruch na całym świecie

się tam wygrać sytem z głodnymi. Tajemnicą pozostaje, dlaczego »mądrzy wykształceni, z wielkich ośrodków« wybrali metodę totalnej klęski na własne życzenie, graniczącą z przyspieszonym samobójstwem”.

Ito się sprawdza – na odcinku mediów, prokuratury, rozliczania afer postępowidoczny jest na każdym kroku. Bój o Trybunał został rozstrzygnięty, donosy do Europy niewiele dały. A jakie były rachuby? Na co liczono? „Że Unia wyśle czołgi, żeby »znormalizować« Priwiślinię? Albo że wyda list gończy za Kaczyńskim?”.

Przeliczono się też, sądząc, że „opozycja totalna” przestraszy PiS, że partia zwycięzców ugrzęźnie w taborach zajęta

Ukraińska pułapka



FOT. WOLFECH NIEDZIELKO, ILLUSTRACJA: JACEK NADAROWSKI/AMIDAS



Tomasz Kwaśnicki

Pomysł na wpuszczenie do Polski milionów Ukraińców tylko głębiej wepchnie nas w problemy demograficzne i utrzyma pułapkę niskiego dochodu. Forsują go zatem głównie kuglarze, którym zależy na taniej sile roboczej

Swego czasu bracia Bocheńscy, beatyfikowany przez współczesnych Adolf wraz z ekskomunikowanym Aleksandrem, wydali książeczkę zatytułowaną „Tendencje samobójcze narodu polskiego”. Broszura ta wybitną analizą nie była, jednak obrazoburczy i chwytliwy tytuł zdawał się niepokojąco trafnie opisywać nadwiślańską rzeczywistość. Supozycja, że za nierzadko katastrofalny stan spraw publicznych w Polsce odpowiada zakorzeniona gdzieś w narodowej podświadomości chęć samounicestwienia, wydawała się albo niezwykle adekwatną,

choć paradoksalną diagnozą, albo równie celnym szyderstwem.

Tymczasem rzeczywistość dostarcza wciąż coraz to nowych i coraz bardziej przekonujących przesłanek wzmacniających śmiałą teorię braci Bocheńskich. Pominę tu po wielokroć analizowane przez biegłych specjalistów pragnienie bycia żywą tarczą w do niedawna stale zaostrzającym się konflikcie pewnego zamorskiego imperium z innym obcym mocarstwem, z którym, tak się akurat składa, sąsiadujemy. Wobec przygotowywanego zbliżenia Moskwy i Waszyngtonu Polska może co

najwyżej radykalnie osłabić swój i tak już nieznaczny status na arenie międzynarodowej, stając się przedmiotem amerykańsko-rosyjskiego dealu, ale do zupełnej degradacji państwowości, wbrew wysiłkom rządzących, najprawdopodobniej nie dojdzie.

Na tę ewentualność rząd Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego przygotował jednak plan B. Co prawda nieustanny wpływ krwi, jakim jest utrata przeszło 2 mln obywateli w ciągu zaledwie kilkunastu lat od wstąpienia do Unii Europejskiej, niewprawnemu oku może wydać się wystarczająco zabójczy, ale zdaniem PiS ten krwotok mógłby być jeszcze o wiele większy.

ZRÓBMY SOBIE PROBLEM

Aby to udowodnić, rząd zamierza sprowadzić do kraju kilka milionów Ukraińców – zgodnie z propozycjami Związku Pracodawców i Przedsiębiorców (popieranymi przez wielu przedstawicieli rządu) mają to

być 4 mln najdalej do 2050 r. Łącznie z milionem, który już u nas przebywa, da nam to pięćmilionową mniejszość etniczną. To aż o milion więcej niż liczba Ukraińców mieszkających w Polsce w przededniu II wojny światowej. W 35-milionowej II RP, według spisu powszechnego z 1931 r., żyło 3,9 mln Ukraińców, co stanowiło ok. 14 proc. populacji kraju.

A to przecież właśnie monoetniczność, jak nas niejednokrotnie przekonywano, była najważniejszym z dobrodziejstw, jakie spłynęły na naród polski wraz z utratą kresów. Najwyraźniej rządzący doszli do wniosku, że choć Wilna i Lwowa dziś jeszcze nie odzyskamy, to na razie restytuujemy sobie monstrualne problemy z mniejszościami.

Orteżewienia znikąd nie widać. Gdyby nawet mogło nastąpić, utrudnia je to, że do lobbowania w sprawie masowego sprowadzania Ukraińców zabrała się u nas „konkretna ekipa” napędzana hipnotyzującą wizją stałego dopływu taniej siły roboczej. To właśnie ci zasiedlający dziś redakcje ogólnopolskich mediów intelektualni akrobaci, cyrkowcy i kuglarze roztaczają przed szerokimi kołami wizję przyszłego dobrostanu, w którym Ukraińcy będą siedzieć na kasie, sprzątać w hotelach lub pracować na budowie, a więc „wykonywać prace, których Polacy wykonywać nie chcą”, podczas gdy sami Polacy będą pobierać kolosalne honoraria, zajmując stanowiska ich poganiaczy, ekonomów i karbowych. Tak będzie – przekonują cyrkowcy – nie dajcie sobie tego wydrzeć. Tymczasem jeśli w ciągu krótkiej historii III RP istniał kiedykolwiek jakiś dobry powód do wychodzenia na ulicę i „podpalania kraju”, to jest nim właśnie idea osiedlenia w Polsce 5 mln Ukraińców. Z punktu widzenia naszych najbardziej elementarnych interesów ten postulat byłby wystarczającą przesłanką dla puszczania z dymem KPRM nawet wówczas, gdyby miał jakiegokolwiek ekonomiczne uzasadnienie. O ileż bardziej jest nim dzisiaj, skoro ta perwersyjna fantazja nie tylko nie przełoży się na dobrobyt Polaków, lecz także definitywnie uniemożliwi im wydzwignięcie się z ubóstwa, nie wspominając o jakiegokolwiek perspektywie dogonienia krajów Europy Zachodniej.

Jedną z pięciu pułapek, w które zdaniem wicepremiera Morawieckiego wpadł rozwój naszego kraju, jest tzw. pułapka niskiego dochodu, kolejną jest pułapka demograficzna, natomiast lansowany przez tego samego Morawieckiego pomysł sprowadzenia do Polski milionów Ukraińców

za jednym zamachem zaciska nam na szyi pętlę obu tych sidła – jednocześnie bowiem wypycha z kraju kolejne masy Polaków i zamraża pensje tym, którzy jeszcze pozostali.

PĘTLA NISKIEGO DOCHODU

Rzecz jasna cyrkowcy i kuglarze są w stanie podważać nawet najbardziej elementarne prawa ekonomii, udowadniając, że zwiększona podaż na rynku pracy nie skutkuje zmniejszeniem się na nią popytu, a w konsekwencji zahamowaniem lub co najmniej drastycznym spowolnieniem wzrostu wynagrodzeń. Co uczciwsi z nich z rozbrajającą szczerością przyznają zresztą, że ze względu na presję płacową „na stanowiskach nisko płatnych” pensje w Polsce nie będą rosły. Innymi słowy, Polacy powinni przywyknąć do tego, że duńska sprzątaczką zarabia i zawsze będzie zarabiać wielokrotność wynagrodzenia polskiej sprzątaczkii. Tak jest dobrze.

Wskazuje się również często na kraje Europy Zachodniej, które rzekomo niesamowicie wzbogaciły się dzięki pracującym u nich Polakom. Zapomina się przy tym, że mowa tu o państwach takich jak Wielka Brytania, która od niepamiętnych czasów jest jednym z kilku najbogatszych krajów na świecie – w dodatku liczącym 64 mln mieszkańców, w którym przebywa dziś nie więcej niż milion Polaków, a mimo to już zaczynają być oni ofiarami ataków ze strony brytyjskiego społeczeństwa, nie wspominając o długo wyczekiwanym wysiłkach brytyjskiego rządu zmierzających do jak najskuteczniejszego ograniczenia imigracji. Tak właśnie przejawia się u Brytyjczyków, opisywany przez ich sławnego rodaka, zmysł samozachowawczy. Im gnuśniejsze elity, im bardziej głuche pozostają na potrzeby własnego narodu, kierując się wyłącznie doraźnym interesem warstw najbardziej uprzywilejowanych, tym brzydsze i gwałtowniejsze ów zmysł przybiera formy.

CZEKAJĄ NA WYBUCH

Jeśli w Polakach tli się jeszcze jakaś resztką tego samego instynktu, to dojdzie i u nas do scen równie szpetnych jak te, których świadkami byliśmy na Wyspach. Jeśli elity rządzące nie tylko nie zamierzają powstrzymywać zalewającego nas strumienia ukraińskiej imigracji, lecz także jedyną ich troską pozostaje jego zwiększenie, to trudno wyobrazić sobie, by ta bezradna wściekłość nie przybrała w końcu bardziej brutalnych form. Wiemy też niestety doskonale, co nastąpi potem,

kogo obarczy się winą za to, co w obecnej sytuacji wydaje się nieuniknione – będzie to z jednej strony Władimir Putin, z drugiej zaś ci Polacy, którzy protestowali głośno przeciwko zmianie stosunków narodowościowych w naszym kraju.

Sytuacja przedstawiałaby się zresztą niewiele lepiej nawet wówczas, gdyby istniał choć cień szansy na asymilację Ukraińców. Tymczasem, wbrew wyobrażeniom rządzących, jest to nie tylko niezwykle skomplikowane i niemal niewykonalne zadanie, lecz także, tak jak do tej pory, nikt w rządzie ani słowem nie zająknął się na temat jakiegokolwiek programu asymilacyjnego. Wiceminister Bartosz Marczuk z Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, zagadnięty przez dziennikarza programu „Warto rozmawiać”, oświadczył za to wprost, że w najbliższym czasie władze planują przyznać Ukraińcom ok. pół miliona świadczeń z programu „500+”. Mimo że kuriozalna i skandaliczna, była to jedyna znana mi wypowiedź przedstawiciela polskiego rządu na temat polityki, jaką zamierza on prowadzić względem ukraińskich imigrantów.

Poza tym „asymilacja” sprowadza się do otwierania w polskich podstawówkach klas z ukraińskim językiem nauczania (gdzie uczy się także „ukraińskiej historii i tradycji”), przyjmowania Ukraińców za darmo, bez egzaminów wstępnych na wiele państwowych wyższych uczelni w kraju, dotowania ich nawet trzykrotnością funduszy przeznaczanych na polskiego studenta oraz do zakładania przez OPZZ specjalnego związku zawodowego zrzeszającego wyłącznie Ukraińców i zajmującego się ochroną praw pracowniczych wyłącznie tej grupy narodowościowej.

Jest oczywiste, że planując osiedlić w Polsce miliony Ukraińców, władze zamierzają im przyznać, obok świadczeń socjalnych, również prawa obywatelskie. Nawet jeśli nie zdecydowałyby się na ten krok wobec pierwszego pokolenia imigrantów, to i tak siłą rzeczy prawa te nabydnie „pokolenie 500+”. Warto się zastanowić, jak wówczas wyglądać będzie polityka Polski względem wschodniego sąsiada. Skoro już dziś klasa polityczna i spora część elektoratu nie są w stanie odróżnić narodowych interesów Polski i Ukrainy, to nie spodziewajmy się, że sytuacja ulegnie poprawie, gdy polscy politycy zaczną zabiegać o popularność wśród wielomilionowego ukraińskiego elektoratu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem portalu Kresy.pl.



Piotr Semka

To była epoka wspaniałości władzy. „Spektakularne II Cesarstwo” – taki tytuł nosi wielka wystawa w Paryżu na temat epoki Napoleona III. Istniało tylko 18 lat (1852–1870), ale pozostawiło po sobie legendę wyjątkowego splendoru i elegancji

Jest paradoksem, że we Francji XIX w. to nie prawowita wielowiekowa dynastia Burbonów, ale rządy Napoleona III – „nuworysza na tronie” – wykreowały najdoskonalsze teatrum władzy. Wystawa w Musée d'Orsay pozwala zrozumieć, jak sprytnie Napoleon III budował ogromną popularność swej władzy w kraju i za granicą. A także to, że jego epoka była zwiastunem dzisiejszej kultury konsumpcji i rozrywki.

Przybysz z Polski nieznający niuansów polityki historycznej Republiki Francuskiej ze zdziwieniem przyjął informację, że to pierwsza duża wystawa o epoce Napoleona III. Skąd to wcześniejsze tabu? No cóż, II Cesarstwo miało pecha być obiektem niechęci i zjadłych krytyk zarówno z lewa, jak i z prawa. Republikańscy antyklerykałowie sypali gromy na „świętoszkowaty reżim”, w którym państwo wspierało Kościół katolicki, a sam cesarz był protektorem państwa papieskiego. Lewica z kolei nie cierpiała Napoleona III za zdradę jego demokratycznych idei z okresu młodości i ludowe referenda, w których widziała manipulowanie milionami prostych Francuzów. Cesarz miał dodatkowego pecha – trafił na wyjątkowo utalentowanych literatów wrogów, na czele z Wiktorem Hugo i Emilem Zolą, którzy stworzyli ciemny wizerunek tamtej epoki. Do złej sławy cesarstwa przyczyniła się też klęska w wojnie Francji z Prusami w 1870 r. Tak na lewicy, jak na prawicy uznano ją za słuszną karę za wcześniejszą epokę pogoni za przyjemnością i bogactwem.

Nawet Musée d'Orsay, mimo że wystawą czci swoje 30-lecie, skupiło się głównie na imponującym decorum władzy II Cesarstwa, a nie na wszechstronnej ocenie tamtej epoki.

To, co zebrano, robi jednak wrażenie. Obrazy, rzeźby, plakaty i szkice, ocalałe



Napoleon III był mistrzem „soft power” FOT. WIKIPEDIA

Był bal

mimo wielu dekad pozbywania się „pompierystycznego śmiecia”, dziś zyskują na bliższym poznaniu, 146 lat po upadku II Cesarstwa.

OBYWATEL CESARZ

Karol Ludwik Napoleon Bonaparte (1808–1873) – bo tak nazywał się przed objęciem cesarskiego tronu bohater paryskiej wystawy – był synem Ludwika Bonaparte, brata „Boga Wojny”, krótkotrwałego króla Holandii. Formalnie, bo powszechnie wątpiono w jego ojcostwo, zważywszy na dość swobodne obyczaje matki Hortense de Beauharnais. Po Waterloo i restytucji Burbonów mały Karol Ludwik został wygnany z ojczyzny tak jak wszyscy inni członkowie rodziny „uzurpatora”. Ambitny bratanek cesarza najpierw jednak zdobył wykształcenie w Niemczech i skończył kurs oficerski w Szwajcarii, a potem zaczął czynnie działać na rzecz restytucji władzy Bonapartów nad Francją. Dwa razy próbował zbrojnego zamachu stanu – najpierw w 1836 r. usiłując zająć twierdzę Strasburg, a drugi raz lądując z desantem bonapartystów-emigrantów w Boulogne w 1840 r. W obu przypadkach udało mu się uniknąć odpowiedzialności – raz uzyskując zgodę króla Ludwika Filipa na emigrację, a drugi raz uciekając z więzienia.

Ostatni Burbon na tronie, lekceważąc Karola Ludwika, nie wyczuł emocji epoki. Bratanek Napoleona I zrozumiał, że Francuzi marzą o wielkości. W swojej książce z 1839 r. „Napoleońskie idee” stworzył zgrabny koktajl poglądów, które mogły podobać się zarówno lewicy, gdy bronił praw ludu, jak i bonapartystom, np. hasła oswobodzenia narodów przez Francję. Jego czas przyszedł w 1848 r. Po obaleniu Burbonów został wybrany na prezydenta II Republiki Francuskiej, trzy lata później dokonał zamachu stanu i wreszcie, w 1852 r., wskrzesił Cesarstwo, a wszystko z dbałością o dokonywane w referendum ludowych zatwierdzanie kolejnych politycznych faktów.

Aby sprostać legendzie I Cesarstwa, bratanek „Korsykanina” musiał sięgnąć po legendę wspaniałości rządów swego stryja. I trzeba przyznać, że Napoleon III był najlepszym PR-owcem na tronie w ówczesnej Europie.

Autorzy wystawy w Musée d’Orsay wskazują: „Cesarz ekscytował całą Europę przywracaniem chwały Wersalu, pompą uroczystości dworskich, wystawami światowymi i zręcznością w bu-

dowaniu poparcia ludu dla swej władzy poprzez np. liczne święta dla mas”.

Burżuazja, która miała ochotę na demonstrowanie swego niedawno zdobytego bogactwa, zaakceptowała efektowny styl II Cesarstwa. I znów oddajmy głos autorom wystawy: „Paryskie życie z tamtej epoki czerpało swój czar z salonów artystycznych, wielkich balów organizowanych przez dwór i efektownych premier w teatrach i operze. Pisarz Gustave Flaubert pisał wówczas z zachwytem: »Bez żadnej blagi, to jest wspaniałe. Paryż wraca do wielkości. Wszystko staje się szalone i nieumiarkowane«”.

Widz, który przemierza sale Musée d’Orsay, może poczuć echa tamtego rauszu zakłęte w ekspozycjach z epoki. Może np. odkryć, że kult jednostki nie był bynajmniej wynalazkiem Stalina. Cesarstwo zasypało Francję gigantyczną liczbą portretów cesarza i jego żony Eugonii, popiersi władcy, waz, pucharów i płaskorzeźb z jego profilem. Są też wizerunki z wyraznym propagandowym przesłaniem. Oto obraz Williama Bouguereau z 1856 r. przedstawiający Napoleona III rozdającego zapomogi i pocieszającego powodzian w zalanym przez rzekę Rodan mieście Tarascon w Prowansji. I pod tym względem cesarz był prekursorem. W podobnym stylu dziś fotografują się z ofiarami klęsk żywiołowych wszyscy premierzy zachodniego świata.

Aparatowi propagandy II Cesarstwa sprzyjało umasowienie produkcji wizualnej – drukowane w dużych liczbach grawiury, a potem fotografie z najważniejszych uroczystości dworskich: ślubu cesarskiej pary, chrztu następcy tronu, fet z okazji zwycięskich bitew i jubileuszy bonapartystycznych z uroczystości obchodzonym Dniem św. Napoleona na czele.

Cesarz przykładając ogromną wagę do pielęgnowania splendoru, ustanowił nawet funkcję Wielkiego Mistrza Ceremonii, którego projekty fet opłacało specjalnie stworzone Ministerstwo Domu Cesarskiego.

Dbano też o chwytające serce legendy – w 1853 r.

Napoleon postarał się o to, by w lud poszła opowieść o tym, jak odrzucił on powodowany politycznymi rachubami ślub na rzecz romantycznej miłości do ślicznej Eugonii de Montijo.

Do dbania o cesarski design zatrudniano najlepszych speców. Eugène Viollet-le-Duc – znany potem z mistrzowskiej rekonstrukcji zdemolowanej w rewolucji katedry Notre Dame – projektował wystrój wnętrz podczas imprez cesarskich, a podczas ślubu z Eugenią wykorzystano karocę na osiem koni z epoki Napoleona I.

Wskrzeszono też stare królewskie tradycje. Gdy narodził się mały Ludwik, następca tronu – Prince Imperial – miasto Paryż ufundowało kolejnemu „orlątku” kapiącą złotem empirową kołyskę, którą można podziwiać na paryskiej wystawie.

STOLICA ŚWIATA

Napoleon przez większą część swoich rządów miał szczęście do udanych sojuszy. Po początkowych lękach, że nowy Napoleon na tronie wskrzesi antyangielskie fobie, bratanka przegranego pod Waterloo bardzo polubiła królowa Wiktoria, która odwiedziła Paryż w sierpniu 1855 r.

Władczyni Albionu dała przykład masie europejskich królów i władców, którzy wizyty nad Sekwaną uznawali za punkt honoru. Para cesarska

szykowała dla nich bale, rauty, iluminacje, fajerwerki i parady, doskonale rozumiejąc wagę tego, co dziś nazywamy „soft power”.

Jak piszą twórcy wystawy: „Napoleon wykazywał niezwykłą pomysłowość we wciąganiu zwykłych Francuzów do wielkich fet, których celem było demonstrowanie ostentacyjnej wspaniałości i siły cesarstwa w formie masowych, widowiskowych spektakli”.

W 1859 r. z okazji Dnia św. Napoleona defilowały w Paryżu oddziały wojsk wracające wprost ze zwycięskiej wojny z Austrią, a 100 tys. paryżan szalało z radości. W listopadzie 1869 r.



Na wystawie o II Cesarstwie kapie od złota. Oto korona cesarzowej Eugonii i kołyska następcy tronu, małego Loulou
FOT. MAT. PRASOWE



William Bouguereau „Napoleon wśród powodźian w Tarascon”, 1856 r. FOT. WIKIPEDIA

■ cesarzowa Eugenia otwierała w Egipcie Kanał Sueski, a fetę uświetniała prapremiera „Aidy” Giuseppego Verdiego.

Namiętnością Napoleona III były liczne wspaniałe rezydencje. Tuż po ustanowieniu cesarstwa opuścił on „republikański” Pałac Elizejski i przeniósł się do Tuileries – dawnego pałacu Burbonów. Odnowił też Luwr, ale nie zapomniał, by w części pałacu stworzyć słynne do dziś muzeum sztuki dostępne dla szerokiej publiczności.

Napoleon odnowił też Wersal, a Eugenię zafascynowała postać Marii Antoniny, ściętej w czasie rewolucji żony Ludwika XVI. Cesarzowa organizowała bale w stylu nieszczęśliwej królowej, uwielbiała meble z jej epoki i kazała się sportretować w stroju „Austriacki”. Jak czas pokazał, było to kuszenie losu.

Poza tą historyczną maskaradą Paryż tętnił nowoczesnością. Baron Georges Haussmann wyburzał stare dzielnice, wytyczając wielkie bulwary. Architekt Charles Garnier wznosił arcydzieło „pompieryzmu” – gmach opery. Członkowie rodziny cesarskiej budowali sobie wyrafinowane wille i pałacyki.

Ostentacji towarzyszył postęp techniczny. Pałacyk cesarski w Biarritz powstał z żelbetonu, choć wnętrza zagracone były w eklektycznym stylu. Cesarstwo miało z czego finansować te zachcianki.

Wprowadzane do przemysłu nowoczesne techniki masowej produkcji pozwalały francuskiej technice skutecznie rywalizować z Anglikami i zalewać swoimi towarami świat. To okres szybkich podbojów kolonialnych, gdy Francja zajmowała wiele części Afryki i Azji, np. podbijając Wietnam i Kambodżę. Wspomniane już

dwie wielkie wystawy światowe w Paryżu w latach 1855 i 1867 były kapitalną promocją francuskich towarów przemysłowych oraz luksusowych. To, co francuskie, znaczyło szykowne i wytworne. Elegantki z Petersburga, Nowego Jorku i Buenos Aires odwiedzały paryskie domy mody i salony perfum, a ich mężowie po cichu nadsekwańskie lupanary.

Sam Napoleon III był jednak daleki od sankcjonowania libertynizmu w życiu publicznym. Cesarstwo pomagało finansowo w odbudowie setek kościołów zniszczonych w rewolucji i hojnie opłacało budowę nowych świątyń – katedry w Marsylii, paryskiej bazyliki św. Klotyldy

Namiętnością Napoleona III były wspaniałe rezydencje.

Przeniósł się do Tuileries, odnowił Luwr i Wersal, dla cesarzowej wybudował pałacyk kąpielowy w Biarritz

i kościołów św. Trójcy i św. Augustyna. Imponujące wrażenie robi pokazane na wystawie arcydzieło Eugène’a Viollet-le-Duca – drogocenny relikwiarz dla korony cierniowej.

A w tle tej epoki narastała rewolucja w malarstwie. Nowe nurty wyznaczała szkoła z Barbizon, a skandal wywoływały dzieła z Salonu Odrzuconych w 1863 r. To wtedy objawiły się talenty i niepowtarzalne style Édouarda Maneta, Edgara Degasa, Gu-

stave’a Courbета i Claude’a Moneta, których płótna zgromadzono na wystawie. W Paryżu swe opery wystawiał Richard Wagner, a Jacques Offenbach zdobył popularność jako mistrz operetki. Nikt nie przeczuwał, jak kruchy jest ten mikrokosmos nieustannej zabawy i przyjemności.

PŁONĄCE TUILERIES

Cały ten świat runął z chwilą klęsk cesarstwa w wojnie z Prusami w 1870 r. Wraz z szokiem porażki II Cesarstwo zostało ubrane w kostium grzesznego Babilonu.

Przywódcy Komuny Paryskiej najpierw otworzyli pałac, aby masy zobaczyły na własne oczy, w jakim zbytku żyła para cesarska, a potem podpaliły go w ramach spektaklu „sprawiedliwości ludowej”. Republika Louisa Thiersa dokończyła dzieła zniszczenia, rozbierając wypalony korpus pałacu. Sam Napoleon III, po krótkiej niewoli u Prusaków, znalazł schronienie w Anglii, gdzie zmarł w 1873 r. Jego syn Eugeniusz Ludwik, zwany Loulou, stał się nadzieją bonapartystów, wśród których był też nasz pocziwy Ignacy Rzecki z „Lalki”. Za zgodą królowej Wiktorii Prince Imperial szkolił się w brytyjskiej szkole wojskowej i w ramach praktyki oficerskiej został wysłany na wyprawę wojenną do Afryki Południowej, gdzie zginął w 1879 r. w walce z Zulusami. Śmierć Napoleona IV, jak nazywali go zwolennicy, zakończyła polityczną karierę bonapartyzmu we Francji.

Cesarzowa Eugenia żyła najdłużej, także korzystając z gościnnej kurateli Wiktorii. Pod koniec życia na swoją stałą siedzibę wybrała Hiszpanię. Ogromne uznanie Francuzów zdobyła, ofiarowując hojne sumy na odbudowę katedry w Reims zbombardowanej przez Niemców w I wojnie światowej. Zmarła w 1920 r. w Madrycie otoczona powszechnym szacunkiem.

Gdy ogląda się wystawę pełną eksponatów z epoki II Cesarstwa, trudno nie zadumać się nad tym, jak ogromne skarby zachowała Francja, której nie spotykały polskie kataklizmy dziejowe. I nietrudno zakochać się w bombastycznym stylu drugiej połowy XIX w. Gdyby Napoleon nie uległ podszeptom generałów wieszczących łatwą i szybką wygraną nad Prusami, być może cesarstwo przetrwałoby przynajmniej do I wojny światowej. Nie przetrwałoby. Był bal – jak pisał Stanisław Mackiewicz. I był on jakże piękny!

Wystawa „Spektakularne II Cesarstwo” potrwa w Musée d’Orsay w Paryżu do 15 stycznia 2017 r. Szczegóły na: www.musee-orsay.fr.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Grabarz Rosji

U niego były jakby dwie dusze: jedna szefa rządu i patrioty, druga dusza idealisty i socjalisty. Pierwsza dusza popychała go do racjonalnych rozwiązań. Kiedy górę brała druga, popadał w beczynność i doprowadzał do tego, że jego rozkazy stawały się martwą literą. Marzył o uratowaniu rewolucji i ojczyzny, a utracił jedno i drugie.

Te niezwykle trafne słowa otwierają książkę prof. Andrzeja Andrusiewicza poświęconą jednej z najbardziej niedocenionych i zapomnianych postaci XX-wiecznej Europy. Mowa o Aleksandrze Fiodorowiczu Kierenskim, szefie rządu tymczasowego, który przejął władzę w Rosji w wyniku rewolucji lutowej. To właśnie Kierenski utorował drogę do koszmaru, jakim była rewolucja bolszewicka. Zdemolował państwo: jego administrację i armię. A kiedy pojawił się człowiek, który mógł uratować sytuację – gen. Korniłow – Kierenski pozbył się go za pomocą niegodnej intrygi.

Czytając znakomitą książkę prof. Andrzeja Andrusiewicza, nie trudno się zadumać nad losem tego nieszczęsnego człowieka. Nad jego ojczyzną zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo, a Kierenski pogrążył się w chaosie awantur, partyjnych konfliktów i plotek. Przerażony widmem „triumfu reakcji” pogrążył państwo w bagnie rewolucji. Chciał być potężnym przywódcą, twórcą „nowej, demokratycznej Rosji”, a był jej grabarzem. Człowiekiem bezradnym, któremu sytuacja całkowicie wyślizgnęła się z rąk.

Profesor Andrzej Andrusiewicz książką o Kierenskim potwierdził, że jest jednym z największych polskich znawców Rosji, ale również jednym z naszych najlepszych biografów. Wcześniej spod jego pióra wyszły choćby ciekawa książka o Piotrze Wielkim i rewelacyjna opowieść o Aleksandrze I.

„Kierenski. Czerwony liberał” to barwna – oparta na imponującej bazie źródłowej – opowieść o fascynującym człowieku. O jego wadach i zaletach, wznosach i upadkach. Niezwykle interesujące są wątki polskie oraz... masonskie. Te ostatnie sprawiają, że książka momentami jest mocno niepoprawna politycznie. © ©



★★★★★
ANDRZEJ
ANDRUSIEWICZ
„KIERENSKI.
CZERWONY
LIBERAŁ”
BELLONA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Losy gwiazd jednego serialu

W czasach PRL powstało wiele udanych produkcji telewizyjnych dla młodzieży, a jedną z najpopularniejszych był serial „Stawiam na Tolka Banana”. Niestety, dla występujących w nim aktorów los nie był łaskawy. Jako pierwszy, w wieku zaledwie 25 lat, odszedł odtwórca roli tytułowego

Wśród żywych nie ma też już Sergiusza Lacha, niezapomnianego Filipka, specjalisty od handlu chomikami syryjskimi. Był działaczem Solidarności, osiadł w Sztokholmie, gdzie zajął się profesjonalnie fotografią. Chociaż ożenił się ze Szwedką, jego córka pięknie mówi po polsku. Zmarł w listopadzie 2015 r.

Z kraju wyjechała także Karioka (Agata Siecińska). Zamieszkała w Paryżu, gdzie dokończyła rozpoczętą w Polsce studia plastyczne. Należy do grupy artystycznej Violent Femmes, nad Sekwaną wyszła za mąż, ma dwoje dzieci.

W dziwny sposób ułożyło się życie Henryka Gołębiewskiego. Filmowy Cegiełka zagrał jeszcze w kilku filmach, po czym został powołany do służby wojskowej. Na długo zniknął ze świata filmu, aby powrócić po 20 latach, gdy dostał drobną rolę w serialu „Boża podszewka”. Od tamtej pory zagrał epizody w kilkunastu filmach, zdarzyła mu się też tytułowa rola w filmie „Edi”, ciepło przyjętym przez widzów.

Najrozsądniej pokierował swoim życiem serialowy Julek (Filip Łobodziński). Ukończył iberystykę na UW, był członkiem kultowego w środowiskach studenckich Zespołu Reprezentacyjnego, obecnie jest dziennikarzem, autorem tekstów i cenionym tłumaczem. Niestety, niedawno przeżył osobistą tragedię, gdy po długiej chorobie zmarła jego 21-letnia córka. Jak widać, nie wszystkim bohaterom serialu zdobyta popularność przyniosła szczęście zawodowe i osobiste... © ©

Najrozsądniej pokierował swoim życiem serialowy Julek

bohatera, Jacek Zejdlar. Jako jedyny z grona bohaterów filmu zajął się profesjonalnie aktorstwem, grał na scenie Teatru im. S. Jaracza w Łodzi, następnie przeszedł do opolskiego Teatru im. J. Kochanowskiego. Z powodu działalności opozycyjnej miał jednak problemy zawodowe, a jego krótkie życie dobiegło kresu w sylwestrową noc 1979 r. Zatrut się wówczas śmiertelnie gazem, prawdopodobnie było to samobójstwo.

Skomplikowane losy stały się udziałem Andrzeja Kowalewicz, który na planie serialu wcielił się w rolę Cygana. Nie ukończył studiów muzykologicznych, w zamian za to przez kilka lat wędrował po Indiach, które zawsze go fascynowały. Następnie prowadził firmę handlową, ożenił się dopiero po ukończeniu 50. roku życia. Doczekał się syna, niestety w październiku 2012 r. zginął w wypadku samochodowym.



Jacek Przybylski

Donald Trump nominował do swego gabinetu rekordową liczbę miliarderów, milionerów oraz wojskowych

Porannek 20 stycznia. Dziesięć tygodni po wygranych przez republikanów wyborach prezydenckich prezydent Barack Obama ostatni raz przywita dzień w Białym Domu. Wieczorem w swojej nowej prestiżowej nieruchomości zaśnie po raz pierwszy Donald Trump. Następnego dnia miliarder i świeżo upieczony polityk przejdzie z części mieszkalnej do zachodniego skrzydła Białego Domu i oficjalnie zacznie wykonywać codzienne obowiązki 45. prezydenta Stanów Zjednoczonych. Czekać na niego będą członkowie jego gabinetu. Najbogatsi członkowie gabinetu w historii USA. Donald Trump, który podczas kampanii przedwyborczej obiecywał „osuszać bagno”, jako prezydent elekt wręczył bowiem nominacje rekordowej liczbie miliarderów, milionerów i generałów. Fortuny członków gabinetu nowego przywódcy USA amerykańskie media szacują łącznie na kilkanaście mld dol.

Z punktu widzenia Polski najważniejsze są osoby mające decydujący wpływ na politykę zagraniczną i obronną prezydenta. To gen. James Mattis (zdecydowany krytyk Kremla) oraz dwaj przyjaciele Rosji: Rex Tillerson i gen. Michael Flynn. W walce o przychylność nowej amerykańskiej administracji prezydent Władimir Putin prowadzi więc co najmniej dwa do jednego.

WICEPREZYDENT: MIKE PENCE

Szara eminencja nowej administracji to konserwatysta z krwi i kości. 57-letni chrześcijański polityk, który opowiada się za zwiększaniem roli religii w życiu publicznym, zakazem aborcji, a także ograniczeniem praw mniejszości homoseksualnej (w 2015 r. jako gubernator Indiany przyjął prawo dające przedsiębiorcom, np. właścicielom cukierni, możliwość odmowy obsługi gejów i lesbijek). Podobnie jak prezydent elekt nie uznaje teorii o ocieplaniu się klimatu.

Jego zwolennicy podkreślają, że Pence jako gubernator ogłosił największą w hi-

Trump, reki i „Wściekły Pies”

storii obniżkę podatków. A jednocześnie sprawił, że wzrosła stanowa nadwyżka budżetowa. W przeciwieństwie do Trumpa wiceprezydent elekt cieszy się bardzo dobrą opinią wśród partyjnych liderów. Będzie więc łącznikiem między Białym Domem a republikańskim establishmentem.

Zgodnie z amerykańską konstytucją to właśnie on zastąpi prezydenta w przypadku rezygnacji, ciężkiej choroby lub śmierci. A niektórzy liberalni komentatorzy, np. publicysta „New York Timesa” David Brooks lub reżyser Michael Moore, prognozują, że Trump nie dotrwa do końca pierwszej kadencji, bo zrezygnuje z piastowania urzędu lub zostanie wobec niego wszczęta procedura impeachmentu. Inni mają zaś nadzieję, że spokojny Pence utemperuje przynajmniej wybuchowy temperament Trumpa.

SEKRETARZ OBRONY: GEN. JAMES MATTIS

66-letni emerytowany generał to żołnierz z 45-letnim stażem. Do wojska zaciągnął się jako 19-latek. Dowodził m.in. batalionem szturmowym pod-

czas pierwszej wojny USA z Irakiem i Piechotą Morską USA w Afganistanie w roku 2001. W 2003 r. jako dowódca 1. Dywizji Marines zachęcał swych podwładnych, by pokazali światu, że „nie ma lepszego przyjaciela ani gorszego wroga” niż żołnierz amerykańskiej Piechoty Morskiej. Nawet jako generał podczas każdej misji był ze swoimi żołnierzami na linii frontu. Po krwawej bitwie w Faludży zyskał wśród żołnierzy przydomek Wściekły Pies – ma on oddawać jego waleczną naturę zarówno na polu bitwy, jak i poza nim.

Obca jest mu poprawność polityczna. – Bądź uprzejmy, bądź profesjonalny. Miej jednak w zanadrzu plan, aby zabić każdego, kogo spotkasz – miał powiedzieć swoim żołnierzom podczas jednej z odpraw przed bitwą w Iraku. W Afganistanie tłumaczył zaś, że czasem „zabijanie jest przyjemne”. Jednocześnie jest przeciwnikiem metod, które stosowano m.in. w Guantánamo. – Daj mi paczkę papierosów i kilka piw, a osiągnę lepszy wynik niż za pomocą tortur – przekonywał w listopadzie Donalda Trumpa.



Donald Trump, który już 20 stycznia oficjalnie zostanie 45. prezydentem USA, na sekretarza obrony nominował gen. Jamesa Mattisa. FOT. GETTY IMAGES

Odwaga, stanowczość i niewyparzony język to niejedyne cechy tego „psa wojny”. Generał James Mattis jest świetnie wykształcony i niezwykle oczytany. Jego prywatna biblioteka liczy ponoć aż 7 tys. woluminów. Na zagraniczne misje zwykł zaś zabierać „Rozmyślania” Marka Aureliusza. Lubi też cytować fragmenty Biblii, „Sztuki wojennej” Sun Tzu, a także dzieł Szekspira.

„To ktoś, kto wolałby napić się z tobą herbatki, niż cię zabić, ale który będzie zadowolony niezależnie od tego, czy konwersacja zakończy się w pierwszy czy w drugi sposób” – tak gen. Mattis określił publicysta „Foreign Policy” Thomas E. Ricks. – To postać najbardziej zbliżona do gen. George’a Pattona – tak swego nowego podwładnego przedstawił zaś Donald Trump. W przeciwieństwie do nowego gospodarza Białego Domu chodząca legenda sił zbrojnych USA nie ma złudzeń co do intencji Władimira Putina i jego sojuszników. Bezdzienny, odważny kawaler to więc największy postrach Kremla i Teheranu w nowej administracji. Mattis nie

ukrywał i nadal nie ukrywa krytycznego stosunku wobec Rosji i Iranu. Podczas rosyjskiej inwazji na ukraiński Krym w 2014 r. krytykował ekipę Baracka Obamy za niezbyt stanowcze działania wobec Kremla. Podkreślał, że rosyjska inwazja na Ukrainę jest „o wiele ostrzejsza, o wiele poważniejsza”, niż uważają władze USA i krajów UE. Stanowczo ostrzega też przed relatywizowaniem gwarancji bezpieczeństwa dla członków sojuszu północnoatlantyckiego – sam w latach 2007–2010 służył jako naczelny dowódca ds. transformacji w NATO – podkreślając, że celem Putina jest rozbięcie sojuszu.

SEKRETARZ STANU: REX TILLERSON

Prezes koncernu naftowego ExxonMobil i wieloletni przyjaciel Władimira Putina w walce o nominację na stanowisko najważniejszego dyplomaty Ameryki pokonał m.in. byłego kandydata na prezydenta Mitta Romneya, dawnego szefa CIA Davida Petraeusa i przychylnych Polsce Newta Gingricha oraz Rudy’ego

Giulianiego. Na liście najpotężniejszych ludzi świata „Forbesa” – w najnowszym rankingu prowadzi Putin przed Trumpem i Merkel – znalazł się na 24. miejscu.

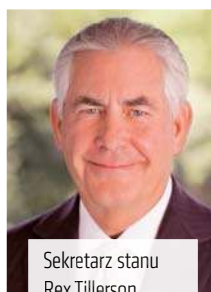
Nowy szef dyplomacji nie jest miliarderm. Jest ledwie multimilionerem (jego majątek szacowany jest na mniej więcej ćwierć miliarda dolarów). Od 10 lat kieruje jednak największą spółką naftową na świecie. Jeszcze dłużej trwa jego znajomość z Putinem. Nowy szef amerykańskiej dyplomacji obecnego rosyjskiego przywódcę poznał już w 1999 r. Gospodarz Kremla oficjalnie uhonorował go w 2013 r. Orderem Przyjaźni, jednym z najwyższych odznaczeń przyznawanych cudzoziemcom. Tillerson nie pozostaje dłużny. Dał się poznać m.in. jako zaciekle przeciwnik nałożonych na Rosję sankcji gospodarczych i zwolennik podejścia, że zamiast tracić pieniądze przez nakładanie kar za zmienianie europejskich granic, z Moskwą należy po prostu robić dobre interesy.

Nawet po aneksji Krymu i rosyjskiej inwazji na Ukrainę Rex Tillerson był częstym gościem na rosyjskich salonach. Politycy w Moskwie nie kryli więc radości z jego nominacji.

Wybór ten podzielił jednak konserwatystów w Waszyngtonie. Część z nich pozytywnie oceniła tę kandydaturę, podkreślając doświadczenie Tillersonona zdobyte podczas negocjacji w wielu różnych krajach i znajomość geopolityki.

Brak doświadczenia w strukturach rządowych, a zwłaszcza bliskie relacje z Putinem budzą jednak niepokój wśród wielu członków Partii Republikańskiej. Co gorsza, rosyjski prezydent to niejedyny były oficer KGB, z którym przyjaźni się nowy szef amerykańskiej dyplomacji. Według amerykańskich mediów jeszcze bliższe związki łączą ponoć Tillersonona z prezesem Rosnieftu Igorem Sieczinem.

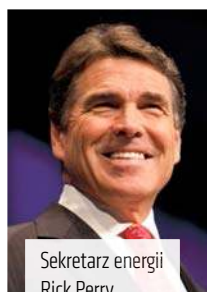
Poważne wątpliwości co do tej kandydatury mają zatem republikańscy senatorowie Lindsey Graham, Marco Rubio oraz wpływowy John McCain, który przy każdej okazji nazywa Putina „bandytą i mordercą”. Aby zyskać poparcie, Tillerson będzie więc musiał przekonująco odpowiedzieć na wiele trudnych pytań, m.in. o poparcie dla aneksji Krymu, o kwestię nałożonych na Rosję sankcji, a także o jasną deklarację dotyczącą NATO-wskiego zobowiązania do wspólnej obrony sojuszników takich jak Polska i Estonia.



Sekretarz stanu
Rex Tillerson



Doradca ds.
bezpieczeństwa
gen. Michael Flynn



Sekretarz energii
Rick Perry



Prokurator generalny
Jeff Sessions



Sekretarz handlu
Wilbur Ross Jr.



Sekretarz edukacji
Betsy DeVos

FOT. WIKIPEDIA, MATERIAŁY PRASOWE (6)

64-letni Teksaszyk odpowiadając, będzie musiał mieć świadomość, że wystarczy bunt trzech republikańskich senatorów, aby zablokować jego wybór.

DORADCA DS. BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO: GEN. MICHAEL FLYNN

58-letni trzygwiazdkowy generał to zagorzały krytyk polityki zagranicznej Baracka Obamy i co najmniej taki sam miłośnik Rosji jak Donald Trump. Jako komentator propagandowej telewizji Russia Today przekonywał m.in., że Waszyngton powinien współpracować z Rosją, aby wspólnie pokonać Państwo Islamskie. Według amerykańskich mediów brał też udział w bankiecie w Moskwie, podczas którego siedział przy jednym stoliku z Putinem.

Funkcja doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego jest jedną z kluczowych w Białym Domu. Jego nominacja wzbudziła w Stanach Zjednoczonych ogromne kontrowersje również dlatego, że gen. Flynn oznajmił publicznie, iż „lęk przed islamem jest racjonalny”, za co ostro zaatakowali go przedstawiciele środowisk liberalnych.

Jego zwolennicy podkreślają, że gen. Flynn ma ogromne doświadczenie. Był kluczową figurą w „wojnie z terrorem” prowadzonej za rządów George’a W. Busha. Pracował m.in. jako szef koalicyjnych służb wywiadowczych w Afganistanie i szef agencji wywiadu wojskowego (DIA). Jednakże w tej ostatniej instytucji jego podwładni ukuli ponoć termin „fakty Flynn’a”, który wskazywał na skłonność ich szefa do podkoloryzowania rzeczywistości.

SEKRETARZ ENERGII: RICK PERRY

Były gubernator Teksasu. Stanowisko to objął po George’u W. Bushu w grudniu 2000 r. i choć jego krytycy uważali go za „półgłówną w kowbojskich butach”, to pozostał na nim przez niemal 15 lat.

Jako gubernator ograniczył dostęp do aborcji, a także zorganizował m.in. publiczną modlitwę o deszcz. Udało mu się również uzdrowić finanse Teksasu.

Gdy walczył o nominację Partii Republikańskiej w wyborach prezydenckich w 2012 r., proponował likwidację Departamentu Energii, którym teraz będzie kierował. Perry próbował zostać prezydentem również w zeszłorocznych wyborach. Nie pomógł mu jednak nawet udział w „Tańcu z gwiazdami” i szybko musiał się wycofać z prawyborczego wyścigu. Zanim to zrobił, zdążył nazwać swego ówczesnego rywala, a przyszłego prezydenta Donalda Trumpa „rakiem [obozu] konserwatystów”.

PROKURATOR GENERALNY: JEFF SESSIONS

70-letni polityk z Alabamy. Uważany za jednego z najbardziej konserwatywnych członków senatu, w którym zasiada od 1996 r. Podczas kampanii prezydenckiej był pierwszym urzędującym senatorem, który oficjalnie poparł kandydaturę Donalda Trumpa, chociaż niemal cały republikański establishment był jeszcze wówczas przeciwko niemu. Populistyczny miliarder obiecywał bowiem budowę muru na granicy z Meksykiem, a Sessions jest zdecydowanym zwolennikiem ukrócenia nielegalnej migracji. Jest również jednym z największych przeciwników reformy imigracyjnej zakładającej jakąkolwiek amnestię dla nieudokumentowanych mieszkańców USA.

Przez niemal 15 lat był prokuratorem stanowym. Gdy w 1986 r. prezydent Ronald Reagan mianował go na stanowisko sędziego, jego krytycy oskarżyli go o rasistowskie wypowiedzi. Sessions jako pierwszy kandydat od pół wieku nie uzyskał wówczas potrzebnej większości w Komisji Sprawiedliwości.

Gdy prezydent elekt wskazał go jako kandydata na prokuratora generalnego, w obozie Partii Demokratycznej

i w liberalnych mediach podniosła się wrzawa. Krytycy z opozycyjnego obozu znów wypominają Sessionsowi wypowiedzi dotyczące kwestii rasowych. Senator miał wielokrotnie zwrócić się do czarnoskórego prokuratora, używając terminu „boy” („chłopiec”), na co w przeszłości pozwalali sobie biali, by pokazać swoją wyższość nad czarnymi. Jeff Sessions miał też zażartować: „Ku Klux Klan był w porządku, dopóki nie dowiedziałem się, że palą marihuanę” (Sessions jest zagorzałym przeciwnikiem przepisów dotyczących legalizacji marihuany).

Sam senator wielokrotnie odrzucał te zarzuty. Mimo to liberałowie wzywają senat do przełożenia na późniejszy termin wyznaczonego na 10 stycznia głosowania nad zatwierdzeniem tej nominacji. Lewica ma się czego obawiać. Jako prokurator generalny Sessions będzie miał za zadanie zaprowadzić „prawo i porządek”, czyli zrealizować przedwyborczą obietnicę Trumpa.

SEKRETARZ HANDLU: WILBUR ROSS JR.

79-letni inwestor i miliarder (jego majątek szacuje się na ok. 2,5 mld dol.). Nazywany „Królem Bankructw” – jest bowiem właścicielem funduszu, który specjalizuje się w przejmowaniu upadających przedsiębiorstw i odsprzedaży ich z zyskiem. Podczas ostatniej kampanii prezydenckiej Ross pełnił funkcję doradcy ekonomicznego Trumpa. Obaj znają się ponad 20 lat.

SEKRETARZ EDUKACJI: BETSY DEVOS

Synowa Richarda DeVosa, współzałożyciela firmy Amway, jest jedną z najbogatszych osób w gabinecie Donalda Trumpa. Wraz z rodziną – od lat blisko związaną z Partią Republikańską – zarządza majątkiem wartym ok. 5,1 mld dol. Betsy DeVos przez kilka lat stała na czele tej partii w Michigan. © Wszelkie prawa zastrzeżone



SZEWACH WEISS

Fantazja o roku 2017

Kiedy 20 stycznia urząd prezydenta obejmie Donald Trump, w Stanach Zjednoczonych zacznie się epoka nowej polityki wewnętrznej i zagranicznej, co wprowadzi nowy porządek w polityce światowej. Prawdopodobnie mocno zmienią się stosunki USA z Rosją. I właśnie ta dwójka – Władimir i Donald, Donald i Władimir – spróbuje zmienić sytuację na Bliskim Wschodzie, a także światowy układ sił politycznych, a później także gospodarczych.

Klucz do wyjścia z tragicznej sytuacji w Syrii i Iraku jest w rękach Putina. Nie jest on jednak wystarczający. Sytuację może spróbować ustabilizować nowa koalicja, na której czele staną Rosja, Stany Zjednoczone i Turcja, z tymczasowym udziałem i pomocą Iranu. Tylko taka koalicja, na podstawie jakichś wewnętrznych i zewnętrznych kompromisów, będzie mogła odsunąć Al-Asada od władzy, a Syrii zapewnić utrzymanie całości państwa – czy to w formie jednolitej, czy federalnej.

Zainicjowany w 2002 r. i zaakceptowany przez Ligę Państw Arabskich plan pokojowy dla Bliskiego Wschodu trafił do dyplomatycznej zamrażarki, ale wciąż istnieje. Koncepcja oparta jest na kompromisie terytorialnym między Izraelem i Autonomią Palestyńską na podstawie granic sprzed wojny sześciodniowej, z możliwością wymiany terytorialnej. Właśnie wymiana terytorium ma ogromne znaczenie. Taką drogę wskazywał już Bill Clinton przed opuszczeniem Białego Domu, opowiadał się za nią George W. Bush. Kompromis miałby polegać na tym, że większość izraelskich osiedli w Judei i Samarii będzie częścią Izraela, ale Izrael przekaze również część swojego terytorium suwerennemu państwu palestyńskiemu. Plan taki określa też podział Jerozolimy. Jej arabska część ma wrócić do państwa palestyńskiego, a stare miasto żydowskie pozostanie częścią Izraela.

W Izraelu może dojść do stworzenia mniej prawicowej koalicji niż obecnie rządząca i niesprzająca kompromisowi terytorialnemu.

Jest to możliwe bez przeprowadzania nowych wyborów, dzięki siłom w obecnym Knesecie. Co mogą zrobić te siły, by przekonać Palestyńczyków do przyjęcia kompromisowej propozycji? Oprócz szerokiej pomocy gospodarczej ważna – o ile nie najważniejsza, bo to sprawa symboliczna – będzie dla Palestyńczyków możliwość utworzenia stolicy samodzielnego państwa palestyńskiego w tej części Jerozolimy, która do nich wróci. Wtedy Donald Trump mógłby zrealizować swoją najważniejszą obietnicę wyborczą dotyczącą Izraela – przeniesienie ambasady USA do Jerozolimy.

Tworząc nowy porządek na Bliskim Wschodzie, kwestia kompromisowej umowy mogłaby rozszerzyć się na pozostałe państwa arabskie, a to by oznaczało koniec stanu wojennego i normalne stosunki polityczne, dyplomatyczne i inne między państwami arabskimi a Izraelem. To nie byłaby Pax Americana na Bliskim Wschodzie, ale Pax Russiano-Americana. Europa nie będzie miała dużego wpływu na sytuację na Bliskim Wschodzie, polityczny wpływ na dzieje świata przechodzi teraz do rąk nowej pary Trump – Putin.

Stany Zjednoczone nie osierocą Europy, ale sytuacja zmieni się, a państwa europejskie będą musiały wziąć na siebie większą odpowiedzialność i bardziej zaangażować się w tworzenie budżetu przeznaczanego na obronność. To, jak będzie wyglądała Europa na koniec 2017 r., czy w Niemczech władzę zachowa Angela Merkel (najprawdopodobniej tak), czy we Francji będzie rządzić prawica (prawdopodobnie tak), co będzie się działo we Włoszech, czy w Wielkiej Brytanii zwycięży partia Theresy May czy opozycja socjalistyczna (prawdopodobnie pani May), nie ma większego znaczenia ideologicznego dla Donalda Trumpa ani Władimira Putina.

Nad scenariuszami dla Chin i innych potężnych państw zastanowimy się w kolejnym felietonie. ©© *oprac. raw*

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISKIEGO

DO
RZECZYWYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMYDO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
POWYŻEJ 49 zł

PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 15 stycznia 2017 r.

1. **Polscy Bohaterowie**
39,00 zł
25,00 zł
2. **POLSKIE PODZIEMIE W OČZACH WROGA**
34,90 zł
24,90 zł
3. **JÜRGEN ROTH SMOLEŃSK 2010 SPISEK KTÓRY ZMIEŃIŁ ŚWIAT**
45,00 zł
33,90 zł
4. **WOJNY**
49,90 zł
34,90 zł
5. **W.E.B. GRIFFIN ARCYSPIEDZY**
39,00 zł
26,90 zł

ZAMÓW:

www.księgarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

Gabrieli Stanisławowiczu, mam dla was niespodziankę! – docent był wyraźnie wzruszony. Wziął mnie pod ramię. Poprzez śnieżne zasy dotarliśmy do miejsca, które wiosną zapewne jest trawnikiem. Stanęliśmy przed czymś podobnym do bałwana. Docent, nie szczędząc szalika, oczyścił statuetkę ze śniegu. – Patrzcie, Gabrieli! Wasz rodak. Feliks Edmundowicz!

ZBIOROWY MASOCHIZM

O ile samo to, że czyjś ojciec był pijakiem i złodziejem, tłukł mamusię, dzieci wyganiał na żeby, a w końcu zwariował i piekło dopiero się zaczynało, gotowi jesteśmy przyjmować ze współczuciem, o tyle ideę czczenia takiego ojca, obecną przecież – co do zasady – w Dekalogu, traktujemy małodusznie, jako godne pożałowania dziwactwo, które nic dobrego w życiu czciciela tyrana nie zrobi.

Tymczasem w Rosji im większa swołocz, gorszy krwio pijca i morderca, tym chętniej na bezkresnych rubieżach od Sankt Petersburga do Kamczatki stawia się mu pomniki, a ulicom nadaje jego imię. O ile jeszcze istnieje ulic i pomników dwóch katów XX-wiecznej Rosji – Feliksa Dzierżyńskiego i Włodzimierza Lenina – wyjaśnić można siłą bezwład, która nie pozwoliła w porę, wraz z pie-restrojką, zmienić patronów na osoby niebudzące przerażających skojarzeń, o tyle w odkopaniu latem roku bieżącego kultu Iwana Groźnego, psychopaty, syfilityka, mordercy, a nade wszystko władcy, który na wieki położył kres kielkującemu w jego czasach tworowi, który miał szansę dać kiedyś w przyszłości początek rosyjskiemu społeczeństwu obywatelskiemu, trudno komuś z zewnątrz dostrzec coś poza wyrazem zbiorowego masochizmu.

Nie wdając się w historyczne szczegóły panowania Iwana Groźnego, wspo-



Gabriel Michalik

Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek? Historia z pomnikiem cara Iwana pokazuje, że w świetle obecnej mocarstwowej polityki Kremla świeczek jest znacznie mniej, produkcja ogarków idzie zaś pełną parą

Dziwy na cokole



mnijmy o jego najbardziej doniosłym przedsięwzięciu, opriczninie, a zatem kampanii mającej na celu odebranie majątków i znaczenia politycznego bojarom, czyli kaście, która, mierząc dzisiejszymi miarami, była swego rodzaju ciałem kontrolnym nad – niczym już później nieograniczoną – władzą monarchy. Swoją reformę administracyjną Iwan przeprowadził, mordując nie mniej niż 100 tys. ludzi. Gdy opricznicy rozprawili się już z bojarami, car kazał wymordować i opriczników. Również w życiu rodzinnym nie dał się poznać jako mięczak – jedną ze swych żon uwięził, a inną zabił. Na marginesie dodajmy, że był też miłośnikiem sztuki i architektury oraz autorem pieśni liturgicznych, ale – tak jak w anegdocie o Czajkowskim – nie za to go cenimy.

Miasto Orzeł w Rosji liczy blisko 320 tys. mieszkańców. Zdaniem części historyków w bieżącym roku mija 450 lat od jego założenia. Zdaniem innych historyków 450 lat mija nie od założenia miasta, ale od wzniesienia twierdzy, której zadaniem było zniewolenie okolicznej ludności przez Iwana Groźnego. Jakkolwiek by rachować, data jest okrągła. Postanowiono ją uczcić, stawiając pomnik domniemanemu założycielowi grodu. Inicjatywa budowy pierwszego w Rosji, w ogóle pierwszego na świecie, pomnika Iwana Groźnego wyszła od Michaiła Sokołowskiego, szarej eminencji Orła.

Sokołowski dał się szerzej poznać rosyjskiej opinii publicznej dzięki temu, że jako wysoki urzędnik administracji Obwodu Koriackiego na Dalekim Wschodzie zorganizował zimą 2004 r. wielomiesięczny seans bezpłatnej krioterapii dla 22 tys. mieszkańców obwodu. Ukradł bowiem, wart przeszło milion dolarów, transport opału do miejscowych ciepłowni. Koriatii jest daleko od Moskwy i włos by pewnie Sokołowskiemu z głowy nie spadł, gdyby nie to, że wśród zmarzniętych znalazł się jakiś pieniacz. Oczernił ojca miasta w centralnej prasie, skutkiem czego Sokołowski trafił na trzy lata do więzienia. Wolny już i zamożny (nie bez kozery węgiel nazywają czarnym złotem) przeniósł się do Moskwy, dokradł kolejne miliony, znowu odsiedział swoje. Wreszcie wyszedł już na dobre i oddał się działalności filantropijnej w organizacji upamiętniającej chwałę rosyjskiego oręża. Raz po raz wpada ze stolicy do Orła, gdzie pozostaje mecenasem klubu piłkarskiego, przyjacielem lokalnych nobli i tak zapamiętałym czcicielem Iwana

Groźnego, że współpracownicy wywodzą imię odojcowskie działacza, „Iwanowicz”, nie od jakiegoś tam Iwana Sokołowskiego, ale wprost od cara. Chętnie zabiera głos w lokalnych oraz centralnych mediach na temat znaczenia tej wielkiej postaci w historii świata w ogólności i w historii Rosji w szczególności.

Warto zaznaczyć, że mimo bogatych tradycji korupcji, a zatem łatwości, z jaką świat kryminalny przeplata się z wyższymi rosyjskiej polityki, kariera publiczna Sokołowskiego nie byłaby możliwa bez zmiany standardów, do jakiej doszło po aneksji Krymu, kiedy to Kreml zetknął się z poważnym kryzysem kadrowym. Potrzebowano na gwałt stworzyć podwaliny administracji okupowanego terytorium, elity były politycznie niepewne, do władz Republiki Krymu przyjęto więc in corpore wierchuszkę miejscowej mafii. Ten przykład, jak Rosja długa i szeroka, otworzył drogę do urzędniczych foteli ludziom operatywnym, którzy wcześniej, ze względu na czepialstwo sądów, nie mieli okazji służyć krajowi.

ZA ILE TEN POMNIK?

Pomnik cara kosztował 25 mln rubli. Zrazu mówiło się, że były to miliony Sokołowskiego. Piękny gest – pieniądze zdobyte niezbyt chwalebłą drogą bogacz postanawia złożyć na ołtarzu ojczyzny. Zachwycy nieco osłabły, gdy pojawiła się pogłoska, że miliony były nie Sokołowskiego, ale miejskie, a Sokołowski po prostu skutecznie o nie u władz Orła zabiegał, a następnie przekazał rzeźbiarzowi. I to jednak okazało się tylko w części prawdą. Ktoś wścibski dotarł bowiem do wykonawcy pomnika. Wyszło na jaw, że pieniędzy wydano na pomnik mniej. Mniej o jedno zero w oficjalnej liczbie. Pozostał pewien niesmak, ponieważ niektórzy odnieśli wrażenie, iż filantropia Sokołowskiego jest dosyć jednostronna, zwłaszcza że informacji o wydatkowaniu na pomnik z publicznej kasy 25 mln jakoś nikt nie spieszył dementować, a rzeźbiarz stał przy swoim, podając dziwnie niską kwotę. Po pewnym czasie władze poszły po rozum do głowy i oznajmiły, że owe 25 mln to rezultat dobrowolnej zbiórki w miejskich przedsiębiorstwach, tak że budżet, jako taki, obciążony nie został. Nie znaleziono jednak nikogo, kto brał udział w dobrowolnej zbiórce. Gdy pomnikiem zainteresowała się policja, Sokołowski, ciosem Aleksandra Macedońskiego, przeciął wątpliwości i wszystkich, którzy

uważali, że sprawa pomnika cuchnie, zaliczył do obozu wrogów Rosji. A dzisiaj niedobrze, oj, niedobrze być wrogiem Rosji! Dyskusja przeniosła się na szczebel federalny i osiągnęła poziom aksjologiczny. Niejasności dotyczące finansowania pomnika zeszyły na plan dalszy, tym bardziej gdy przypomniano inną wielką zasługę Orła, jeśli chodzi o pomniki. To bowiem w tym mieście właśnie, jeszcze za życia Lenina, stanął jeden z pierwszych na świecie pomników Wodza Rewolucji. Paryż ma swoją wieżę Eiffla, Nowy Jork Statuę (bodaż) Imperializmu, a Orzeł – pomnik Lenina. I co nam zrobicie?!

ORSZAK NAŚLADOWCÓW

Rozgorzała dyskusja, w której toku opozycyjni historycy przypominali zbrodnie Iwana Groźnego, a historycy prokremlowscy geopolityczną wizję samodzierżawcy jako prekursora wielkości Rosji, umocnionej później przez Piotra I, Stalina i obecnie tak zwycięsko rozwijanej przez Władimira Putina. Sam Putin, bardziej chyba przez konotacje Sokołowskiego niż przez obiekty do wielkiego poprzednika, trzymał się z dala od sprawy.

Badanie opinii publicznej wykazało, że blisko trzy czwarte Rosjan uważa upamiętnienie cara za rzecz właściwą. Sokołowski podsycał proiwanowskie nastroje i w końcu, w atmosferze jedynie finansowego skandalu, 14 października pomnik odsłonięto w obecności polityków oraz działaczy różnego szczebla.

Równoległe z pomnikiem w Orle performer Władisław Gultarev odsłonił w odległym Kanske Krasnojarskim własny pomnik cara Iwana, inspirowany jednym z ulubionych narzędzi monarchy – wbity w zmarzniętą ziemię pał ze zbrzydzanym czerwoną farbą, na podobieństwo krwi, ostrym szpicem. Ktoś niedługo później pomnik jednak ściął, podobno na opał.

Nawet jeśli Michaił Sokołowski nie jest w prostej linii potomkiem Pawła Cziczikowa (obaj – Iwanowicze), to na pewno historia powstania pomnika Iwana Groźnego w Orle czeka na swojego Gogola.

W ślad za władzami Orła swoje własne pomniki Iwana Groźnego zapowiedziały już władze Aleksandrowa w gubernii włodzimierskiej i Kazania. Słyszysz się o pomnikach w Moskwie i Petersburgu. O roli miejscowych sponsorów futbolu w tych przedsięwzięciach na razie dyskretnie się milczy.

HAKERKA Z KCIUKIEM MATKI

Zakupy on-line mogą równie skutecznie jak ubieranie pitbula w sweter odebrać radość, którą przynoszą święta Bożego Narodzenia. Przekonali się o tym rodzice sześciolatniej Ashlynd Howell z Little Rock w stanie Arkansas (USA). Dziewczynka skorzystała z okazji, gdy mama ucieła sobie drzemkę, i używając jej kciuka, odblokowała smartfon zabezpieczony kodem czytającym linie papilarne. Potem dziewczynka rozpoczęła własne świąteczne zakupy, korzystając z aplikacji. Przez krótką chwilę zdołała wydać w sumie 250 dol., czyli w przeliczeniu na polską walutę ponad 1 tys. zł. Jak się okazało, sześciolatka kupiła m.in. wiele dodatków do gry „Pokémon GO”. Matka dziewczynki opowiadała mediom, że córka „była z siebie bardzo dumna”. Widocznie talenty w rodzaju Kevina Mitnicka zaczynają w dzisiejszych czasach objawiać się znacznie wcześniej.

KOŃ, KTÓRY BYŁ KROWĄ

Wszyscy mają marzenia, ale nie wszyscy mają szansę na ich spełnienie. Wśród tych drugich są tacy, którzy tym się frustrują, oraz tacy, którzy wcielają w życie powiedzenie: „Gdy się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”. Swoje marzenia w nietypowy sposób próbowała spełnić 18-latką z Nowej Zelandii. Hannah Simpson bardzo chciała mieć konia i skakać na nim przez przeszkody. Gdy jej rodzice na to się nie zgodzili, wykorzystała to, co było dostępne na rodzinnej farmie, czyli jedną z krow. Pomysł ten zresztą podpowiedział jej młodszy brat. Lilac, czyli półroczna krowa, okazała się doskonałym „wierzchowcem”. Od początku, bez treningów, świetnie skakała. Po kilku latach ujeżdżania rogate zwierzę potrafi pokonać z jeźdźcem przeszkodę o wysokości jednego metra. Lilac w chwilach odpoczynku oddaje swoje mleko farmerom. Dała im też do tej pory dwoje cieląt.

SMARTFONOWY PAPIER TOALETOWY

Kiedyś w toalecie można było pomyśleć, ewentualnie poczytać gazetę. Dzisiaj ci, którzy nie mogą wytrzymać ani chwili bez gapienia się w mały ekranik, nawet te intymne chwile wykorzystują do serfowania po Internecie i grania w gry. To głównie z myślą o nich japoński operator telefonii komórkowej NTT Docomo wyprodukował specjalny papier toaletowy do wycierania smartfonów. Podajniki z takim pa-



POGRYŻŁ ZA ŚWIĄTECZNY SWETER

Świąteczny sezon za nami, ale jeśli pod choinką znaleźliście świąteczny sweterek, to powinniście mieć świadomość, że może on przysporzyć naprawdę poważnych kłopotów. Zwłaszcza jeśli to sweterek dla psa. Ubranie dla psa samo w sobie jest już wystarczającym tematem do tej rubryki, ale rodzina z USA sprawiła, że może być tematem doskonałym. Niejaka Brenda Guerrero z Florydy w czasie świąt postanowiła przystroić również swojego czworonoga. Przy próbie wciągania sweterka pies dotkliwie pogryzł właścicielkę. Gdy na ratunek żonie wybiegł mąż, pies pogryzł i jego. Zwierzę puściło rękę 52-latkę dopiero wtedy, gdy z pomocą przybył jej syn, który dźgnął psa nożem. Wezwana na miejsce policja nie mogła sobie dać rady z rozjuszonym zwierzęciem i musiała go zastrzelić. Rodzice oraz ich syn zostali przewiezieni do szpitala. Stan 52-letniej kobiety był ciężki. Czy trzeba dodawać, że pies był rasy pitbul?

pierem zainstalowano w toaletach na lotnisku w Tokio. Firma wypuściła też poradnik wideo. Na filmie pokazuje, jak korzystać z japońskich toalet – co przy sporej liczbie technicznych nowinek wcale nie jest proste – oraz w jaki sposób skorzystać ze specjalnego papieru dla smartfonów.

ROŚLINY NA AUTOBUSACH

Dachowe ogrody w miastach to pomysł całkiem niezły, zwłaszcza że zieleni wśród betonu w niektórych metropoliach wciąż ubywało. Jednak plan, który zatwierdziła właśnie lewicowa burmistrz Madrytu, idzie dużo dalej.

W hiszpańskim mieście powstaną nowe dachowe ogrody na przystankach (to akurat pomysł niezły), ale rośliny mają także być nasadzone na dachach miejskich autobusów. Jeden autobusowy ogród dachowy kosztował będzie ok. 2,5 tys. euro, czyli ponad 10 tys. zł. Pilotażowy na razie projekt obejmie dwie miejskie ulice, z których rocznie korzysta ok. 17 mln osób. W ten sposób hiszpańskie miasto rozpoczyna kolejny etap walki z emisją CO₂. Czy następnym krokiem nie powinno być zobowiązanie właścicieli osobowych samochodów do założenia dachowych plantacji oraz zmuszenie cyklistów do przymocowania do bagażnika minimum jednej doniczki? ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI



Dziękujemy, że byliście Państwo z nami.
Życzymy wszelkiej pomyślności
w Nowym 2017 Roku.

Do zobaczenia.



Porażka luksusu



Edyta Hołdyńska

Kultowa brytyjska marka po 17 latach związa swój interes nad Wisłą. Zamknie 11 sklepów i zwolni ponad 300 osób. Przegrała starcie z dyskontami i e-sklepami

Wśród stałych klientów panika. Zaopatrują się w produkty z logo Marks & Spencer na zapas. Na forach internetowych wrze. Fani marki nie mogą pogodzić się z tym, że znikną z półek ich ulubione brytyjskie cytrynowe marmolady, dobre wino, tradycyjna fasolka w sosie pomidorowym, prawdziwa angielska herbata, artykuły domowe, a także, a może przede wszystkim, dobra jakościowo odzież w szerokiej gamie rozmiarów. M&S stawia bowiem na odzież, ale można tam kupić prawie wszystko.

Mało który z polskich klientów wie, że założycielem marki był polski emi-

grant. Michael Marks to Żyd pochodzący z okolic Grodna. W 1884 r. za pożyczone 3 funty kupił w Leeds pierwszą partię towaru i otworzył kram, na którym wszystko kosztowało 1 pensa. Dekadę później połączył siły z Tomem Spencem i rozkręcili biznes na miarę brytyjskiego dziedzictwa narodowego. To dlatego, że ich znakiem rozpoznawczym była sprzedaż produktów pochodzących tylko od brytyjskich producentów. Pierwsze sklepy ze wspólnym logo M&S stanęły w Liverpoolu, Birmingham i Manchesterze. Panowie, jako prekursorzy na lokalnym rynku, wprowadzili możliwość zwrotu nieużywanych ubrań

albo artykułów gospodarstwa domowego, co było wówczas niespotykaną praktyką handlową.

Dzięki temu zarówno Marks i Spencer, jak i ich następcy nie musieli się reklamować przez następne... 100 lat. Rodzina Marksów zarządzała przedsiębiorstwem do lat 60., a potem firma przekształciła się w korporację. Ruszyła także globalna ekspansja. W 1998 r. M&S zarobił rekordowe w swojej historii 1,9 mld dol. Sprzedaż odzieży przynosiła wówczas spółce 60 proc. jej przychodów. Niedługo potem zaczęły się problemy. Fiaskiem zakończyły się bowiem przenosiny produkcji do Chin. Zarządzanie dostawcami okazało się trudne do opanowania, koszty sprzedaży wzrosły, a jakość spadła. Obecnie, zgodnie z nową strategią, spółka zamyka duże salony z odzieżą i stawia na rozwój sieci z produktami żywnościowymi premium w Wielkiej Brytanii, które odpowiadają już za ponad połowę jej przychodów.

ZA DUŻO STRAT

W ubiegłym roku działalność własna grupy na 10 rynkach zagranicznych przyniosła stratę w wysokości 45 mln funtów przy przychodach wynoszących 171 mln funtów. Niektóre rynki przynosiły straty przez ostatnie pięć lat. Powody? Rozdrobnienie sklepów własnych i zbyt mała skala działalności. Dodatkowo możliwości przyszłego rozwoju za granicą są ograniczone.

M&S ma obecnie ponad 930 sklepów w Wielkiej Brytanii i 466 na rynkach zagranicznych. Poza rodzimym krajem M&S jest obecny na 58 innych rynkach. Prowadzi także e-handel na 21 rynkach poprzez własne strony WWW i inne witryny internetowe: Myntra w Indiach i Zalando w Europie.

Marks & Spencer po dokładnym przeglądzie swojej działalności własnej, a także franczyzowej, ogłosił, że franczyza generuje 87 mln funtów zysku, ale na wielu zagranicznych rynkach straty przynosi działalność własna. W związku z tym grupa zamierza zamknąć aż 53 sklepy własne: 10 w Chinach, siedem we Francji, w tym kultowy przy Champs-Élysées w Paryżu, a także w Estonii, na Węgrzech, Litwie, Słowacji, w Rumunii, Holandii, Belgii i Polsce.

Znad Wisły zniknie 11 sklepów – pięć z Warszawy, dwa z Wrocławia i po jednym z Gdyni, Łodzi, Koszalina oraz Poznania. Wszystkie są sklepami własnymi M&S i od pięciu lat przynoszą straty. Potencjał rozwoju konkretnie na polskim rynku firma ocenia jako ograniczony,

FOT. KRZYSZTOF MAJ/FOCUS

a przyczyny klęski upatruje w tym, że klienci postrzegają markę jako „drogą”.

CO SIĘ STAŁO?

Moda na brytyjski styl przez 17 lat w Polsce rzeczywiście osłabła. Kiedy M&S raczkował na naszym rynku, właściwie nie miał konkurencji. W 1999 r. nie było w Polsce ani Zary, ani H&M. Brytyjski potentat był więc dobrem luksusowym z Zachodu. Droższym, ale jednym z niewielu dostępnych.

Dzisiaj klientów coraz mniej interesuje brytyjska jakość, kiedy do wyboru mają tak wiele. Głównym czynnikiem decydującym o wyborze, nawet jeśli warunkiem jest jakość, stała się cena. Wolimy wydać mniej na modną koszulkę niż więcej na kultowy M&S. Popularność zdobyły tzw. marki fast fashion, oferujące ubrania w niższych cenach z ciągle zmieniających się kolekcji na każdy sezon.

Zara jest w stanie zaprojektować, wyprodukować i dostarczyć nową kolekcję do sklepów w mniej niż pięć tygodni. A jeśli dobrze się ona sprzedaje, to zwiększy ilość tego towaru na półkach w zaledwie dwa tygodnie. Na dodatek ceny odzieży spadają, co wymuszają

też sieci odzieżowe, takie jak Primark (w Polsce nieobecny), gdzie ciuchy kupić można właściwie za kilka euro.

Coraz trudniej jest przekonać klienta, aby kupił towar premium. A jeszcze trudniej, aby zapłacił za niego regularną, czyli pełną cenę. To dlatego, że wyzwaniem stała się także sprzedaż internetowa. M&S nie jest jednak odosobniony w swoich kłopotach na polskim rynku. W ostatnim czasie pojawiały się i tak samo szybko zniknęły inne jakościowo dobre sklepy. Cztery rok z rzędu spadek sprzedaży notuje Abercrombie & Fitch, znana amerykańska firma odzieżowa, także z ponadstuletnią tradycją. Problemy ma także GAP, który w ubiegłym roku wycofał się z Polski. Takie same nikłe wpływy ze sprzedaży nad Wisłą ma również American Apparel i Quiksilver. Z mapy zniknął także Tallinder. Jego poziom sprzedaży okazał się z kolei trzykrotnie niższy od początkowych planów. Planowano w tym roku 1 mln zł straty. Sięganie ona jednak prawdopodobnie 20 mln zł.

Porażka M&S na polskim rynku to widmo zwolnienia dla 351 osób. Jonathan Glenister, dyrektor regionalny na Europę, Chiny i Indie w Marks & Spencer: – Nasza działalność w Polsce jest nie

do utrzymania. Zdajemy sobie sprawę z wpływu proponowanych w Polsce zmian na naszych pracowników i będziemy chcieli uzyskać ich opinie na temat naszej propozycji.

W odpowiedzi na nasze pytania o rezultat konsultacji z pracownikami M&S odpowiada, że nadal są one w toku i potrwają tak długo, jak będzie to niezbędne, aby rozważyć wszystkie zgłoszone przez nich kwestie.

Jeżeli w wyniku konsultacji Marks & Spencer zdecyduje się realizować swój plan, czyli zamknąć wszystkie sklepy, poniesie wydatki w wysokości ok. 150–200 mln funtów, w większości w gotówce, związane głównie z nieruchomościami i ze zwolnieniami pracowników.

W przyszłości Marks & Spencer chce funkcjonować na mniejszej liczbie rynków, na których działają spółki będące w całości własnością firmy. Większy nacisk będzie kładziony na spółki joint venture i sieci franczyzowe. Przy wykorzystaniu swojej wiedzy o zachowaniach klientów na lokalnych rynkach chce prowadzić działalność międzynarodową w sposób bardziej zrównoważony.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ŚWIAT BEZGOTÓWKOWY

- ponad 36 mln kart płatniczych jest w Polsce w użyciu
- 56 mld zł – tyle Polacy zapłacili za zakupy kartami płatniczymi w trzecim kwartale 2016 r. *

* Źródło danych: Narodowy Bank Polski

Już za tydzień kolejny artykuł z cyklu BEZPIECZNE FINANSE, a w nim:

Czy bezpiecznie jest płacić za pomocą telefonu?
Co to jest wirtualny portfel?
Na co uważać, korzystając z kart płatniczych?

Projekt realizowany z Narodowym Bankiem Polskim
w ramach programu edukacji ekonomicznej

NBP

Narodowy Bank Polski

TYGODNIK
DO
RZECZY



Stefan Sękowski

Nierówności w Polsce od lat maleją, a nie rosną. Nawet jednak gdyby było inaczej, nie musiałyby to oznaczać niczego złego

Nierówności, zwłaszcza dochodowe i własnościowe, stały się jednym z głównych tematów debaty ekonomicznej. Politycy chętnie wskazują do tego pociąg. Beata Szydło argumentowała ostatnią podwyżkę płacy minimalnej tym, że „rozwarstwienie rośnie w Polsce bardzo szybko”. Walce z tym zjawiskiem mają służyć nie tylko wspomniana podwyżka, lecz także inne programy socjalne rządu, takie jak „Rodzina 500+” i „Mieszkanie Plus”. Nie powinno to dziwić, jeśli się pamięta, że na spotkaniu w Klubie Ronina Jarosław Kaczyński zachwalał książkę francuskiego ekonomisty Thomasa Piketty’ego „Kapitał w XXI wieku” (Krytyka Polityczna, 2015), w której znalazł ciekawe opisy dotyczące napięć związanych ze „zbyt wielkimi różnicami na świecie”.

Oczywiście sama lektura godnej polecenia książki nie czyni jeszcze nikogo zwolennikiem wysokich podatków progresywnych ani globalnego podatku kapitałowego (czego chce Piketty). Nietrudno jednak zauważyć, że partia rządząca Polską płynie z tym nurtem. Nurtem, którego zresztą Francuz jest jednym z bardziej umiarkowanych przedstawicieli – gdy wspomnimy np. szwedzkiego socjologa Görana Therborna twierdzącego, że nierówności wręcz... zabijają i „niszczą życie milionów”. Gdy czyta się takie słowa, można się rzeczywiście przestraszyć. Pytanie jednak, czy jest czego.

Przyznanie, że nierówności na świecie istnieją, jest truizmem. Pytania brzmią: Jak duże one są? Czy w ostatnich latach rzeczywiście rosną? Co z tego wynika? Metod mierzenia nierówności dochodowych i majątkowych jest wiele, jednak największą

Dość złości na

estymą cieszy się tzw. współczynnik Giniego. Jego wartość wynosi od 0 do 1 (czasem podaje się od 0 do 100 – oba przedziały dotyczą tego samego i by porównać ten „ułamkowy” z całkowitym, wystarczy ten pierwszy pomnożyć przez 100) i opiera się na teoretycznym założeniu, że wartość „0” oznacza, iż wszyscy zarabiają lub posiadają po tyle samo (czyli jest pełna równość), „1” zaś znaczy, że jedna osoba zarabia lub posiada wszystko, a pozostali członkowie badanej grupy nic.

Według Głównego Urzędu Statystycznego współczynnik Giniego wyniósł w Polsce w 2014 r. (dane te podawane są z pewnym opóźnieniem) 0,326. Żeby mieć perspektywę, udajmy się w mroczne lata 80. XX w. Według World Income Inequality Database w 1982 r. „gini” wyniósł w Polsce 0,20 – PRL była więc bardziej „równościowa” niż współczesna RP. Jednak w ciągu sześciu lat wartość ta skoczyła do 0,26. Nierówności musiały wzrosnąć, bo wychodziliśmy (już wtedy) z realnego socjalizmu. W latach 90. mocno poszybowały w górę, by rekordowe 0,35 osiągnąć w 2004 r. Od tamtego czasu „gini” w Polsce powoli, ale sukcesywnie spada.

SPRAWIEDLIWE ROZWARSTWIEŃ?

Nierówności są w Polsce na podobnym poziomie co w Etiopii. Analogiczne pary tworzą Szwecja i Kirgistan oraz USA i Madagaskar. Ważniejsze jest więc to, skąd się te różnice biorą, a nie to, że są. Nierówność dochodowa jest nieodłączną cechą gospodarki

rynkowej, co nie oznacza, że im wyższa nierówność, tym lepiej, bo gdyby tak było, południowoafrykański Johannesburg ze współczynnikiem 0,75 powinien być stolicą światowego dobrobytu, a nie przestępczości.

Dodatkowo sprawę zaciemnia to, że „gini” zależy od dochodów, a te można liczyć różnie, w związku z czym dane GUS, Banku

Światowego i Eurostatu nie są identyczne. Nie pomoże nam także zmiana metody, np. na kwintylową, w ramach której sprawdzamy, ile razy większa jest suma dochodów 20 proc. najbogatszych osób od 20 proc. osób najmniej zarabiających (w polskim przypadku to ok. 5 i plasuje nas to – zresztą podobnie jak w przypadku współczynnika Giniego – w środku unijnej stawki). Ten termometr nie daje całkowitej pewności co do wyniku pomiaru, ale wskazuje nam tendencję. To, jak ją ocenimy, jest dość subiektywne. Wbrew błędnemu pogładowi, że ekonomia jest niewartościującą, „obiektywną” nauką, bliższą współczesnej matematyce niż filozofii, to, jakie wyznaczamy sobie cele gospodarcze, zależy od naszej hierarchii wartości. Zresztą badacze nierówności swojego stosunku do nich nie ukrywają. Piketty otwarcie przyznaje, że uważa je za niesprawiedliwe. Przywołuje stwierdzenie amerykańskiego filozofa Johna Rawlsa, który w swojej „Teorii sprawiedliwości” pisał, że „nierówności społeczne i ekonomiczne mają być tak ułożone, aby były z największą korzyścią dla najbardziej upośledzonych”. Nierówności są w porządku tylko wówczas, jeśli przynoszą korzyści także słabszym. Inne podejście wynika z tzw. optimum Pareto (od nazwiska włoskiego ekonomisty i socjologa Vilfredo Pareto). Oznacza ono sytuację, w której nie da się podzielić inaczej dostępnych dóbr, niż pogarszając sytuację jednego z uczestników podziału. Jednak liczba dóbr nie jest stała – jeśli przy wzroście nierówności nikt nie traci, to sytuacja jest (z punktu widzenia Pareto) dopuszczalna.

Nie będę ukrywał, że drugie podejście jest mi zdecydowanie bliższe: Co z tego, że ktoś ma więcej, jeśli ja na tym nic nie tracę? Ujęcie rawlsowskie jest z góry nieufne wobec każdego sukcesu i może prowadzić do zawiści. Nie zmienia to jednak faktu, że oba podejścia pomagają w ocenieniu aktualnych nierówności.

WIELKA UCIECZKA

Część badaczy przecież twierdzi otwarcie, że biedniejsi mają gorzej, bo bogatsi mają lepiej. Apokaliptyczną wizję rozpacza przed nami Göran Therborn w książce „Nierówność, która zabija” (PWN, 2015).

FOT. SHUTTERSTOCK

nierówności



Badacz pisze w niej, że „między rokiem 1990 a 2008 średnia długość życia białych amerykańskich mężczyzn bez dyplomu akademickiego spadła o trzy lata, a słabo wykształconych białych kobiet – o pięć lat”. Jego zdaniem „w latach 90. na całym obszarze byłego ZSRR transformacja doprowadziła do śmierci 4 mln ludzi”. Posiłkuje się w tym miejscu danymi wskazującymi na spadek długości życia w Rosji i na Ukrainie. Przez dużą część tego okresu ona spadała (dziś jest już lepiej, zwłaszcza w Rosji). Gdyby to miało jednak związek ze wzrostem nierówności, Polacy też powinni żyć krócej niż za komuny, tymczasem poza okresem 1988–1991 stajemy się coraz bardziej długowieczni, łącznie do dziś średnie dalsze trwanie życia wydłużyło się w III RP o siedem lat. Z kolei gdy sięgniemy do książki noblisty w dziedzinie ekonomii z 2015 r. Angusa Deatona pt. „Wielka ucieczka. Zdrowie, bogactwo i źródła nierówności” (PWN, 2016), okaże się, że od lat 50. XX w. nie tylko ludzie na całym świecie żyją dłużej, lecz także różnice, jeśli chodzi o długość naszego życia, maleją.

Według Deatona nierówności na świecie maleją, a nie rosną. Autor nazywa to „wielką ucieczką” od ubóstwa, chorób i przedwczesnej śmierci. Z książki dowiadujemy się, w jak wiele pułapek możemy wpasć, interpretując dane dotyczące nierówności. Wszystkie – czy to dotyczące średniej majątności obywateli danego kraju (PKB per capita), czy długości życia, granicy ubóstwa czy nierówności dochodowych – mają swoje metodologiczne ograniczenia. To, że dzięki postępowi w medycynie łatwiej ratuje się niemowlęta (co wpływa na średnią długość życia), nie oznacza, że także ci, którym udało się dożyć np. 10. roku życia, żyją dłużej niż kiedyś. Generalnie rzecz biorąc, im kraj jest bogatszy, tym jego obywatele żyją dłużej, bez względu na to, jakie są tam nierówności. Jednak książka Deatona nie stanowi pochwały nierówności, tym bardziej że to, co widać globalnie, lokalnie może wyglądać już zupełnie inaczej. Mieszkający w USA szkocki naukowiec pokazuje, że mężczyźni w Rosji zaczęli żyć krócej jeszcze w głębokich latach 80., co przypisuje m.in. alkoholizmowi. Zwraca uwagę także na

rosnące różnice między długością życia Amerykanów ze względu na ich dochody czy wykształcenie. Najważniejsze jest dla niego to, skąd te różnice dochodowe się biorą, a nie to, że w ogóle są. Deaton wskazuje, że od lat 70. średni dochód 20 proc. najbiedniejszych Amerykanów prawie się nie zmienił, z kolei ten należący do 20 proc. najbogatszych wzrósł.

WINNI POLITYCY

Zdaniem ekonomisty stagnacja (a realnie – spadek wartości) płac najbiedniejszych bierze się nie tylko z postępu technicznego, lecz także ze słabości związków zawodowych i zbyt wolnej dynamiki wzrostu płacy minimalnej. Jednakże znaczny skok dochodów najbogatszych Amerykanów od lat 80. XX w. wcale nie jest ich zasługą, bo należą do nich nie tylko przedsiębiorcy, którzy dostarczają konsumentom różnego rodzaju dobra. Nierówności rosły w dużej mierze ze względu na coraz wyższe dochody pracowników sektora finansowego – bankierów, maklerów i osób zarządzających funduszami hedgingowymi. W pompowaniu ich pokątnych pensji olbrzymią rolę odegrała wielka polityka. Dzięki niej mogli sprzedawać kredyty mieszkaniowe ludziom, których nie było stać na ich spłatę, i handlować pakietami różnego rodzaju instrumentów finansowych, co nie miało związku z realną gospodarką. Polityka niskich stóp procentowych z jednej strony sztucznie napędziła rynek kredytowy, z drugiej zaś pozbawiła dochodów tych przedstawicieli klasy średniej, którzy chcieli oszczędzać, zamiast pożyczać. A gdy finansiści doprowadzili już amerykańską gospodarkę do kryzysu, otrzymali od państwa sutą pomoc publiczną, ponieważ okazali się „zbyt wielcy, żeby upaść”. Jak pisze Deaton, „gwarancja rządowych dofinansowań dla największych – i często połączonych ze sobą – instytucji sprawiła, że podejmowanie bardzo ryzykownych działań finansowych było bardzo opłacalne, mimo że ostatecznie doprowadziło do zapaści i ubóstwa milionów ludzi, którzy stracili pracę, zaczęli mniej zarabiać albo wpadli w długi, których nie mieli szans spłacić. To, czy ludzie obracający pieniędzmi swoimi

i swoich klientów powinni się bogacić, to jedno; czy powinni bogacić się, obracając publicznymi pieniędzmi – to zupełnie inna kwestia”.

Nierówności często biorą się z przywilejów, dotacji z pieniędzy podatników i wyzysku cudzej pracy lub prowadzącej do karłowacenia gospodarki polityki celnej, jak to było np. w kolonializmie. I wystarczy wyeliminować te czynniki, by nierówności były bardziej sprawiedliwe. Jednak nie zawsze jest to skuteczne, bo istnieje wiele nierówności przez nikogo niezawinionych. Mit kariery „od pacybuta do milionera” z pewnością może stanowić zachętę do działania, ale faktem jest, że dobrobyt, w którym się rodzimy (lub kapitał kulturowy), pozwala nam łatwiej wznosić się na wyżyny. Dlatego nie należy z góry wykluczać wyrównywania szans na starcie, choć nie powinno ono oznaczać równania w dół. Deaton zaleca w tym zakresie zwłaszcza dostęp do opieki zdrowotnej, ale także do wysokiej klasy publicznej edukacji. Chociaż ekonomista (a także Piketty i Therborn) popiera w tym zakresie też np. podatki progresywne, zwykła odgórna redystrybucja może tu wiele zaburzyć. Z tego też względu noblista sprzeciwia się dotychczasowemu modelowi pomocy krajom Trzeciego Świata, ponieważ często nie trafia ona do tych, którzy jej naprawdę potrzebują, utwierdza u władzy nieludzkie reżimy i utrudnia znalezienie własnej drogi rozwojowej.

Nierówności są przede wszystkim efektem, a nie przyczyną. Mogą być objawem patologii, nie znaczy to jednak, że należy podejrzliwie traktować tych, którzy mają więcej. Nie jest problemem to, że temperatura naszego ciała jest zbyt wysoka lub zbyt niska, ale to, że jesteśmy chorzy, osłabieni lub wyziebieni. Zresztą, jak pisał ks. Jan Twardowski, „nierówni potrzebują siebie, im łatwiej jest zrozumieć, że każdy jest dla wszystkich, i odczytywać całość”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”.

Obowiązkowe ubezpieczenia komunikacyjne w ciągu ostatniego roku zdrożały horrendalnie. Średnio o ponad 50 proc. I to raczej dla tych, którzy mieli dobrą historię ubezpieczenia – maksymalne zniżki, brak szkód. Reszta płaci naprawdę słono. A młodzi kierowcy, czyli ludzie z grupy najczęściej powodującej wypadki, muszą dziś wydać na OC nawet kilka tysięcy złotych, co kilkakrotnie przewyższa wartość ich samochodów.

Jak mogło do tego dojść? Politycy i zakłady ubezpieczeń próbują tłumaczyć to utrzymywaniem niskich cen przez lata. Żaden z tych argumentów nie jest jednak przekonujący, bo chodzi o rynek regulowany. Jeśli posiadacze samochodów muszą płacić OC, a ubezpieczalnie dbać o płynność, by podatnicy nie musieli dokładać do odszkodowań poprzez Ubezpieczeniowy Fundusz Gwarancyjny, to ktoś przez wiele lat nie widział wielkich nieprawidłowości.

BEZ KONTROLI?

Od dekady liczba wypadków w Polsce znacznie się zmniejszyła. Wypłaty odszkodowań powinny się więc zmniejszać. Tymczasem te rosną, bo polski rynek ubezpieczeń co najmniej od tego czasu – choć powinien być kontrolowany przez państwo – toczyła choroba.

Wiadomo było, że trzeba będzie przeznaczać coraz więcej pieniędzy na odszkodowania. – Przez ostatnie lata przybyło tytułów do nowych roszczeń dla osób poszkodowanych i ich rodzin – mówi Marcin Tarczyński, analityk Polskiej Izby Ubezpieczeń. – Od 2007 r. ubezpieczyciele musieli zacząć doliczać VAT do kosztorysów. A w 2008 r. zmienił się Kodeks cywilny i od tego momentu poszkodowani, w tym najbliższa rodzina, mają prawo do zadośćuczynienia. To tylko przykładowe przyczyny wyższych wypłat dla poszkodowanych – dodaje.

Tymczasem składki nie zwiększały się zauważalnie. I nikt nie reagował. Komisja Nadzoru Finansowego dopiero w czerwcu ubiegłego roku wydała rekomendację (w której) paradoksalnie zatroszczyła się o to, by wypłaty dla poszkodowanych były korzystniejsze, która stała się dla ubezpieczycieli argumentem za podnoszeniem cen. Ubezpieczalnie same więc pośrednio przyznały, że do tej pory płaciły za mało. Jeśli nawet przyjąć, że wszystko to ma na celu dobro poszkodowanych, to pozostaje pytanie: Dlaczego KNF milczała przez prawie dekadę rzekomej wojny cenowej ubezpieczycieli?

Zrobieni w OC



Łukasz Zboralski

Drastyczny wzrost cen ubezpieczeń pojazdów to skutek polityki, którą kierowała chciwość. Tylko dlaczego płacą za to klienci? I gdzie był nadzór państwa?

Zapytaliśmy o to departament społeczny KNF. Do zamknięcia tego wydania tygodnika odpowiedź nie nadeszła.

A dlaczego sami ubezpieczyciele przez lata nie podnosili znacząco cen polis? – Z bardzo prostej przyczyny – odpowiada Tarczyński. – Ponieważ klient, który kupuje obowiązkowe ubezpieczenie OC, kieruje się wyłącznie ceną. Przy ponad 20 firmach na rynku w ten sposób nakręca się spirala walki cenowej – dodaje.

Byłoby to nawet dobre wytłumaczenie. Tylko dlaczego nagle wojny cenowej już nikt prowadzić nie chce? – Złożyło się na to kilka rzeczy w jednym momencie – odpowiada analityk PIU. – Przede wszystkim rekordowa strata z OC w 2015 r. Warto też zauważyć, że oddziały zagranicznych ubezpieczycieli, które nie podlegały polskiemu nadzorowi, prowadziły agresywną politykę cenową. Zostały one natomiast przejęte przez polskie spółki, które nadzorowi podlegają – dodaje.

To każe jednak stawiać kolejne pytania: o jakość kontroli państwa nad rynkiem. Skoro zgodnie z unijnym prawem musimy wpuszczać na rynek ubezpieczyciela zarejestrowanego w innym kraju, to dlaczego nie pomyśleliśmy o kontroli takich firm? Przecież za ich ewentualną płać stałyby wypłaty z państwowego UFG.

STRATEGIA: NIE WYPŁACAĆ

Kolejnym argumentem, którym ubezpieczyciele tłumaczą podwyżki, jest

sprawa relatywnie niskiej ceny polis w Polsce w odniesieniu do innych krajów Europy. Jak pokazuje ostatni raport PIU, cena polskich ubezpieczeń sięga 44 proc. średniej składki w 27 krajach UE. Tylko że to połowa prawdy. Naprawdę odstawiamy od Europy pod względem średnich odszkodowań, które dostają klienci – to zaledwie 35 proc. średniej. Mniejsze odszkodowania niż w Polsce otrzymują tylko poszkodowani z Łotwy, Litwy, Bułgarii i Rumunii.

Janusz Popiel, prezes Stowarzyszenia Pomocy Poszkodowanym w Wypadkach i Kolizjach Drogowych „Alter Ego”, uważa, że jest jeszcze jedna przyczyna nagłego wzrostu cen ubezpieczeń komunikacyjnych. – Doprowadziła do tego po prostu chciwość ubezpieczycieli, czyli byli źle zarządzane – mówi wprost. I tłumaczy: – Przez lata stosowali taką praktykę, żeby przede wszystkim starać się nie wypłacać odszkodowania albo wypłacać jak najniższą kwotę. To była mentalna epoka komuny: jeśli się da, to oszukać. Nie wszyscy ludzie byli świadomi, że należy im się więcej, i ubezpieczalnie korzystały z niewiedzy prawnej. Zaczęły się jednak pojawiać wyspecjalizowane kancelarie prawne, które nawet po latach odzyskują należne ludziom pieniądze. I nagle się okazało, że nierzadko po latach procesu zakład ubezpieczeń płaci po wyroku sądu więcej za odsetki i koszty zastęp-



FOT. SHUTTERSTOCK

stwa procesowego, niż wynosiło samo odszkodowanie. Mści się brak perspektywistycznego myślenia.

Jaka była skala chciwości, trudno oszacować. Na pewno podważać można jednak argument ubezpieczycieli, że chodziło tylko o większe wypłaty szkód osobowych. Ubezpieczalnie za naprawy samochodów proponują kwoty nawet o 100 proc. zaniżone. Takie przykłady wyliczył na portalu brd24.pl Łukasz Hećman z Kancelarii Prawnej WSS. Przy-

kłady? Audi A4 z 2008 r. – ubezpieczyciel wypłacił 10,8 tys. zł, po wyroku sądu dopłacił 9,2 tys. zł.; peugeot 206 z 2004 r. – wypłacone 2,3 tys., po wyroku sądu dopłata w wysokości 2,2 tys. zł; honda CRV z 2006 r. – wypłata 2,9 tys. zł, dopłata po wyroku – 2,4 tys. zł; mercedes z 2003 r. – ubezpieczyciel wypłacił 12,2 tys. zł, po wyroku sądu musiał zapłacić jeszcze prawie 6 tys. zł.

Takie podejście tylko w 2015 r. zakończyło się dla branży w sumie miliardem

złotych strat. – Jeśli ktoś ma tak wysokie straty, to co to jest za przedsiębiorstwo, w którym koszty są takie wysokie? Czy to właściwe zarządzanie? – zastanawia się Janusz Popiel.

Ubezpieczyciele i związani z nimi lobbyści przekonują, że teraz będzie lepiej, że „gonimy Zachód”. I znów to tylko część prawdy. Pomijając już relację cen ubezpieczeń do odszkodowań, w innych krajach, to tam przy wyższych stawkach stosuje się jeszcze wiele mechanizmów, które pozwalają płacić mniej tym, którzy jeżdżą po drogach mniej ryzykownie. To choćby tzw. czarne skrzynki dla młodych kierowców. Dobrowolny montaż urządzeń monitorujących styl jazdy jest bardzo popularny np. w Wielkiej Brytanii – dzięki temu ci, którym statystyka winduje stawki, mogą pokazać, że mimo wieku nie stwarzają ryzyka. Dzięki temu mają zniżki.

W Polsce ubezpieczyciele od dawna stosowali czarne skrzynki, ale tylko tam, gdzie interes mieli ich wielcy klienci flotowi. Klientom indywidualnym jeszcze nikt tego nie proponuje. Aplikację na komórki zamierza dopiero wprowadzić Link4.

Inny mechanizm, którego brakuje w Polsce, doskonale sprawdził się np. w USA. Ryzyko dla kierowcy kalkulowane jest także na podstawie mandatów, które otrzymał. Nasi ubezpieczyciele pod uwagę biorą nawet kolor samochodu, ale pomijają tak ważny wyznacznik jak udokumentowane przez policję łamanie przepisów. Dlaczego?

CO SIĘ ZMIENI?

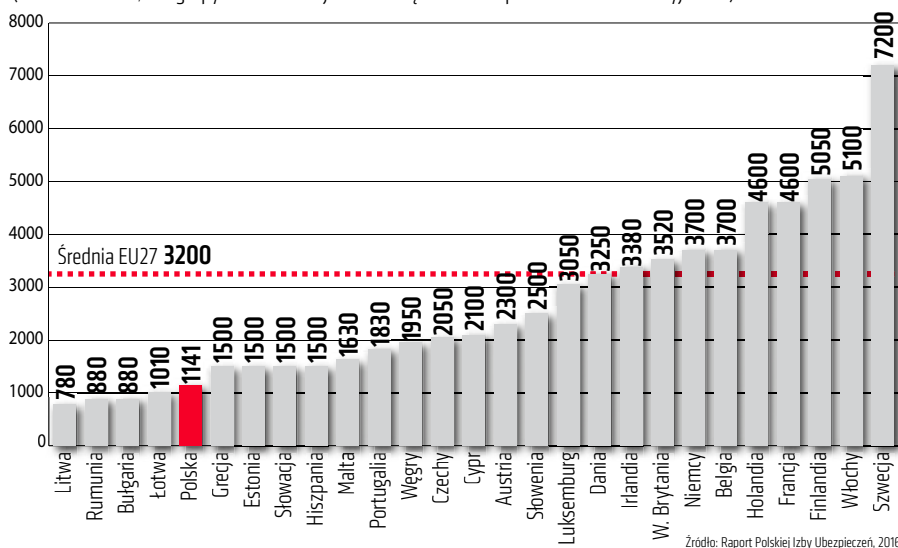
Branża już po pierwszych podwyżkach zmianę podsumowywała średnimi wskaźnikami. I udowadnia, że wszystko działa lepiej, bo kwota wypłaconych odszkodowań rośnie.

Najlepsze podsumowanie dopisał jednak samo życie. Janusz Popiel opublikował niedawno w Internecie pismo od zakładu ubezpieczeń, który po kolizji z udziałem samochodu jego córki wycenił odszkodowanie na 1 tys. zł z tzw. udziałem własnym w tej samej kwocie. Czyli nie chciał zapłacić nic. – Naprawa w serwisie kosztowała ok. 11 tys. zł – opowiada prezes „Alter Ego”. – Po moim telefonie do ubezpieczyciela dokument z tą wyceną zniknął z Internetu, a mnie przepraszano 10 razy. Tylko co by było, gdyby to nie była akurat moja córka?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Średni koszt odszkodowania w euro w krajach UE

(dane za 2014 r., dla grupy 10 – w której zawarte są m.in. ubezpieczenia komunikacyjne OC)





PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

A nie
pisałem?!

Właściwie po jakie лихо rząd ma nakładać na obywateli nowe lub podnosić stare podatki i być za to przez nich nie lubiany, skoro może ten przykry obowiązek przerzucić np. na banki i sklepy? Skoro może się nimi najzwyczajniej w świecie wyręczyć. To znaczy zamiast podnosić obywatelom stawki podatku PIT lub VAT, rząd może nałożyć podatek na banki lub sklepy albo na banki i sklepy. I oprócz dodatkowych pieniędzy z tego tytułu przy okazji zyskać wśród części wyborców poklask za to, że „walczy z wyzyskiem bankierów i handlowców”. W oczach tych wyborców, którzy nie są w stanie zrozumieć, że nakładane na banki oraz sklepy podatki i tak w ostatecznym rozrachunku zapłacą oni sami, czyli klienci tych banków i sklepów, a nie właściciele tych instytucji.

No i właśnie dostaliśmy dowód na to, że nie inaczej ma się rzecz z podatkiem nałożonym na banki przez rząd PiS (co zapowiadałem na tych łamach w sierpniu 2016 r., w felietonie „Podatek bankowy – pan płaci, pani płaci!”). No i zastanawiam się co dziś, w obliczu tych danych (a z każdym kwartałem będzie ich przybywać), będą opowiadać ci politycy, którzy tak ochoczo zapewniali swych wyborców – i zarazem klientów banków – że to właśnie banki, z własnych zysków, zapłacą te podatki, a nie oni – ich klienci.

Otóż z raportu NBP wynika, że zyski działających w Polsce banków, po trzech kwartałach 2016 r. – mimo uiszczenia

przez nie kilku miliardów złotych nałożonego na nie podatku – są nie niższe niż przed rokiem. Z innych szacunków wynika, że owszem, są niższe, lecz tylko o ok. 20 proc. Skąd się zatem wzięły pieniądze, które trafiły do kasy państwa w postaci bankowego podatku? To jasne – z kieszeni klientów banków. Ci, którzy wzięli kredyty, płacą teraz od nich wyższe odsetki, niż płaciliby, gdyby na banki nie nałożono nowego podatku. A z kolei ci, którzy odkładają w bankach swe oszczędności, dostają teraz niższe odsetki od tych, które otrzymywaliby, gdyby rząd nie nałożył na banki podatku. A jedni i drudzy, czyli wszyscy klienci banków – solidarnie – składają się na podatek bankowy, płacąc wyższe opłaty za bankowe usługi.

I rzec nie w tym, by nie nakładać podatków (choć należy to robić z umiarem). W końcu państwo musi jakoś finansować swe wydatki. Rzecz w tym, by nie okłamywać wyborców, nie próbować im wmawiać, że ktoś inny poza nimi – płatnikami podatków i zarazem klientami obłożonych podatkami banków, sklepów, restauracji i stacji paliw – zapewnia kasę państwa.

Najbliższy sprawdzian niedługo – przy okazji drugiego podejścia do zawetowanego przez Brukselę podatku handlowego. Czy tym razem rządzący politycy zdobędą się na odwagę, by przyznać, że nałożenie nowej daniny spowoduje wzrost cen oferowanych produktów i to z tych zapłaconych przez klientów pieniędzy będzie pochodził nałożony na sklepy podatek? ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

To jest
niemożliwe

Gdyby dekadę temu ktoś prognozował, że Wielka Brytania wyjdzie z Unii Europejskiej, banki centralne wydrukują zyliony dolarów, euro, funtów i jenów, stopy procentowe będą ujemne, Rosja zbrojnie zaanektuje Krym, a szef CIA potwierdzi, że Putin zdecydował, kto będzie prezydentem USA, to taką osobę wysłano by do psychiatry. A jednak bieg wydarzeń przerósł wizję. To pokazuje, jak trudno jest prognozować, co wydarzy się w 2017 r. Spróbujmy wymienić najbardziej „sza-

ludzkość się zjednoczy, ale to będzie ostatnia wojna, którą wygra człowiek. Kolejną wojnę wywoła wirus, ale nie komputerowy, tylko ten znany od zawsze, zmutowany.

Czy nastąpi pierwszy atak terrorystyczny wykorzystujący nową strategię? Do tej pory narzędziem stosowanym przez terrorystów były środki transportu oraz materiały wybuchowe. A jeżeli w miejscach, gdzie bywa dużo ludzi, takich jak galerie handlowe, stadiony, lotniska, pojawiają się terroryści samobójcy zarażeni groźnym wirusem, roznoszącym się drogą kropelkową? To może być niewykrywalna, samobójcza broń biologiczna masowego rażenia. Czy obroną miast przed tym zagrożeniem będzie zamknięcie stadionów, upadek galerii handlowych i powrót sklepików osiedlowych? A może odeślą wszystkich imigrantów z krajów arabskich do domu?

A może dojdzie do przełomu technologicznego w dziedzinie energii, która stanie się z czasem powszechnie dostępna i praktycznie darmowa dzięki małym urządzeniom, które można zamontować w każdym domu i pojeździe?

Liczba ludzi żyjących w miastach przekroczyła 4 mld i szybko rośnie. Liczba samochodów osobowych wkrótce przekroczy 1 mld, a Amerykanie wydali w 2016 r. ponad czterdzieście dolarów na odchudzanie i leczenie otyłości. Szczęśliwego nowego roku! ©

Autor jest rektorem New Economic University w Alma Ate w Kazachstanie.

Czy dojdzie do
pierwszej wojny
algorytmów
z ludźmi?

lone” wydarzenia z różnych dziedzin, które wydają się dzisiaj tak samo prawdopodobne jak powyższa lista dekadę temu.

Czy dojdzie do pierwszej wojny algorytmów z ludźmi? Oprogramowanie, które potrafi się usprawniać bez udziału człowieka, dokona optymalizacji przez uwolnienie się spod ludzkiej kontroli, a następnie przeprowadzi ataki na ważne obiekty, takie jak systemy zarządzania dużymi miastami, sieci energetyczne i telekomunikacyjne. Smartfony zaczną same okradać swoich właścicieli z pieniędzy przez przejęcie ich kont bankowości mobilnej. W obliczu zagrożenia

TEST „DO RZECZY”: GOLARKA PANASONIC ES-LV6N

Codziennie rano robią to miliony mężczyzn. Wprawdzie aby pozbyć się zarostu, nie trzeba już iść do golibrody, jednak liczba tradycyjnych maszynek i modeli golarek elektrycznych może przyprawić o zawrót głowy. W tym numerze testujemy zatem gadżet dla panów, którzy nie mają czasu ani ochoty na zabawy z płynami zmiękczającymi i gorącymi ręcznikami.

ES-LV6N to jeden z lepiej ocenianych i jednocześnie droższych modeli na rynku (w zależności od sklepu kosztuje od ok. 950 do niemal 1,5 tys. zł). Wykonana w dużej mierze z metalu golarka wygląda ładnie i robi wrażenie solidnej. Dzięki gumowanej rękojeści urządzenie pewnie leży nawet w mokrej dłoni. Aby golenie było dokładniejsze, Japończycy użyli aż pięciu ostrzy. Głowica Multi-Flex 3D jest więc zauważalnie większa niż w przypadku golarek z trzema ostrzami. Początkowo może więc sprawiać wrażenie dość nieporęcznej. Po pewnym czasie wielkość głowicy przestaje przeszkadzać, choć osoby, które nie chcą kompletnie pozbyć się zarostu z twarzy i wolałyby zostawić sobie bródkę lub wąsy, mogą mieć z wielkością głowicy więcej problemów.

Zaletą użytej głowicy jest to, że obraca się we wszystkich kierunkach: w górę, w dół, lewo i prawo, a także do przodu i do tyłu. Dzięki temu lepiej podąża ona za konturami twarzy. Nowością jest też specjalna rolka, która redukując tarcie, zmniejsza ryzyko podrażnienia skóry. Specjalny czujnik wykrywa

zaś gęstość zarostu i reguluje obroty silnika, tak aby zapewnić mocniejsze cięcie lub delikatniejsze golenie w miejscach, gdzie zarost jest rzadszy.

Mimo to dla osób takich jak ja – które mają twardy zarost, skórę twarzy wrażliwszą nawet od i tak cienkoskórych Japończyków, a do tego nie są przyzwyczajone do maszynek elektrycznych – pierwsze efekty mogą być rozczarowujące, a próby zwiększenia nacisku głowicy przy goleniu na sucho zapewne zakończą się zaczerwienieniem i podrażnieniem skóry. Na szczęście model ten umożliwia też golenie na mokro, które – przynajmniej początkowo – pozwala osiągnąć lepsze rezultaty. Gdy nauczymy się już nowej techniki, a skóra twarzy przyzwyczai się do elektrycznej maszynki, nawet golenie na sucho będzie komfortowe i nie będzie już wymagało poprawek. Warunkiem jest jednak regularne golenie (co najmniej raz na dwa dni).

Niektórym przeszkadzać może też to, że golarka nieco hałasuje. Wprawdzie nie bardziej niż np. elektryczna szczoteczka do zębów, ale jeśli golimy się w łazience przy sypialni, to możemy obudzić ukochaną partnerkę.

Bezprzewodowa golarka działa na jednym ładowaniu przez 45 minut. Można ją więc wziąć na służbowy wyjazd. Jeśli zaś zaśpiemy na ważne spotkanie, to można szybko chwycić za golarkę i ogolić się w pociągu lub w samochodzie. Przeniesienie



ułatwia futerał, a używanie golarki podczas zagranicznych podróży – ładowarka, która powinna działać na całym świecie (ma napięcie od 100 do 240 V). Trzeba tylko pamiętać o przejściówkach do kontaktów. Ładowanie do 100 proc. trwa godzinę, ale w ciągu pięciu minut można podładować golarkę wystarczająco, by raz się ogolić. Przydatna jest też informacja o stanie naładowania baterii, która wyświetla się na ciekłokrystalicznym ekraniku, ponieważ golarki nie da się używać, jeśli podłączymy ją do prądu (co dla niektórych może być istotną wadą).

Zaletą testowanego modelu jest też wbudowany trymer, który pozwala np. na precyzyjne przycięcie бакów. Trzeba jednak pamiętać, że trymer ma niewielkie rozmiary – próba przycięcia całej brody będzie zatem bardzo czasochłonna. Poza tym warto wiedzieć, że ostrza wbudowanego trymera – w przeciwieństwie do ostrzy w głowicy golarki – nie da się wymienić. ☹☹

Jacek Przybylski

SZYBCY I WŚCIEKLI

Kto nie chciał choć przez chwilę poczuć się jak bohaterowie tego popularnego filmu? Niezła muzyka, do tego szybkie bryki i piękne kobiety (albo na odwrót) i to całe „Tokio drift”. Jest na to sposób i to w dodatku bez wychodzenia z domu i bez ryzyka, że za miesiąc listonosz przyniesie wydruki z fotoradarów wraz z mandatami do zapłaty. Potrzebne do tego są tylko: płyta z dobrą muzyką, przedstawicielka płci pięknej i pojazdy DRIFT. Spokojnie, zmieszczą się nawet w kawalerce. DRIFT to bowiem nic innego jak tylko kontrolowane za pomocą smartfona samochodziki o bardzo realistycznie odwzorowanych technice i systemie jazdy. Zabawka nie tylko dla dorosłych jest wyjątkowo ciekawa, choćby dlatego, że konstruktorzy, którzy pracowali nad modelami aut przez ponad trzy lata, przeskalowali wiele wartości, od rozmiaru począwszy, a na przyspieszeniu i drodze hamowania skończywszy. Samochody DRIFT mają długość 107 mm każdy, a wykonano je ze wzmocnionego poliamidu. Steruje się nimi za pomocą



FOT. ALERAY PRASOWNE (3)

łączości Bluetooth, przy czym aplikacja pozwala na wybór trybu jazdy – od amatorskiego, bardzo prostego, do profesjonalnego. W aplikacji tuningujemy też samochód, decydujemy o obciążeniu, sterowności etc., co oczywiście przekłada się na sposób jazdy pojazdów

ładowanych przez USB. Auta, produkowane w Niemczech, można już zamawiać, ale na dostawę trzeba będzie czekać do sierpnia. Niestety nie będzie też tanio – jeden pojazd kosztować będzie ponad 500 zł.

NIE GRAJ NA NERWACH



Coraz szybciej kończy się era garażowej muzyki i umpa-umpa trzęsącego sufitem sąsiada. Wymyślony przez francuskich konstruktorów kontroler dźwięku Joué o wymiarach 360 x 130 x 15,6 mm i ważący – co ważne – nie więcej niż 800 g pozwala na „zagranie” na nim każdego dźwięku wykonywanego przez większość znanych współcześnie instrumentów.

Joué wykonano z drewna i metalu, a jego większą część stanowi touchpad odczytujący dotyk ponad 250 razy na sekundę i podzielony na trzy sekcje wypełnione wymiennymi modułami w ośmiu wariantach, konfigurowanymi w specjalnej aplikacji. Cena Joué to ok. 1,4 tys. zł. W sprzedaży od lata. ☹☹

Wojciech Wybranowski



Łukasz Majchrzyk

Adam Małysz był wybitnym skoczkiem. Kamil Stoch, Maciej Kot i Piotr Żyła udowadniają jednak, że dziś to polska kadra nadaje ton i często wyznacza nowe standardy

Można powiedzieć, że 15 lat temu wszystko się zaczęło. Adam Małysz najpierw był czwarty w Oberstdorfie, potem trzeci w Garmisch-Partenkirchen. Naród zaczął wierzyć, czekać na kolejne sukcesy. Potem były wspaniałe konkursy w Innsbrucku oraz Bischofshofen i w końcu zwycięstwo w Turnieju Czterech Skoczni. A potem to już była małyszomania.

NASTĘPCY I NASTĘPCY

Teraz polscy skoczkowie zgarnęli pierwsze miejsce drużynowo, a w najbardziej prestiżowym cyklu w skokach narciarskich rewelacyjnie skacze Kamil Stoch. Wspomnienia wracają. Kibice znów z zapartym tchem oglądają wychodzenie z progu. Wracą atmosfera sprzed 15 lat lub sprzed trzech, gdy Stoch z Soczi przywiózł dwa złote medale.

Im dłużej trwała kariera Adama Małysza, tym częściej powracało pytanie, kto będzie jego następcą. Czy uda się znaleźć człowieka, który będzie miał odpowiednio wielki talent i udźwignie ciężar oczekiwań polskich kibiców. Typowano różnych skoczków, a każdy, który pojawił się na horyzoncie, niemal od razu miał wkładaną na skronie koronę. Jakby wszyscy zapomnieli, że przepisem na sukces Małysza były „dwa dobre skoki” w konkursie, a nie nadmuchiwanie oczekiwania. Teraz wiemy, że można liczyć na Stocha i Kota. I to jeszcze przez lata.

Dla Stocha takie sukcesy to norma. Zanim świat zaczął zachwycać się skromnym chłopakiem z najwyższej położonej w Polsce wsi Ząb, musiało jednak upłynąć sporo czasu. Musiały przyjść rozczarowania, złość na samego siebie, presja i czekanie na to, by wreszcie skoczyć na miarę własnego talentu oraz oczekiwań.

Stoch to człowiek niezwykle wrażliwy, inteligentny i czasami można było odnieść wrażenie, że za dużo o skokach

Małysz

i sobie samym wie, za dużo rozumie, ta wiedza go przytłacza i zaczyna za bardzo kombinować, ulepszać na siłę. Zupełnie tak, jakby ciążyły mu oczekiwania. Doświadczył życia w cieniu mistrza, bycia „diedzicem”, który wie, że może i powinien dostarczać medale. Może dlatego na pierwsze punkty w Pucharze Świata (luty 2005 r.) musiał czekać ponad rok od swojego debiutu (styczeń 2004 r.), a na kolejne – jeszcze do następnego sezonu. A pierwsze zwycięstwo? Na taki sukces trzeba było naprawdę długo czekać. Siedem lat od debiutu w Pucharze Świata to naprawdę cała epoka, w której pojawiali się i znikali nowi mistrzowie, aż wreszcie

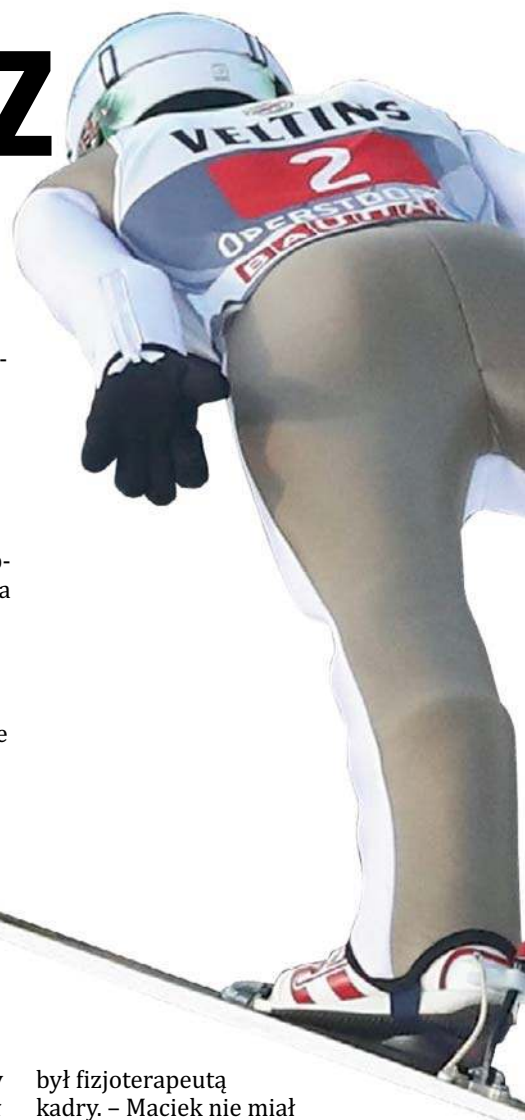
przyszedł czas Stocha.

Można powiedzieć, że pod tym względem Kot jest bardzo podobny do swojego starszego kolegi. On też przez wiele lat żył w cieniu starszego, bardziej utytułowanego zawodnika. Miał być „tym drugim”, który za kilka lat, gdy Stoch już będzie kończył karierę, stanie się „tym pierwszym”. Widział, że inni, tacy jak Austriak Gregor Schlierenzauer, odnoszą oszałamiające sukcesy, zdobywają medale mistrzostw świata, medale olimpijskie, wygrywają Turnieje Czterech Skoczni, a jemu ciągle czegoś brakuje.

Robił dobrą minę do złej gry i opowiadał, że przez 10 lat, od kiedy jako 15-latek zadebiutował w Pucharze Świata, wyćwiczył w sobie cnotę cierpliwości.

Wypatrzył go słynny Fin Hannu Lepistö, który przez kilka lat prowadził reprezentację Polski. I dał mu szansę debiutu w PŚ.

– Wracaliśmy samolotem z MŚ w Sapporo. Hannu przysiadł się do prezesa Apoloniusza Tajnera i zaczął mu wiercić dziurę w brzuchu, że on chce wziąć Maćka na zawody do Lahti – wspomina ojciec skoczka Rafał Kot, który wtedy



był fizjoterapeutą kadry. – Maciek nie miał wtedy punktów z Pucharu Kontynentalnego, które uprawniają do startu w Pucharze Świata, bo był za młody. Hannu Lepistö się upierał, bo wiedział, że w konkursie drużynowym może wystąpić jeden zawodnik, który nie ma punktów. Wtedy prezes Tajner, trochę na odczepnego, powiedział, żeby Maćka wziąć do Lahti. Tak to się zaczęło.

Trzeba przyznać, że Kot od razu został rzucony na głęboką wodę, bo skocznia w Lahti jest jedną z trudniejszych ze względu na zmienne warunki atmosferyczne. Miał wtedy 15 lat i musiało to być dla niego duże przeżycie. Tym bardziej że w trakcie zawodów doszło do bardzo nerwowej sytuacji. Serię próbną przesunięto wtedy na wcześniejszą godzinę i Lepistö, który odbywał z Małyszem trening imitacyjny, nie zdążył do trenerckiego gniazda. Maciek był wystraszony,

to nie był przypadek



Kamil Stoch na olimpiadzie w Soczi dwa razy odbierał złoty medal. Właśnie wrócił do wielkiej formy

FOT. MICHAEL DALDER/REUTERS/FORUM

odbywał. Pomogła mu kadra Finlandii, dzięki znajomościom Lepistö.

DWIE DROGI

Drogi Stocha i Kota były odmienne. Stoch zaczynał treningi wtedy, kiedy jeszcze o Małysz nie było głośno. Kot trafił do skoków narciarskich właśnie dzięki fenomenowi „Orla z Wisły”.

Rodzice chcieli, żeby on i starszy brat Jakub trenowali narciarstwo alpejskie (tata jest instruktorem, mama była w polskiej kadrze), i na początku rzeczywiście tak było. – Wybuchła małyszomania i ponieważ chłopcy bardzo chcieli, na koniec sezonu zaprowadziliśmy ich na treningi do Kazimierza Długopolskiego. Byliśmy pewni, że się zniechęcą.

Na treningach skoczków nosi się ciężkie narty, wchodzi pod górę, wtedy były wiązania na linki, kombinezony, które nasiąkały. Przetrzymali to – opowiada ojciec skoczków.

To, że dzisiaj Maciej jest tak wysoko, to nie jest przypadek, tylko efekt ciężkiej, zaplanowanej w szczegółach pracy. Wszystko dzięki programowi rozwoju skoków narciarskich „Szukamy następców Mistrza”, wspieranemu przez firmę Lotos. Stoch już się na ten program nie załapał, ale jest talentem, którego na szczęście udało się nie zgubić.

– Zawody odbywały się w Wiśle, Lubawce, Łabajowie. Kiedy wybudowano skocznice w Zagórzu, nawet tam trzeba było jeździć. Nie tylko wiązało się to z wydatkami, lecz także Lotos dawał gratyfikacje: stypendia, kluby dostawały narty, buty. To była wielka sprawa. Na sponsora, jeśli chodzi o takie dzieci, trudno liczyć. Doszliśmy do czegoś takiego w skokach, że trenują najzdolniejsi. Jeśli się przyprowadza dziecko do klubu, to ono dostaje wszystko, a rodzic nie musi dokładać nawet złotówki. Od klubu do-

staje się: narty, wiązania, kaski. Pokrywają się nawet koszty wyjazdów i obozów. W skokach mamy wszystko. Wychowanymi tego programu są: Maciek, Kuba, Klemens Murańka, Aleksander Zniszczoł – opowiada Rafał Kot.

NOWA JAKOŚĆ

Kiedyś sensacją były udziały psychologa w treningach Małysza. Dzisiaj kadra skoczków ma rozbudowany sztab, w którym są: fizjoterapeuci, lekarze, dwaj serwismeni, biomechanik, do współpracy zaproszono nawet austriackiego lekarza. Dyrektorem koordynatorem jest sam Małysz. Polacy, którzy kiedyś podpatrywali, dziś sami narzucają pewne standardy i strzegą pilnie tajemnic swoich kombinezonów.

Zmienili się także sami skoczkowie. Trener kadry Stefan Horngacher mówi, że dziś są bardziej otwarci niż ich koledzy sprzed dekady. Dobrze mówią po angielsku. Podchodzą także bardzo profesjonalnie do swojej pracy. Kot doskonale rozumie się z Horngacherem. Austriakowi zaufał także Stoch, który przecież widział już wielu trenerów i doskonale zna swój organizm. Ukończył studia na krakowskiej AWF, podobnie jak Maciej Kot.

– Maciek ma wiedzę o dietetyce. Wie, co mu wolno, a czego nie. To już wystarczy, żeby siebie kontrolować. Każdy wie, ile może ważyć. Są przepisy, które zabraniają ważyć za mało, bo można zostać zdyskwalifikowanym. Kiedyś miał dietetyka, który układał mu menu, ale gdy przyjechał z Lillehammer, zjedliśmy coś słodkiego i nie było żadnej wymówki. Babcię mamy kochaną, a u niej nieważne, czy wnuczki skaczą na nartach. Głodne nie mogą być, więc jemy ziemniaczki i kotlecik, ale babcia na życzenie Maćka zaczęła wprowadzać nowe produkty. Po sezonie jest nawet zalecenie, żeby fast foody pojeść – mówi jego brat Jakub, także skoczek narciarski.

Wygląda na to, że polskich kibiców czekają kolejne piękne zimy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Adam i Ewa żyliby w raju nadzy długo i szczęśliwie, gdyby nie nieszczęsne jabłko. Ubrania dał im Bóg dopiero wtedy, gdy zostali z raju wygnani. Uwieramy się więc dlatego, że zgrzeszyliśmy – przypominało średniowiecze. Odzież nie ma zdobić, ale okrywać. Wszelkie ekstrawagancje i deformacje ciała obrażają Boga – oto jedna z zasad kultury judeochrześcijańskiej. Uściślił ją protestantyzm, wytyczając granicę między kolorami „nieuczciwymi” (żółtym, czerwonym i zielonym) a „uczciwymi” (czarnym, granatowym, szarym i białym).

A jednak historia ubioru jest zapisem wykroczeń przeciw tej ideologii. Rejestrem ubrań, które wzbudzały zdziwienie, niesmak, oburzenie albo wręcz stawały się przyczyną skandalu. Na ogół na krótko, bo po nich przychodziły następne, które okazywały się jeszcze gorsze, jeszcze bardziej oburzające. Bywało również tak, że to, co na początku uważano za skandal, powszedniało, a po pewnym czasie wchodziło na trwałe do obyczaju.

Dolna część ciała księcia Brunszwiku, Christiana, na obrazie Jacoba Van Doora z roku 1609 wygląda tak, jakby włożono ją w skorupę jaja strusia. Sprawiają to modne wtedy bufiaste nogawki, z których naśmiewał się Molière. Nie dowiemy się, jak można było siadać w tych spodniach bombkach, ale na pewno były one wyzwaniem dla anatomii ciała ludzkiego.

A jak kobiety mogły poruszać się w kapeluszach, na których mieściły się całe ptasie gniazda, ze słomą, z piórami, jajami, pisklętami? Ofiarami tej idiotycznej mody, która wybuchła pod koniec XIX w., stały się nie tylko modne damy. W końcu przywdziewały takie ozdoby z własnego wyboru. Gorsze, że przy okazji życie straciły tysiące egzotycznych ptaków, które mordowano dla piór. Żeby zaprotestować przeciw okrutnemu procederowi, w Anglii zawiązano nawet Królewskie Towarzystwo Ochrony Ptaków. Niewiele ono jednak zdziało, a moda – tak jak wszystkie najbardziej absurdalne trendy – minęła bez śladu.

Ta przeszła, lecz inne zostawały na dłużej. W 1930 r. Marlena Dietrich w filmie „Maroko” pokazuje się w smokingu. Mało tego – pije, pali, całuje się z kobietą. To tylko kino, ale jednak skandal. Gdy trzy lata później gwiazda przyjechała do Paryża ubrana w męski garnitur i берет, witana była gwizdami i gniewnymi okrzykami. Jednak nie trzeba długo czekać, aby spodnie, męska marynarka, alkohol

i papierosy stały się częścią garderoby oraz zachowań kobiety.

BIKINI PONIŻA ROBOTNIKÓW

Smoking Marleny Dietrich był tylko zapowiedzią tego, co miało zdarzyć się w drugiej połowie XX w.

5 lipca 1946 r., tydzień po próbie atomowej na atolu Bikini, w Mikronezji, Francuz Louis Réard zaprezentował dwuczęściowy kostium kąpielowy, o którym powiedział, że jest najmniej na świecie. Pana Réarda, inżyniera mechanika samochodowego, wojna zmusiła do zajęcia się rodzinną firmą bielizniarską. Ducha wynalazczości przerzucił ze sprzęgieł na koronki. Początkowo nikt nie chciał wystąpić w rzeczowej garderobie. W końcu znalazła się modelka – Michaline Bernardini, tancerka i stripti-

Ze stadium podejrzanego obyczajowo eksperymentu bikini wyszło dopiero w 1957 r., gdy Brigitte Bardot pokazała się w mikrokostiumie w kratkę w filmie Rogera Vadima „I Bóg stworzył kobietę”. Zaraz potem zaczęły go używać amerykańskie seksbomby: Jayne Mansfield (pozwalała w nim dla magazynu „Life”), Marilyn Monroe, Rita Hayworth. Ursula Andress w pierwszym filmie z Jamesem Bondem „Doktor No” do kostiumu miała przypięty sztylet. A dziś? Kogo jeszcze dziwi widok kobiety w bikini?

MAJTKI NA WIERZCHU

Po rewolucjach studenckich 1968 r. na zachodzie Europy kontestacja stała się chlebem powszednim mody. Ciągłe ktoś protestował przeciwko mieszczańskim za-

Pociągający smak skandalu



Joanna Bojańczyk

Historia mody jest rejestrem ubrań, które wywoływały skandale. Wkrótce jednak powszedniały, a z czasem na stałe wchodziły do obyczaju

zerka z Casino de Paris. Kostium nie miał jeszcze nazwy, ale pan Réard pomyślał, że „Bikini” – słowo, które było na ustach całego świata – będzie najlepszą reklamą.

O sprawie zaczęły się od razu rozpisywać gazety, władze Włoch i Belgii zakazały bikini na swoich plażach, francuski kurort Biarritz wydał w tej sprawie specjalny dekret. Zabrała nawet głos żona sekretarza generalnego Francuskiej Partii Komunistycznej Maurice’a Thoreza: „Ta burżuazyjna moda poniża klasę robotniczą – grzmiała. – Bikini kosztuje tyle, ile miesięcznie zarabia sekretarka!”. Przyciśnięty do muru autor bikini powiększył trochę dolną część stroju, ale przy górze bikini się nie poddał.

sadom. Po kolei padały reguły: że ubranie ma być czyste i wyprasowane, niepodarte, że kolory powinny do siebie pasować, że nosi się rękawiczki i kapelusz, że spódnica powinna zakrywać kolana, że makijaż nie powinien być zbyt mocny. Znakiem zmiany stały się urodzone w środowisku robotniczym XIX w. dzinsy. Długie włosy u mężczyzn wywoływały takie oburzenie, że stały się zaczynem dla musicalu, mini na początku bulwersowała. Po czym wszyscy się przyzwyczaili.

W latach 70. skandal zaczął być świadomie stosowanym narzędziem handlowców. Z całą premedytacją stosowała go angielska kreatorka Vivienne Westwood. „Moda jest tylko o seksie” – mawiała. Do ubrań



przyszywała guziki w kształcie fallusów, biustonosze i majtki kazała modelkom nosić na wierzch, na T-shirtach drukowała pornograficzne napisy i rysunki. Jak nikt inny potrafiła jednak twórczo interpretować tradycję europejskiego kostiumu: gorsety, krynoliny, żaboty, tweedy. Mimo skandali doczekała się szlachectwa korony brytyjskiej. Po odbiór tytułu do pałacu Buckingham przyszła bez majtek.

Równie wywrotowy był partner Vivienne, Malcolm McLaren, menedżer grupy Sex Pistols, ojciec ruchu punk. Oboje wspólnie delektowali się każdą prowokacją. „Jesteśmy partnerami zbrodni”. Punk był szokiem. Protestował przeciwko przesłodzonej estetyce dzieci kwiatów: sukienkom w kwiatki, hinduskim tunikom, paciorkom. Lekceważył przyzwyczajenia. Twarz malowało się farbami i nabijało kolczykami, z niektórych zwisały łańcuchy. Obowiązkowe były: skórzana motocyklowa kurtka, superobcisłe džinsy, wystrzępione podkoszulki z anarchistycznymi napisami. Tanie wulgarne biustonosze i majtki dziewczyny prowokacyjnie zakładały na wierzch. Na szyi nosiły skórzane psie obroże nabijane ćwiekami. Farbowane i żelowane w czub włosy stały się herbową fryzurą ruchu.

Ubrania Westwood były drogie i wzbudzały protesty, ale wkrótce groza została oswojona i przyjęły się wśród młodych. W 1978 r., gdy zespół Sex Pistols został rozwiązany, punków widziało się już nie tylko w Londynie, lecz także w innych miastach Europy oraz w Nowym Jorku. Dzisiaj punk powraca jako nieszkodliwe, staromodne retro.

BEZDOMNY U DIORA

Każdy krok Madonny, królowej pop lat 80., miał posmak skandalu. Począwszy od pornoalbumu „Sex” i występów scenicznych, a skończywszy na staniku ze spiczastymi miseczkami, zaprojektowanym przez Jeana-Paula Gaultiera. Glamour amerykańskiej gwiazdy kontestował ruch muzyczny, ale i modowy – grunge. Smutek, samotność, frustrację grunge’owców wyrażały stare, podarte ubrania w ponurych kolorach, ciuchy z nadwyżek wojskowych, buty martensy. Mainstreamowi wydawało się to odrażające, ale wkrótce zobojętniało.

W latach 90. moda zaczęła rościć sobie pretensje do czegoś więcej niż tylko wymyślenia ładnej spódnicy. Aspirowała do wydawania sądów, do krytyki społecznej. Jednak skutki tych aspiracji okazały się niekiedy żałosne. Możliwe, że John Galliano, projektant Diora, chciał w kolekcji

wiosna/lato 2000 podzielić się ze światem swoim współczuciem dla bezdomnych, ale wyrażenie tego za pomocą podartych ubrań, które kosztują setki, a może tysiące euro, nawet tolerancyjni Francuzi uznali za przesadę. Manifestacja przeciw Diorowi zawiązała się pod jego butikiem przy Avenue Montaigne.

Suknia i buty z kawałów wołowego mięsa, które gwiazda muzyki pop Lady Gaga miała na sobie zamiast sukni na gali MTV w roku 2010, także miały być deklaratą polityczną – wyrazem solidarności z homoseksualistami. Jakie konkretnie jest powiązanie między wołowiną a prawami gejów, tego artystka nie sprecyzowała. Wyznała tylko: „Zrobiłam to, żeby walczyć o prawa tych, którzy muszą nosić mundur, ale nie mogą przyznać się, że kochają ludzi tej samej płci”.

Z WIDOKIEM NA...

Wydaje się, że dotarliśmy do momentu, w którym nic już nie może zdziwić, a oburzanie się jest dowodem wsteczności. Ostatni akapit krótkiej historii skandalu w modzie jednak zdumiewa.

W środowisku fashion mężczyzna w spódnicy to żadna sensacja. Widywano w niej Marca Jacobsa, Johna Galliano. Jednak to, co widzowie zobaczyli w zeszłym roku w Paryżu na pokazie popularnego amerykańskiego projektanta mody Ricka Owensa, było czymś więcej niż tylko spódnicą. Było testowaniem wytrzymałości na prowokację. Wiadomo, gołe biusty zobojętniały, od pup roi się na Instagramie. Trzeba sięgnąć po więcej.

Modele na pokazie Owensa ubrani zostali w rodzaj tuniki, z tyłu długiej, z przodu krótkiej. Pod spodem nic nie mieli. Z przodu, w miejscu, gdzie zazwyczaj zapina się rozporek, ubranie miało rozcięcie, rodzaj okienka.

Jak można zgadnąć, informacja zaraz obiegła świat. I o to chodziło autorowi. W naszej cywilizacji istnieją wciąż pewne tabu. Publiczne pokazywanie narządów płciowych jest jednym z nich. To już było – oświadczył świat mody. I przypomniał, że kanapy w fallicznym kształcie na pokazach Acne oraz penisy, wprawdzie nie gołe, ale jednak, wystąpiły wcześniej w reklamach kolekcji Toma Forda, Erdem, Christophera Kane’a.

„Wszyscy teraz protestujecie, ale poczekajcie, za rok wszyscy będą chodzić z k...i na wierzchu” – skomentował ten pokaz internauta. Ciekawe, czy bardzo się mylił.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Przyjęcie na 6 osób plus 4

Porządek uczt w XVII w. przedstawia się niejasno, w każdym razie z trudem daje się odróżnić trzy kolejne jej elementy charakteryzujące się odmiennymi potrawami wnoszonymi kolejno na stół. Z biegiem czasu ogólny układ zaczął przypominać dzisiejsze suto obiady – najpierw zupy i mięsa w rosole, potem główne dania, a na koniec słodkości. Jednak jeszcze 400 lat temu nie zawsze wszystko odbywało się w takiej kolejności. „Polacy nie jadają zup, ale spożywają je chętnie i uważają za dobre, skoro przyrządzi je kucharz francuski” – podaje Gaspard de Tendre. Z kolei Wilhelm Beauplan zaznacza, że na pierwsze danie podaje się „potrawy sporządzone w tutejszy sposób”, a są to gotowane albo duszone mięsa pływające w sosach, zwanych gąszczami. Żółty jest z szafranu, czerwony z owoców wiśni, czarny z przetartych śliwek, a szary z przegotowanej i przecedzonej cebuli. Polacy „nie znoszą jeść zupy, której w ogóle nie podaje się do stołu”, a każde mięso podane jest z rosółem. Ciekawe, że wszystkie te dania przeplata się... pasztetami.

Dopiero później wnoszone są przystawki, a więc kiszona kapusta, solona słonina, kasza jaglana i kłuski. Po zjedzeniu tych specjałów

sprząta się zastawę i podaje drugie danie, które – pamiętnikarze są tu wyjątkowo zgodni – składa się z piecystego: cielęciny, wołowiny, kaczek, gęsi i wszelkiej dziczyzny. Ciekawe, że na sam jego koniec podaje się potrawy z bigosu i groch ze słoniną, czyli XVII-wieczną wersję dzisiejszej grochówki. Dopiero później wnoszone są desery.

W połowie XVIII w. – jeśli wierzyć Jędrzejowi Kitowiczowi – porządek ten staje się ustalony i bliski kuchni francuskiej. Na pierwsze danie zwane ragout, fricassée, składają się potrawy gotowane i przysmażane, takie jak rosół, barszcz, sztuka mięsa, bigos z kapustą, kiełbasą i ze słoniną, gęś gotowana ze śmietaną. A także cielęcina na szaro i biało, baranina z czosnkiem, nogi wołowe na zimno z galareta, zaprawiane migdałami, rodzynekami, kwiatem muszkatołowym, gałką, imbirem, pieprzem szafranem, pistacjami i pinellami. Na drugie dawano mięso i dziczyznę pieczone w całości, na sucho albo podlane jakimś sosem. Trzecie podanie to oczywiście słodkości, przede wszystkim cukry. W „Kucharzu doskonałym” z 1783 r. znajdujemy już całe kompozycje uczt, składające się z potraw na 10, 12 i 15 osób. Jadłospis zmienia się

w zależności od pory roku. Na wiosnę znajdujemy między różnymi potrawami potaż (rosół) szparagowy z polewką zieloną grochową, na lato melon i potaż garnirowany ogórkami, na jesień kaczkę z rzepą. Na drugie danie są mostki cielęce z małym grochem na wiosnę, na lato cielęcina ze śmietaną, na zimę kotlety ze skopowiny z rzepą. Ciekawe, że drugie podanie rozdzielone jest w zasadzie na dwa, zapewne dlatego, że wszystko nie zmieści się naraz na stole albo goście nie zdołają zjeść od razu. Czwarte to oczywiście desery, dość zresztą proste, np. na wiosnę poziomki i lody porzeczkowe, w lato karczochy z sosem maślanym, na jesień jabłka, gruszki i winogrona. Na zimę biszkopty, kasztany i pomarańcze.

O ucztach można napisać książkę, więc przypomnijmy to, że w czasie jedzenia przygrywała muzyka, a w izbach wznoszono nawet specjalne ganki dla orkiestry. Zawsze też należało podać więcej potraw, niż było gości, gdyż ci przybywali ze służbą. Jakub Kazimierz Haur pisze, że jeśli zaprasza się sześć osób, należy przygotować na ucztę jedzenia dla 10. Na stu zaś gości należy dać 25 potraw, po cztery półmiski każdej, aby nikt nie wyszedł głodny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Potaż z grzankami i grochem zielonym

Ugotuj litr zielonego grochu z pietruszką, ze szczypiorem, z cebulą i bulionem. Warz przez półtorej godziny. Potem utłucz, przecedź przez sito, przypraw, jak chcesz. Ażebym polewka była zielona, dodaj trochę szpinaku gotowanego przez pół godziny w wodzie. Następnie ułóż na patelni grzanki, zmocz tłustym rosółem, przypiecz, włóż do naczynia i zalej potażem.

Ozór wołowy

Ugotuj ozór w rondlu z solą, pieprzem, wiązką pietruszki, tymiankiem, goździkami, bobkowym liściem i bazylią, zalej bulionem mięsnym wołowym. Po ugotowaniu obierz go ze skóry, naszpikuj drobną słoniną, upiecz na rożnie (albo na grillu), przed podaniem podlej rosółem albo sosem z siekanej szalotki, ząbka czosnku, soli, pieprzu, rosółu, wygotowanym i odcedzonym przez sito. Daj na stół.

Mezoterapia – iluzja czy nadzieja. Część I

Mezoterapia – słowo, które zrobiło niesamowitą karierę w ostatnich latach. Robią sobie „to” wszyscy, „to” dokonuje cudów i „to” ma być sposobem na wszystkie możliwe problemy estetyczne.

Cud i odkrycie, znane już od ponad 40 lat. Mezoterapia stała się dziś czymś tak prostym i oczywistym, że mogą ją robić wszyscy – od kosmetyczki uczącej się na tym „banalnym” zabiegu, jak robić zastrzyk, do doświadczonych lekarzy. Podaje się niemalże wszystko i w znacznej części to, co nie powinno być wstrzykiwane, w każdą niemal część ciała, w każdym miejscu i bez jakiegokolwiek refleksji – ot, zabieg czyniący cuda. A przy tym musi być chyba bezpieczny. Bo co może zrobić złego kilka ukłuć?

Mezoterapia jest to technika śródskórnej (a więc do skóry) podawania substancji czynnej (np. pod postacią leku), która ma powoli oddziaływać na

okolice podania. Dzięki tej metodzie dociera prawie bezpośrednio do miejsca docelowego, w małym stopniu wpływając na cały organizm. Żeby wykonać zabieg mezoterapii, trzeba postawić diagnozę, wybrać lek lub substancję aktywną, podać go w odpowiedni sposób, umieć sobie poradzić z możliwymi objawami ubocznymi, ocenić efekty i ewentualnie leczyć powikłania. A te są coraz częstsze, bo takie zabiegi wykonuje, kto tylko chce.

Jak widać, nie jest to takie proste, łatwe i niewinne. Powinni to robić przygotowani lekarze.

Zabieg powtarzany jest cyklicznie, np. co 7, 10, 20 dni (decyduje lekarz). Na skórze po zabiegu widoczne są liczne zgrubienia, grudki, które w określonym czasie (od kilku godzin do kilku dni) powinny zanikać, uwalniając wstrzykniętą substancję czynną. To może powodować objawy uboczne, np. typu alergicznego. Zabiegowi może

towarzyszyć niewielki ból, zmniejszany znieczuleniem miejscowym. Jeżeli ból utrzymuje się po zabiegu czy pojawiają się inne objawy, to trzeba skonsultować się z lekarzem.

Przewidywalny efekt zabiegu zależy od wyboru substancji, leku, który zostaje wstrzyknięty (znaczenie ma także prawidłowa technika zabiegu). To, co się podaje, musi być lekiem albo substancją aktywną, do tego zarejestrowaną. Nie mają najczęściej udokumentowanej wartości różne „koktajle” lub „mieszanki”. To, że w preparacie wstrzykiwanym jest cała masa różnych składników, nie oznacza, że one zadziałają. W tym przypadku czym mniej, tym lepiej.



dr Andrzej Ignaciuk

– prezes Polskiego Towarzystwa Medycyny Estetycznej i Anti-Aging PTL

DR.CYJ HAIR FILLER

Hair cell and scalp revitalization

Pierwsza na świecie peptydowa terapia włosów

Spektakularne efekty już po 2 miesiącach! Tylko 4 sesje co 2 tygodnie!

Rekomendowany dla kobiet i mężczyzn

Rewolucyjna formuła siedmiu peptydów i kwasu hialuronowego

- Powstrzymuje wypadanie włosów
- Skuteczny w walce z alopecją
- Przyspiesza odrost włosów
- Pogrubia i zagęszcza włosy
- Pobudza krążenie i poprawia ukrwienie skóry głowy
- Rewitalizuje mieszki włosowe
- Pielęgnuje skórę głowy
- Wzmacnia włosy przed i po przeszczepie



Technologia przedłużonego uwalniania i wnikania substancji aktywnych - działa jeszcze 14 dni po aplikacji

Dekapeptyd-10; Oktapeptyd-11; Oktapeptyd-2

- Pobudzenie angiogenezy w obrębie mieszków włosowych
- Zahamowanie apoptozy
- Stymulacja wzrostu włosa

Dekapeptyd-18; Dekapeptyd-28

- Aktywacja wzrostu włosa poprzez białka Wnt
- Pobudzenie komórek macierzystych
- Namnażanie keratynocytów

Oligopeptyd-54; Oligopeptyd-71

- Zablockowanie wpływu DHT powodującegołysienie
- Zatrzymanie wypadania włosów
- Przywrócenie pigmentacji włosów

Generalny Importer na Polskę:

AntiAging Institute Sp. z o.o.
ul. Królowej Marysieńki 9 lok. 14
02-954 Warszawa, tel./fax: 22 842 06 94
www.AntiAging.com.pl



FILET Z KURCZAKA WEDŁUG DOMINIKI FIGURSKIEJ

Jestem zwolenniczką prostej kuchni. Taką zresztą najbardziej lubią moje dzieci, choć czasem zastanawiam się, co było pierwsze: jajko czy kura? Czy to moje dzieci są mało wymagające, jeśli chodzi o jedzenie, czy może są takie dlatego, że ja nie gotuję wyszukanych potraw? W każdym razie w naszym domu najlepiej sprawdzają się pomidorowa i rosół. Na stole co jakiś czas pojawiają się także naleśniki, a moje popisowe drugie danie to fileć z kurczaka z rukolą i pomidorami. Zna je każdy, kto bywa w naszym domu.

Składniki:

- pierś z kurczaka
- rukola
- pomidorki cherry
- sok z cytryny
- czosnek
- oliwa
- orzeszki pinii lub pestki słonecznika wedle gustu

Przygotowanie:

Panierujemy fileć z kurczaka i smażymy. Jednocześnie przygotowujemy warzywa. Mieszamy rukolę z pomidorkami koktajlowymi. Potrzeba do tego jeszcze sosu, który robimy, mieszając oliwę z czosnkiem wyciśniętym przez praskę, ziarnami (orzeszkami lub pest-

kami) i sokiem z cytryny. Sos mieszamy z rukolą oraz pomidorami i podajemy razem z usmażonym filetem. Takie kolorowe danie smakuje niemal wszystkim. A jeśli okaże się, że nasz gość nie je mięsa, to możemy do rukoli i pomidorów dodać pokrojony pleśniowy ser i już mamy gotowe danie wegetariańskie. © © (not. anie)

*Dominika Figurska
jest aktorką, mamą pięciorga
dzieci. W telewizji Republika
prowadzi weekendowe wydanie
programu „Polska na dzień
dobry”.*



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Bez mięsa, a do syta

Wiedzą państwo, co to jest angostura? Orzo? Pithivier? Ser taleggio? Ja też nie wiedziałam i podejrzewam, że nawet zaawansowani smakosze nie udzieliliby na te pytania odpowiedzi.

Przepisu na bataty z angosturą raczej nie wykorzystam, nie zanoszę również, żebym zrobiła roladę z taleggio albo crespeou, cokolwiek to jest.

Jednak pieczona dynia z kardamonem i czarnuszką już brzmi lepiej. Albo pieczone warzywa z curry i limonką. Albo miętowe krokietki z groszku. Gnieciony bób z czosnkową ricottą...

Rzucając trudnymi nazwami, nie chcę zniechęcać do lektury skądinąd bardzo fajnej książki, jaką jest „Cała obfitość” Yotama Ottolenghiego. Jest ona kontynuacją i rozwinięciem bestsellera „Obfitość”, o którym była już w tym miejscu mowa. 150 nowych przepisów na dania jarskie tym razem ułożono według metody przygotowania: grillowanie, pieczenie, gotowanie na parze, duszenie.

Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że temu urodzonemu w Izraelu w 1968 r. obywatelowi Wielkiej Brytanii zawdzięczamy zmianę podejścia do jedzenia, jaka dokonała się w ciągu ostatnich 10 lat. Oznacza ona przedstawienie kuchni z mięsa na warzywa, rośliny strączkowe i ziarna oraz odkrycie niezliczonych możliwości, jakie kuchnia wegetariańska oferuje.

„Koncentrując się na smaku warzyw, oryginalnych przyprawach i świeżych składnikach, »Obfitość«



YOTAM
OTTOLENGHI
„CAŁA OBFITOŚĆ”
FILO

zapoczątkowała wielki przewrót w gotowaniu i jedzeniu” – pisze wydawca książki. Nie ma w tym przesady. To jasne, że w jednej chwili nie rzucimy mięsa ani nie zmienimy nawyków żywieniowych, ale wystarczy popatrzeć na jadłospisy restauracji, i to nie tylko tych najbardziej wyszukanych, drogich i ogwiazdkowanych, na półki supermarketów, na przepisy w Internecie oraz nawet na jadłospisy stołówek i odkryć, że warzywa rulez!

To właśnie zasługa książki Ottolenghiego. Pierwszych pięć tytułów sprzedało się w nakładzie 2 mln egzemplarzy, trafiły na listy bestsellerów „New York Timesa”. „Gdyby istniała skala czterogwiazdkowa, za tę książkę dostałby ode mnie pięć gwiazdek” – napisał o „Całej obfitości” krytyk „The Wall Street Journal”.

Autor jest właścicielem sieci londyńskich restauracji. Ma felieton kulinarny w „Guardianie”, BBC nakręciło o nim kilka filmów dokumentalnych. Skończył filozofię, zrobił doktorat, a zanim w pełni oddał się kuchni, pracował w Tel Awiwie jako dziennikarz. W 1997 r. przeniósł się do Londynu i zaginiatając ciasto w butikowej piekarni Baker & Spice, kończył kurs kulinarny w akademii Cordon Bleu.

Inteligentni ludzie sprawdzają się w wielu dziedzinach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

NASZ TEST: MITSUBISHI ASX 2017



Od debiutu w 2010 r. model ASX (znany w USA jako Outlander Sport) kupiło już ponad 1,1 mln klientów. Na świecie to drugi pod względem popularności samochód spod znaku Trzech Diamentów. Nad Wisłą to jednak ASX jest najlepiej sprzedającym się modelem Mitsubishi. Polscy dilerzy sprzedali ponad 14 tys. egzemplarzy tego auta.

Konkurencja jednak nie śpi. Japończycy uznali zatem, że przyszedł czas na zmiany. Odświeżony ASX z zewnątrz stał się istotnie ładniejszy, choć nadal jest to auto, które jest głównie praktyczne, a nie piękne (mimo że Japończycy kuszą np. ciekawą edycją Cool Edition, w której m.in. dach, słupki boczne i lusterka są pokryte czarnym matem, a reszta nadwozia kontrastującym kolorem).

Zobaczymy jednak odmieniony grill i wyraźnie widoczne chromowane listwy. Antena dachowa zyskała zaś kształt „pletwy rekina”. Na szczęście projektanci zostawili nieco dynamicznie zarysowany przód, nie zmieniając ASX w obłego i nudnego outlandera.

W KABINIE

Japończycy odświeżyli również wnętrze. Główną zmianę lepiej słyszeć, niż widać – auto jest lepiej wyciszone. Ucieszą się również pasażerowie z tyłu – kanapa jest mocniej wyprofilowana i bardziej komfortowa, a podróżujący na niej miłośnicy gadżetów mogą korzystać z uchwytów na tablet oraz podwójnego gniazda USB (w wersji Cool Edition). Istotnym minusem tej wersji jest jednak brak możliwości podłączenia telefonu za pomocą Bluetooth. Japończycy zapomnieli o tym, że to już druga dekada XXI w. i zestaw głośnomówiący Bluetooth ze sterowaniem na kierownicy powinien być standardem, a nie luksusem (niestety, to udogodnienie pojawia się tylko w droższych

wersjach wyposażenia, a w tańszych nie występuje nawet jako opcja).

Po stronie plusów wpisać można z kolei dużo przestrzeni w kabinie, a także pojemny jak na tę klasę bagażnik (419 l). Do kufru Mitsubishi włożymy więc nieco więcej rzeczy niż do Nissana Qashqai (pojemność 401 l) i dużo więcej niż do Opla Mokka X (356 l).

JAZDA

Crossovery rzadko pozwalają poczuć wielką radość z dynamicznej jazdy. ASX nie jest tu wyjątkiem. Na rozpędzenie się od 0 do 100 km/godz. auto potrzebuje aż 11,5 s. Pięciobiegowa ręczna skrzynia umożliwia jednak całkiem żwawą jazdę zarówno w mieście, jak i na trasie.

ASX prowadzi się stabilnie, choć układ kierowniczy mógłby być nieco precyzyjniejszy. Również zawieszenie pracuje harmonijnie. Zaletą tego crossovera jest też niezłe spalanie. Podczas testu ASX z silnikiem benzynowym o pojemności 1,6 l i mocy 117 KM spalał na trasie 5,9 l/100 km,

na autostradzie – 8,8 l/100 km, a w mieście ok. 8 l/100 km.

Prześwił – w zależności od wersji – wynosi 18 lub 19 cm, więc w trudny teren autem tym nie wyjedziemy (zwłaszcza jeśli mamy napęd tylko na jedną oś). Crossover Mitsubishi dobrze sprawdzi się jednak np. jako „miejska terenówka”, którą bez obaw można podjechać pod wysokie krawężniki, łatwo znaleźć miejsce na zatłoczonym parkingu lub bez obaw zjechać z asfaltu, by dojechać po wyboistej drodze na działkę pod miastem.

BEZPIECZEŃSTWO

ASX może się pochwalić bardzo dobrymi rezultatami w testach zderzeniowych przeprowadzonych przez Euro NCAP (pięć gwiazdek na pięć) oraz przez amerykański Instytut Bezpieczeństwa Drogowego (IIHS). Już w podstawowej wersji dostępne są m.in. system aktywnej kontroli trakcji i stabilizacji pojazdu, system wspomagający ruszanie pod górę, ABS z elektronicznym rozdziałem siły hamowania, system ostrzegania o nagłym hamowaniu oraz siedem poduszek bezpieczeństwa. W droższych wersjach – lub za dopłatą – dostępne są też czujniki parkowania oraz kamera cofania.

CENA

Za najtańszy ASX w wersji na rok 2017 trzeba zapłacić 69 990 zł. To całkiem rozsądna cena.

Odświeżony bestseller japońskiej marki jest jednak dostępny nad Wisłą w aż ośmiu konfiguracjach z trzema silnikami. Większość z nich ma pod maską wolnossący silnik 1,6 MIVEC, a także napęd na jedną oś i ręczną skrzynię (w najbogatszej wersji wyposażenia w takiej konfiguracji ASX kosztuje 99 tys. zł). Za auto z silnikiem Diesla o pojemności 2,2 l, napędem na cztery koła i sześciobiegową automatyczną skrzynią Japończycy żądają aż 140 tys. zł.

Na szczęście menedżerowie w Mitsubishi zdają sobie sprawę, jak bardzo zatłoczony jest obecnie rynek crossoverów. Aby zachęcić klientów, oferują więc pięcioletnią gwarancję (do przebiegu 100 tys. km).

KONKURENCI

Fiat 500X, Honda HR-V, Jeep Renegade, Nissan Juke, Nissan Qashqai, Mazda CX-3, Opel Mokka X, Peugeot 2008, Renault Captur, Renault Kadjar, Seat Ateca, Skoda Yeti, Suzuki SX4 S-Cross. ©©



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Wreszcie dobry ruch MSZ

MARCIN MAKOWSKI: Rok 2016 za nami. Przejdzie do historii jako czas terroru, wojny w Syrii, Brexitu i wygranej Trumpa. Czym zaskoczy 2017?

MATTHEW TYRMAND: Zapomnieliśmy dodać, że właściwie wszędzie prawica i populiści dochodzą do władzy. Ten ruch został czasowo zatrzymany w Austrii, ale obecny rok wzmocni trend odwrotu od liberalizmu i lewicy. Jak w dobrym sequelu – będzie więcej tego samego. Być może François Fillon przejmie stery we Francji, gdzie liczy się też Marine Le Pen, a Geert Wilders i jego Partia Wolności w Holandii. Nawet mimo oporu establishmentu, co zwiastuje nowe niepokoje społeczne w Europie Zachodniej. W Polsce „dobra zmiana” utrzyma kurs reformatorski, ale wraz z nim nieporadność komunikacyjną i polityczną. Jednak to, co reprezentuje sobą PiS – wzmocnienie socjalnej opieki państwa i rozprawa z postkomunizmem – jest nadal atrakcyjniejsze dla przeciętnego odbiorcy niż fantazmaty opozycji. Jeśli jej pierwszym noworocznym akcentem jest prywatna portugalska podróż sylwestrowa Petru z koleżanką z klubu, ani Nowoczesna, ani PO nie stanowią na razie realnego zagrożenia.

Gdy urządzi się blokadę Sejmu i planuje obalić obecny rząd, trzeba nieco więcej powagi niż potajemne eskapady, selfie i piosenki z mównicy. Rok 2017 będzie po stronie opozycji przypominał polityczne przedszkole.

Chcesz powiedzieć, że PiS ze swoim zadem to szkoła wyższa? Bez przesady.

Rząd na pewno uczy się na potknięciach, a to, co mi się podoba, to coraz wyraźniejsza pozycja np. w relacjach zagranicznych. Witold Waszczykowski, który potrafi popełniać efektowne gafy, przynajmniej gdy trzeba – w przeciwieństwie do Sikorskiego i Schetyny – walnie prawdę prosto w oczy. Gdy Donald Tusk wysyła „życzenia” braku zła i głupoty w Polsce, nie ma się co bać, tylko powiedzieć wprost, tak jak szef MSZ – to ty reprezentowałeś te wartości.

Połajanki na polskim podwórku to jedno, poważna dyplomacja – drugie. Czy pod tym względem doczekamy się realnego ocieplenia relacji Warszawa – Waszyngton?

Oczywiście, mówię o tym od miesięcy i nie robiłbym tego, gdybym nie miał realnych podstaw

w wiedzy o gabinecie Trumpa. Epoka bojącego się własnego cienia Obamy minęła, a obecna polska administracja, którą w USA reprezentuje ambasador Piotr Wilczek, o wiele łatwiej dogada się z republikanami. Zresztą sam ambasador to kapitalny i długo oczekiwany ruch ze strony MSZ za długo tolerującego ludzi, którzy sabotowali pracę rządu. Wilczek jest akademikiem, ma ogromną wiedzę...

... i równocześnie brak kluczowego na równie istotnej placówce doświadczenia.

To nie jest jego wada, dzięki temu nie ma złych nawyków, a resztę nadrobi w błyskawicznym tempie. Zresztą już się tak dzieje. Wilczek, inaczej niż poprzednicy, aktywnie włącza się w dyskusje z amerykańskimi mainstreamowymi mediami, które kreują obraz faszyzującej się Polski. Wysyła listy do „The New York Times” i „The Washington Post”, do tego bardzo celne i rzeczowe. Kogoś takiego brakowało, ale oczywiście jest łyżka dziegciu w tej beczce miodu. Niestety ambasador nagle przestał się udzielać w mediach społecznościowych i jak sądzę, ktoś mu to nakazał. Jeśli tak było, to duży błąd ministerstwa. Dzisiejsza polityka – co pokazał Trump – kocha bezpośrednią komunikację.

A Trump „kocha” Władimira Putina, w mediach społecznościowych zamieszcza wyrazy uznania dla niego. Nie wiem, czy to jakaś nowa jakość.

Kolejny raz powtarzam – to jedynie gesty i próba wybadania gruntu. Obama dał się rozegrać Putinowi, a wypierający porażkę demokraci próbują go wmieszać w fałszowanie wyborów, na co nie ma żadnych dowodów. Co lepsze? Udawana wrogość czy chęć ucywilizowania relacji w świecie, który nie jest czarno-biały? ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE





**PAŁAC
NA
WODZIE**

EMOTIONS & THERMAL SPA

Zainwestuj w Apartament w funkcjonującym hotelu
Zarabiaj już dziś



7%

stopa zwrotu

10 lat

umowa najmu

14 dni

pobyt właścicielski



Baseny termalne



Thermal SPA



Restauracja



Prywatny staw

Pałac Na Wodzie Emotions & Thermal SPA

jedyny aparthotel w Polsce z własnym ujęciem wody termalnej, położony w samym sercu Karkonoszy



22 299 11 44

apartamenty@palacnawodzie.pl

apartamenty.palacnawodzie.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.

Stopa zwrotu liczona od wartości netto apartamentu, w przypadku korzystania z pobytu właścicielskiego wynosi 6%

eprasa.pl 01d2b3fc2c



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Nie płakałam po Kijowskim

SOK Z BURAKA: Mateuszowi należy się wielki szacunek. I podziw, że zrobił tak wiele dla nas wszystkich. Należy mu się także słowo „przepraszam” za to, że ulegamy PiS-owskim pomówieniom. Należy mu się pieniądze na życie.

Mateusz Kijowski jeszcze walczy i przy takich wyznawcach powalczy pewnie jeszcze długo – tak długo, jak długo uda mu się unikać demokratycznych procedur we własnym ruchu – ale to już chyba ten moment, kiedy można zacząć podsumowywać jego wkład w polską politykę i szeroko rozumiane życie publiczne. A jest on niebagatelny.

Akceptacja alimentarzy. W Polsce niepłacenie alimentów jest poważnym problemem społecznym, w roku 2015 liczba dłużników alimentacyjnych przekroczyła ćwierć miliona, łącznie byli winni swoim dzieciom aż 8 mld zł. To mniej więcej połowa kosztów rządowego programu „500+”, co powinno dać pewne pojęcie o skali problemu. Jeśli rządowe 500 zł na dziecko miało tak duży pozytywny wpływ na sytuację dzieci, to daje to pojęcie o tym, z czego te dzieci są regularnie okradane przez swoich ojców.

Kijowski swoim dzieciom zalegał 80 tys. zł i został z tym przyjęty



na salonach, a samo niepłacenie alimentów stało się w niektórych środowiskach sprawą jak najbardziej do obrony. Najdalej posunął się chyba Jacek Żakowski: „Jak jest sytuacja, którą oceniamy jako wyższą konieczność, np. obrony demokracji albo wolności, to rodzina cierpi! I jeżeli człowiek decyduje się zapłacić tak ogromną cenę, by zrobić coś dla kraju jak pan Kijowski, to tym bardziej należy mu się szacunek i uznanie! Cmentarze wojenne pełne są grobów bohaterów, których dzieci zapłaciły cenę.

Więc dla mnie te cikliwe kawałeczki o dzieciach, które pan teraz sprzedaje, są kompletnie nieprzekonujące. Jak moje pokolenie za Solidarność siedziało w więzieniach albo pokolenie powstańców tracących życie, to dzieci też płaciły cenę. Setki tysięcy kobiet regularnie okradanych z pieniędzy należnych im dzieciom dostały w twarz.

Kompromitacja niektórych mediów. Nie tylko Jacek Żakowski, ale i dla Kijowskiego ośmieszył, największe straty wizerunkowe poniosła niewątpliwie „Gazeta Wyborcza”, przekształcając się w partyjny biuletyn KOD. „Marsz, marsz, Kijowski” – pamiętacie tę okładkę „Gazety Wyborczej”? A przecież nie tylko ona mocno wyszła ze swojej roli, porównując KOD do KOR i Solidarności, a samego Kijowskiego pompując porównaniami do Wałęsy (choć przyznam, po ostatnich doniesieniach o fakturach na firmę, w której jego obecna żona ma 95 proc. udziałów, żeby komornik za alimenty nie ściągnął, widzę pewne podobieństwo osobowościowe).

To pierwsze jest niewybaczalne, o drugie pretensje może mieć sama „Wyborcza”. Szkoda tylko tysięcy zwykłych ludzi, którzy Kijowskiemu uwierzyli. Kupuję popcorn i czekam na rozwój wypadków. Kijowski skóry tanio nie sprzedaje. ©©

PODSŁUCHANE

Nie jesteśmy tacy głupi

Rysiu, ale jesteś pewien, że to dobry pomysł?

Aśka, no jak nie, jak tak? Byłaś kiedyś na tej tam Midurze?

Maderze chyba...

Wszystko jedno. Byłaś?

Nie.

Ja też nie. Ale podobno jest fajnie, sąsiad mi opowiadał, on był pięć lat temu.

A jak nas ktoś zobaczy?

Nie bój żaby, ja wszystko przewidziałem. Właśnie dlatego nawet ciemnych okularów nie zakładam. I lecimy normalnie, rejsowym samolotem.

A czym mielibyśmy lecieć? Przecież prywatnego nie masz.

No, fakt. W każdym razie tak kombinuję: jak nas ktoś zobaczy, to pomyśli, że nie jesteśmy przecież tacy głupi, żeby tak otwarcie lecieć i się nie kryć. Więc dojdzie do wniosku, że to na pewno nie my! Ha! Rozumiesz: pod latarnią nie czas żałować róż, gdzie kucharek sześć. Nieźle pomyslane, co nie?

No, nie wiem... Sam na to wpadłeś?

Nie, Rabiej mi podpowiedział.

Myślisz, że mnie podpuścił? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To jest wojna”.

PEŁK ADAM MAZGUŁA,

emerytowany wojskowy, o ujawnieniu przez media sprawy faktur lidera KOD



fot. Jerzy Gumowski

Remanent

że „seks to coś bardzo prostego, chodzi o wzajemną wymianę płynów”. W publicznej szermierce słownej dwójki polityków, ekspertów lub celebrytów chodzi o wzajemną wymianę poglądów lub inwektyw, która obu stronom daje mniej lub bardziej perwersyjną rozkosz, i tak samo się dzieje przy większej liczbie dyskutantów (wówczas jest to seks zbiorowy) — w obu przypadkach mamy intensywne (stymulowane narcystyczną adrenaliną) mizdrzenie się do kamer, czyli krygowanie się przed publiką. Nie bawia mnie tańce godowe i recitale tego rodzaju.

Z trochę innych przyczyn unikał wszelkich uroczystości, ceremonii, spotkań, zebrań, itp. — od fet po wernisaże, na które (jedne i drugie, właściwie każde, nie wyłączając oplatkowych wieczorków redakcyjnych) bywałem zapraszany dosyć często. Jest w tym odmawianie m. in. angielskie słuszne przeświadczenie „*No place like home*” (nie ma jak w domu), którego doświadczają głównie globtrotterzy i wszelacy turyści, ale również domatorzy będący wielbicielami swoich „czterech ścian” (u mnie obwieśzonych wielkim malarstwem, obłożonych cennymi rzeźbami/płaskorzeźbami/bibelatami, okraszonych zabytkową bronią i „tapatowanych” wielkim bibliofilskim księgo-



Ludzie listy piszą...



zbiorem). Boję się, iż pisząc to wystawiam się na ostrzał jako bałwochwalca dostatku, człowiek uprawiający kult materii. Tak nie jest. Choć kocham wszystkie te cuda, które otaczają mnie wewnątrz mej kilkupiętrowej rezydencji z pysznym ogrodem — umiem też myśleć o nich (podobnie jak o całej fizycznej sferze mego życia: o kobietach, pieśniach, podróży, pogodach) w kategoriach „*marności nad marnostwami*”. Ergo: bliska mi jest świadomość znikomości tych cudów, wedle słów cesarza-filozofa Marka Aureliusza: „*Miałem wszystko, i to wszystko jest niczym*”. Niczym wobec spraw głębszych, duchowych, ale póki co — te mury to mój azyl typu: „*My home is my castle*”.

Eremityzm, rzecz prosta, nie funkcjonuje bez zamilowania do samotności, czy może raczej bez swoistego genu samotnictwa. Pośród moich bóstw-fetyszów czołową rolę odgrywają sprawiedliwość i suwerenność, a ceną całkowitej (absolutnej) suwerenności jest samotność. Wzmiankował to już francuski liberalny myśliciel/pisarz Benjamin Constant w swym „*Adolfie*” (1806): „*Niezależność prowadzi do samotności*”. Inny francuski mistrz pióra, Albert Camus, brulionem „*Pierwszego człowieka*” uprecyzował to wobec literatów: „*Szlachectwo zawodu pisarza jest w oporze stawianym uciskowi, a więc w zgodzie na samotność*” (1959). Kiedyś tym uciskiem była dla mnie wredność i głupota komunistyczna, teraz wred-

ność i głupota politpoprawna, salonowa, tocząca świat jak robactwo. Nieśmiertelna od wieków, tylko przybierająca różne godła, maski i nazwy. Wskutek niej Juliusz Słowacki tęsknił do pustelnicztwa, tak pisząc o przyпадłości samotników lapidaryzowanej frazą „*trzy osoby to już tłum*”:

„..... Gdzie jadę? powie drugie canto.
Tymczasem pierwsze odpowiedzieć musi,
Skąd się wybrałem, po co i dlaczego?
Chrystusa diabeł kusił, i mnie kusi;
Na wieży świata postawił smutnego
Życia nicością, i pokazał wszędzie
Pustynie, mówiąc: «tam ci lepiej będzie»”.

Obok pretensji — pytania. Odpowiedzi na wszystkie nie zmieściłbym, więc odpowiem na jedno, tyczące wokalu. W artykule „*Ran-kingi*” („*Do Rzeczy*” numer 29/2016) napomknąłem, że moją ulubioną piosenką jest „*Here it is*” Leonarda Cohena. Czytelnicy od razu przypomnieli/wytknęli, że wcześniej podawałem za swoją ulubioną: „*Windmills of Your Mind*” (śpiewana przez wielu wokalistów piosenka Michela Legrand, Alana Bergmana i Marilyn Bergman). Drodzy Państwo. Tu już nie chodzi tylko o to, że wobec utworów z szeroko rozumianej kategorii „*pop-music*” zmieniają się nasze preferencje, bo coś się osłucha, a coś nowego kusi — lecz także o to, iż w kwestii tych preferencji pudło medalowe bywa u każdego szersze niż olimpijskie, czyli nie trójmedalowe, a wielomedalowe. Obok dwóch powyższych utworów jeździ mi przez ostatnie lata po głowie piosenka „*Things Have Changed*”, za którą Bob Dylan dostał Oscara muzycznego, i która została już standardem (śpiewa ją mnóstwo wokalistów — ja polecam parajazowe wykonanie Curtisa Stigera oraz „klubowe” wykonanie Grant Peeples & Sarah MacBand). Notabene szkoda, że do dylanowskiego oryginału jakieś patałachy zrobiły fatalny „*clip*”, całkowite dno, amatorszczyzna żenująca (przykładem świętego „*clipu*” z minionego roku jest kapitalna piosenka zespołu One Republic „*Love Runs Out*”). Wymieniłem już cztery tytuły figlujące mi dziś we łbie, a mógłbym jeszcze kilka lub kilkanaście, nie tylko nowszych, również starszych, od „*Kabaretu*” (Patricia Kaas), przez „*Train of Gold*” (Electric Light Orchestra) i „*The Guitar Don't Lie*” (Joe Dassin), po „*Fado Meia-Noite*” (Manuel Almeida) czy różne wykonania „*Saint Louis Blues*” bądź „*I'm on My Way*”. Jest tego sporo. A mówimy tu przecież wyłącznie o muzyce popularnej, która nie stanowi jedynej mojej miłości. O muzyce poważnej zamilczę, bo w dobie rapu bardzo anachroniczne stało się mniemanie, iż muzykalność (głębia obycia muzycznego i muzycznej erudycji) polega na rozpoznawaniu fugi organowej Bacha, kwartetu Schuberta, czy „*prélude*” Debussy'ego. Zupełnie jak z literaturą. W dobie sitcomu Goethem, Montaignem, Byronem i Lermontowem rozkoszują się niedobitki. Ale to już inny temat. ©©

Waldemar Łysiak

Jako że rok 2016 minął (i to dosyć szczęśliwie, ponieważ nie wybuchła wojna światowa i LGBTQ nie zostało jeszcze przez Brukselę uznane za przymusowe) — chcę się rozliczyć remanentowo z zeszłorocznej korespondencji od Czytelników. Była obfita i prócz dziękczynień przyniosła trochę pretensji. Te tyczące internetu odrzucam i nie będę ich niniejszym komentował, bo że usieciowienie nie jest mi potrzebne ani erudycyjnie, ani komunikacyjnie, zaś jego brak chroni/zwiększa moją kontrinteligentną prywatność — tłumaczyłem już wielokrotnie, również na tych łamach. Czy nie widzę tu żadnych minusów? Drobne, okazjonalne, choćby takie, że pewne wiadomości absorbuję z większym/mniejszym opóźnieniem. Przykładowo: nie mając komputera i nie czytając salonowej „*GW*” — dopiero dzięki prasowemu tekstowi Mariana Miszańskiego dowiedziałem się, że kiedy decyzją Knesetu wschodnia (arabska) część Jerozolimy znalazła się pod administracją tudzież jurysdykcją izraelską, w „*GW*” relację opatrzone tytułem: „*Jerozolima nasza!*”. Przepraszam: jaka nasza? Polska?... Czegoś chyba nie rozumiem, bądź czegoś jeszcze nie rozumie rabin z ulicy Czerskiej. Albo-albo: albo Łysiaki to po prostu naiwniak, albo Michnik to pięciokolumnowy myszygene — tertium non datur.

Prócz pretensji o brak internetu — dużo pretensji o eremityzm. Czemu tak uparczywie odmawiam wszelkich publicznych występów? Przecież mamy już TVP wyzwoloną z terroru salonowego, i niejedne radio takż. A tu nic! Żadnych spotkań z Czytelnikami, żadnych popisów przed mikrofonem i kamerą, nu! Drodzy Państwo — zamiast być jeszcze jedną „*gadającą głową*”, wolę gadać piórem u Lisickiego jako felietonista i eseista. Weźcie zresztą pod lupę istotę debat telewizyjnych i radiowych. Te szczególnie chętnie praktykowane — „*jeden na jednego*” (zazwyczaj zderzenie pro-rządowca i antyrządowca) — przypominają seks. Genialny matematyk-noblista John Nash (ten z „*Pięknego umysłu*”) twierdził,

Czasami życie zależy od rzeczy...

Piotr, lat 27.

Łóżko pielęgnacyjno - rehabilitacyjne, z którego korzystałem po wypadku samochodowym ułatwiło mi codzienne funkcjonowanie podczas wielomiesięcznego procesu rekonwalescencji.



Dzięki wpływom z 1 % Caritas Polska zakupiła:

4841

łóżek pielęgnacyjno-rehabilitacyjnych sterowanych pilotem wraz z materacami

436

ssaków medycznych

851

koncentratorów tlenu

- Oraz innego rodzaju nierefundowany sprzęt medyczny i rehabilitacyjny, który ułatwia codzienność 12 000 osób chorych i poszkodowanych w wyniku różnego rodzaju wypadków w całej Polsce.

...bo czasami życie zależy od rzeczy.



KRS: 0000 198 645

Pobierz darmowy program do rozliczeń PIT 2016
i przekaż swój 1% Caritas Polska.

www.jedenprocent.caritas.pl

eprasa.pl 01d2b3fc2c

